TISCHNER W ANEGDOCIE • PILCH ZNAJDUJE BOGA W PKP • ROTFELD DOCENIA PUTINA

PRZEKRÓJ

NUMER NA DWA TYGODNIE. NASTĘPNY 13 KWIETNIA

POŚWIĘĆ SIĘ >30

Wol. Biblioteka Publ. w Krakowie CZAS 022151

DOBRY ŁOTR TO NIE ŁOTR >12

Z KANDYDATAMI GRAMY W DZIADKA >18

TOSKANIA RAJ OPISANY >50



NR 13/14/3379/3380 / 30 MARCA 2010 / CENA 4,95 ZŁ / W TYM 7% VAT /

INDEKS 371424

ISSN 0033-2488

Akc. 75/2011

PRZEKROJ.PL



Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad **1500** współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

Bełchatów BALSA 044 633 24 31 • **Białystok** AWRUK – STOLARKA BUDOWLANA 085 653 93 23 • **Bielsko-Biała** MTB JASIŃSKI 033 816 33 36 • **Błonie** CENTROBUD 022 731 81 53 • **Bolesławiec** JAWA 075 732 05 24 • **Busko Zdrój** FONTIS 041 378 80 45 • **Bydgoszcz** DRZWI – TESSA 052 364 67 00 • **Bydgoszcz** STALREM 052 346 55 23 • **Chełm** PORTO 082 565 28 28 • **Czaplinek-Sikory** P.P.H.U. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 094 375 47 56 • **Czechowice Dziedzice** MTB JASIŃSKI 032 215 50 49 • **Częstochowa** BEL – POL 034 324 49 58 • **Częstochowa** FACHOWIEC 034 360 22 40 • **Ełk** MURBET 087 620 06 20 • **Gdańsk** BEL–POL 058 301 78 39 • **Gdańsk** STALREM 058 340 69 50 • **Gdynia** STOREM 058 668 46 87 • **Gdynia** WOODCOTE POLAND 058 663 84 00 • **Gliwice** BEL–POL 032 232 87 58 • **Gliwice** MAT – BUD 032 331 37 20 • **Gorzów Wlkp.** BEL–POL 095 722 73 19 • **Gorzów Wlkp.** STALREM 095 725 03 66 • **Grudziądz** EKSPOL 056 461 37 78 • **Jastrzębie Zdrój** HADEX 032 478 81 10 • **Jelenia Góra** BEL–POL 075 767 83 88 • **Kalisz** BEL–POL 062 753 67 21 • **Katowice** BEL–POL 032 252 86 91-92 • **Katowice** BUDUS Grupa PHMB 032 608 87 87 • **Katowice** WOODCOTE POLAND 032 202 50 30 • **Kielce** APOLLOPLAST 041 346 10 11 • **Kielce** BEL–POL 041 362 68 66 • **Kielce** FONTIS 041 362 72 41 • **Kłodzko** STOLPLAST 074 867 46 74 • **Kołobrzeg** WIK 094 351 64 18 • **Koszalin** SEZAM 094 342 54 46 • **Koszalin** TOM–SAN 094 343 54 88 • **Kościan** EFLI 065 511 95 66 • **Kraków** BEL–POL 012 417 39 46 • **Kraków** DREWEX 012 622 88 60 • **Kraków** HEBAN 012 651 87 62 • **Kraków** KONSTRUKTOR 012 420 00 12 • **Kraków** STALREM 012 264 72 25/26 • **Kraków** WOODCOTE POLAND 012 417 13 00 • **Legnica** BEL–POL 076 856 03 00 • **Lubin** BUDUS Grupa PHMB 076 844 39 90 • **Lublin** INTER GIPS 081 441 72 27 • **Lublin** PORTO 081 444 60 25 • **Łomża** DW DOMEL 086 215 66 15 • **Łódź** BEL–POL 042 682 64 67 • **Łódź** EKOCENTR 042 656 73 34/35 • **Łódź** MATERIAŁY BUDOWLANE 042 674 82 44 • **Łódź** STALREM 042 653 51 44/45 • **Maków Mazowiecki** CENTROBUD 029 717 13 48 • **Nowa Sól** BEL–POL 068 356 33 20 • **Nowy Sącz** BOGDAŃSKI 018 444 24 13 • **Nowy Sącz** TOMEX 018 444 11 27 • **Olsztyn** ALTADOOR 089 533 21 07 • **Olsztyn** D.P. 089 532 02 17 • **Opole** BEL–POL 077 454 42 33 • **Opole** WOODCOTE POLAND 077 402 44 40 • **Ostrów Wielkopolski** INTAR 062 737 51 48 • **Płock** BUD–MAT 024 268 65 04 • **Płock** PIK 024 268 99 66 • **Poznań** BUDOM MARKET 061 859 83 00/23 • **Poznań** C.B. PROGRESS 061 873 33 00 • **Poznań** EKO 061 815 03 44 • **Poznań** STALREM 061 846 08 60-62 • **Przemyśl** MULTI–FORM II 016 678 48 31 • **Pszczyna** KRONODOM 032 738 77 77 • **Radom** FACHOWIEC 048 340 03 45 • **Radom** OKNO–BUD 048 381 17 95 • **Rzeszów** BOZ 017 850 51 33/34 • **Rzeszów** PORTO 017 853 27 15 • **Rzeszów** WEPA 017 864 22 80 • **Sanok** INSTAL – BUD 013 493 24 11 • **Słupsk** ROLBUD 059 842 34 95 • **Słupsk** TOM–SAN 059 842 03 22 • **Słupsk** WOODCOTE POLAND 059 848 59 75 • **Suwałki** ALMAT 087 563 16 31 • **Szaflary** TOMEX 018 275 40 64 • **Szczecin** HIPER–GLAZUR 091 485 64 51 • **Szczecin** STALREM 091 484 73 99 • **Szczecinek** KPPD Szczecinek 094 372 95 55 • **Świdnica** BEL–POL 074 856 38 30 • **Tarczyn** CENTROBUD 022 727 87 67 • **Tarnów** TRANSBUD 014 629 80 73 • **Toruń** DRZWI–TESSA 056 655 92 60 • **Toruń** MS PROFI 056 660 52 95 • **Tychy** MULTI–FORM II 032 227 27 27 • **Wałbrzych** BEL–POL 074 886 95 00 • **Wałbrzych** SIRBUD 074 666 88 88 • **Warszawa** CENTROBUD 022 756 72 36 • **Warszawa** CENTRUM DRZWI 022 651 03 50 • **Warszawa** SYKOMAT 022 840 42 57 • **Warszawa** TECHNOBUD 022 632 85 06 • **Warszawa** WOODCOTE POLAND 022 796 00 76 79 • **Warszawa – Grodzisk Mazowiecki** FACHOWIEC 022 724 35 91 • **Warszawa – Janki** SYKOMAT 022 720 50 05 • **Warszawa – Łomianki** TECHNOBUD 022 751 70 41-44 • **Warszawa – Piaseczno** SYKOMAT 022 750 68 66 • **Warszawa – Pruszków** FACHOWIEC 022 728 23 78 • **Warszawa – Stara Miłosna** SYKOMAT 022 773 38 81 • **Warszawa – Stare Babice** TECHNOBUD–ALSTAL 022 382 41 01 • **Warszawa – Ząbki** SYKOMAT 022 781 55 06 • **Wejherowo** BEL–POL 058 672 30 51 • **Włocławek** MAJSTER ATLAS KUJAWY 054 412 66 21 • **Wrocław** BEL–POL 071 325 27 77 • **Wrocław** BUDUS Grupa PHMB 071 373 19 90 • **Wrocław** WOODCOTE POLAND 071 346 79 90-91 • **Zamość** METBUD 084 639 10 09 • **Zielona Góra** CeMBe 068 320 33 00

Porta KMI Poland Sp. z o.o. należy do **GRUPY BALTIS**

www.porta.com.pl

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

NA POCZĄTEK

RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU ZASADNICZO NIE PISZEMY...

...o tym, dlaczego od lat anonimowe „W tym tygodniu nie piszemy...” przepoczwarzyło się w staro-nową rubrykę podpisaną losowo wybranym nazwiskiem jednego z redaktorów „Przekroju”. Bo Bismarck miał sporo racji, gdy przestrzegał przed zaglądaniem za kulisy polityki i produkcji kiełbasy. O szlachtuzie, kiełbasiarni oraz parlamencie napiszemy w spokojniejszej chwili jeszcze nieraz.

...o wyniku prawyborczych zmagań między teflonowym Radkiem a sarmackim Bronkiem. Bo raz, że go nie znaliśmy, zamykając numer; dwa, że nie mieliśmy nań wpływu; trzy, że – jak poucza praojciec Demokryt z Abdery – istnieją tylko atomy i próżnia, reszta jest mniemaniem.

...o pp. Jakubie Wojewódzkim i Michale Żebrowskim, choć naszemu zeszłotygodniowemu artykułowi o tym drugim poświęcili tyle łaskawej uwagi w telewizyjnym programie tego pierwszego. Bo nie chcemy po raz wtóry zaglądać do tej samej przepaści.

...o nowej kłótni (oficjalnie nazywa się to sporem kompetencyjnym) między Jaśnie Wielmożnym Panem Prezydentem a Jaśnie Oświeconym Panem Premierem. Bo choć sprawa poważna (idzie wszak o krzesło w samym Waszyngtonie i taktyczną broń nuklearną), w polską walkę o pokój i prestiż włączamy się tylko dyskretnym milczeniem.

...o wielkanocnych mękach w rodzaju malowania pisanek, kompulsywnej konsumpcji i slalomu między strugami wody w drugie święto. Piszemy za to o innych mękach, przeważnie niezasadniczo.

Marcin Sendecki

NA OKŁADCE: MAREK RACZKOWSKI

PRZEKRÓJ

4 | **Ludzie listy piszą**
6 | **Świat według „Przekroju”** Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Jarosława Mikołajewskiego
8 | **Krótko**

KRAJ I ŚWIAT
12 | **Dobry był Łotr.** Rehabilitacja po wiekach
18 | **Prześwietlamy dziadków** kandydatów na prezydenta
22 | **Botoks** – bomba jadowa w rękach terrorystów

SYLWETKA
26 | **Najsztub pyta Rotfelda** o pojednanie z Rosją
30 | **Poświęcili się.** Nauce, sztuce, sprawie

CYWILIZACJA
38 | **Jest życie w kosmosie.** To pewne. Ale gdzie?
41 | **Cuda.** Dla tych, co stracili nadzieję
42 | **Wielkanocne** lanie wody

BIZNES
46 | **Warto brać kredyt** hipoteczny już teraz? Nasz test

KULTURA
50 | **Książki marzeń:** Toskania mlekiem i miodem płynąca
54 | **Muzyka:** Hendrix był wielki. Ale mógł być jeszcze większy
58 | **Legendy miejskie:** dzieci o Śląsku
61 | **Książki:** Dobre na święta. I na po świętach też
62 | **Film:** Allen wciąż nas kręci
63 | **Film:** Szczuka sama wśród hord
64 | **Teatr:** Huppert o szaleństwie. Cudzym
66 | **Forum „Przekroju”:** Kopciński kontra Sieradzki
68 | **Lektura:** Janowska rozmawia z Bonowiczem o Tischnerze

OTWÓRZ OCZY
72 | **Hokus-pokus.** Prawdziwa magia sztuczek się nie boi

ZAWSZE W „PRZEKROJU”
78 | **Rozmaitości** z krzyżówką, jolką i felietonami
81 | **Stopklatka**
82 | **Dziennik** Jerzego Pilcha
78, 80 | **Raczkowski**

LAST MINUTE
+ Krzysztof Płyta +

Podobno, według NIK, Polskie Radio zwiększyło częstotliwość. Wypłacania odpraw.

Witkacy żywy czy nieżywy?

Drogi Tadeuszu!
Z coraz szerzej otwartymi oczyma czytałem Twoją rozmowę z profesorem Jarzębskim [12. numer „Przekroju" – przyp. red.]. Czy naprawdę tak odbiera się ten film? Czy uważasz, że naszą ambicją było nakręcenie nowo obowiązującej biografii Witkacego? Przecież ten film nie nazywa się „Witkacy – życie i twórczość", ten film nazywa się „Mistyfikacja"... Ten film jest o wiele mniej ambitny, niżbyś chciał. Z pewnością. I taki miał być. To historia o tym, że jeden ucieka, a drugi go goni. Ma widza wciągnąć, omamić, zaciekawić. Tyle. Rozważanie, ile pokoi miała w latach 60. Oknińska, wydaje mi się, z całym szacunkiem, kuriozalne... Czy gdyby te sceny odbywały się w kawalerce, film bardziej by Ci się podobał?
Czy widziałeś „Bękarty wojny"? Uważam, że koniecznie powinieneś zrobić wywiad z jakimś profesorem od II wojny światowej. Hitler nie zginął od wybuchu bomby w teatrze! To dopiero skandal!!! Na koniec pragnę przypomnieć, że finał filmu sugeruje, iż cała historia mogła być równie dobrze wytworem chorej wyobraźni głównej bohaterki i alkoholizmu Łazowskiego... Pozdrawiam Cię serdecznie. **Maciek Stuhr**

Drogi Maćku!
Nie da się zapomnieć, że to jednak o Witkacym miało być, a nie o jakimś tworze witkacopodobnym w krainie wydumanej przez scenarzystę. I jak to parokrotnie podkreślaliśmy w naszej rozmowie, byłoby lepiej, gdyby ów scenarzysta i reżyser w jednej osobie trzymał się z grubsza faktów, bo wtedy cała mistyfikacja byłaby po prostu ciekawsza jako koncept i nie robiła wody z mózgu ludziom, którzy o Witkacym i jego otoczeniu jako takie pojęcie mają. W „Bękartach wojny" Tarantino nie ukrywał, że radośnie bawi się motywami wojennymi; może gdyby pan Koprowicz zrobił to równie udatnie, mniej byśmy się pokrzywiali. Pozdrawiam Cię niemniej serdecznie. **Tadeusz Nyczek**

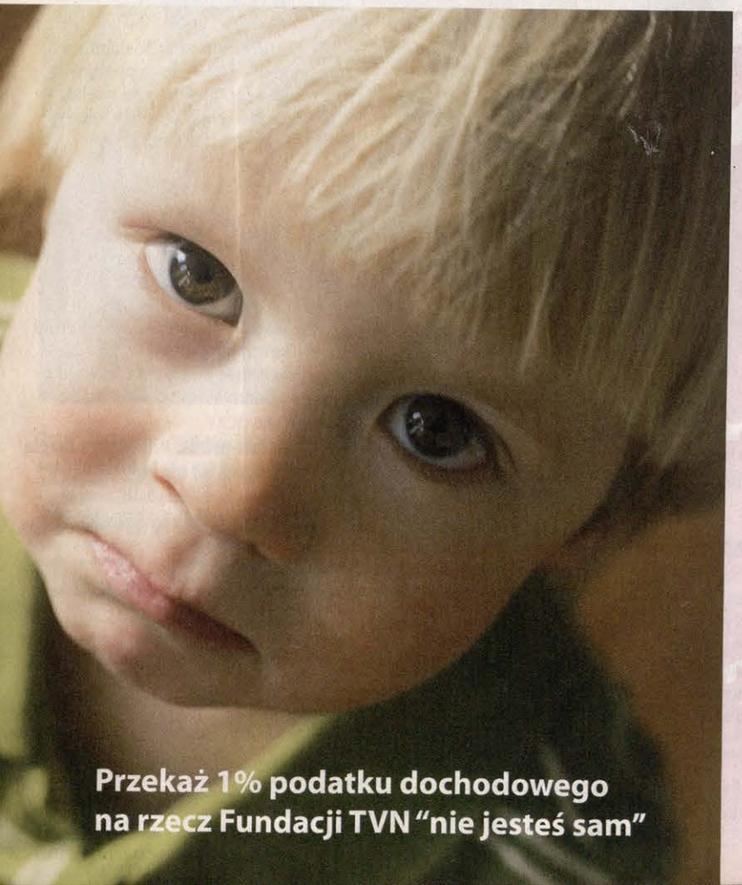
Szymek ma się dobrze

Proszę pogratulować pani Oldze Woźniak artykułu. Czytając go wspólnie z mężem, wróciliśmy wspomnieniami do tego, co przeżyliśmy we wrześniu i październiku 2008 roku. Wadę serca – wymagającą natychmiastowej korekcji – wykryto u naszego synka dopiero kilka dni po narodzinach, wcześniej podejrzewając zapalenie płuc. Nie było czasu wybierać szpitala, po prostu zawieziono Szymka karetką do Krakowa. Mimo całego cierpienia i bólu poznanie profesora Janusza Skalskiego i jego wspaniałego zespołu było dla nas szczęściem i prawdziwym zaszczytem. Są to wyjątkowi ludzie – lekarze i pielęgniarki z powołania. A profesor Skalski to postać wybitna, człowiek renesansu, którego wiedza, ciepło, osobowość fascynują. Szymon ma już półtora roku, jest zdrowy, choć wymaga stałej kontroli kardiologicznej. Jest inteligentnym i bardzo pogodnym dzieckiem. Mamy nadzieję, że uda nam się przekazać mu nasz szacunek i wdzięczność dla Profesora i lekarzy z Prokocimia. **Paulina Hanczyn**

Najsztubie, walcz

Czytam „Przekrój" od deski do deski, bo to jest obecnie naprawdę kultowe pismo. Co wcale nie znaczy, że wszystko jest na najwyższym poziomie. *Ad meritum* – uważam, że ostatnie wywiady Najsztuba to czysta monotonia, brak jasnej koncepcji i zwyczajne pustosłowie. Niczego odkrywczego i interesującego nie było w rozmowie z Hołdysem, a rozmowę z Poncyljuszem uważam wręcz za totalnie zmarnowaną szansę. Właśnie ten wywiad powinien do czegoś doprowadzić. Ustawiczne uchylanie się Poncyljusza od merytorycznych odpowiedzi na zadawane pytania powinno zostać potraktowane w sposób bezkompromisowy. A tak otrzymujemy jakieś jałowe pogwarki niby o czymś, a tak naprawdę jest to typowa blabladaista gadka szmatka o niczym istotnym. Bardzo proszę, aby Pan Najsztub wciąż był dziennikarzem głodnym i bardziej na „Nie!!!" niż na rachityczne „Taaak". **Janusz Frączek z Bogatyni**

REKLAMA



Razem poprawmy świat...
...choćby o 1%

FUNDACJA tvn
nie jesteś sam

Dołóż swoją cegiełkę do budowy
Centrum Profilaktyki Nowotworowej

Wpisz w odpowiednich rubrykach
deklaracji PIT
Fundacja TVN "nie jesteś sam"
KRS numer 0000014124

www.fundacjatvn.onet.pl
www.jedenprocent.onet.pl



UWAGA! Konkurs na okładkę!

Z okazji 65-lecia tygodnika „Przekrój"
redakcja ogłasza konkurs na okładkę jubileuszowego wydania.

„Przekrój" to najstarszy polski tygodnik. Przez 65 lat przechodził różne etapy, różni naczelni mieli nań różne pomysły. Ale niezmiennie „Przekrój" woli bawić, niż straszyć, cieszyć się, niż narzekać – a przede wszystkim jednak woli widzieć, niż zamykać oczy. „Przekrój" jest pozytywny, emocjonalny, ale nie histeryczny. Lubi ludzi. Kocha życie. Ma szacunek dla wymagań czytelnika i dlatego nie godzi się na nudę. „Przekrój" uznaje zarazem ironię i dowcip za oręż w walce o wyznawane przez siebie wartości.
Na 65-lecie widzielibyśmy okładkę szczególną, łączącą najlepsze tradycje „Przekroju" z czasów założyciela i redaktora Mariana Eilego z nowymi trendami i nowym „Przekrojem", który rozumie kulturę jako przestrzeń, w której codziennie się poruszamy.
Zaskoczcie nas, zaprojektujcie ją, pamiętając, że „Przekrój" jest zarówno mądrą gazetą, jak i pięknym przedmiotem.

PRZEKRÓJ

SPECJALNE WYDANIE „PRZEKROJU" W FORMACIE XXL UKAŻE SIĘ 20 KWIETNIA.
PROJEKTY MOŻNA WYSYŁAĆ DO 9 KWIETNIA NA ADRES OKLADKA@PRZEKROJ.PL
FORMAT: PION 260/350 + SPAD 5 mm
FORMAT PLIKU: PDF. AUTOR ZWYCIĘSKIEGO PROJEKTU POZA PUBLIKACJĄ OTRZYMA

2000 ZŁOTYCH

REGULAMIN KONKURSU NA STRONIE WWW.PRZEKROJ.PL



Teatr dzieciństwa

Pewnego razu, jak to w kościele bywa, zdarzył się cud. Ksiądz wywołał mnie do odpowiedzi

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

KOŚCIÓŁ ŚW. MARKA W KRAKOWIE. POŁOWA LAT 70. DZIECI KRĘCĄ SIĘ PO KOściele. Przysiadają na schodach ołtarza. Ksiądz wchodzi na ambonę. Obok siebie usadza pluszowego miśka. Misiek ma na imię Bartek. Ksiądz nazywa się Józef Tischner i odprawia pierwszą w Krakowie, a może i w Polsce, mszę świętą dla dzieci. Co to znaczy? To znaczy, że rozmawia z dziećmi ich językiem, na przykład o przebaczeniu.

Ks. Tischner: Ktoś mi dokucza. Ile razy mam mu przebaczyć? Ktoś mi podkłada nogę. Ile razy mam mu przebaczyć? Ktoś mi zjada najlepszą czekoladę. Co ja mam mu zrobić? Mam go poszarpać za włosy?

Dzieci: Taaak.

Ks. Tischner: Tak? Mam go poszarpać za włosy? A może mam mu przebaczyć? Chodź, Miłosz, powiedz do mikrofonu, co trzeba zrobić?

Miłosz: Przebaczyć.

Ks. Tischner: Ile razy? Św. Piotr spytał Mistrza, ile razy? Czy ma przebaczyć siedem razy? Miłosz, ile razy ty byś przebaczył?

Miłosz: Jeden.

Ks. Tischner: A co Pan Jezus Piotrowi odpowiedział? Ile razy trzeba przebaczać? Kaśka, powiedz proszę do mikrofonu. Ile razy?

Kaśka: Siedemdziesiąt siedem razy.

Ks. Tischner: To dużo czy mało?

Kaśka: Dość dużo.

Ks. Tischner: Siedemdziesiąt siedem razy, czyli zawsze.

I najważniejsza część spektaklu: miś Bartek wędruje do Kaśki, która najlepiej odpowiedziała. Resztę mszy spędza u niej na kolanach.

●

Co niedzielę o dziesiątej rano byłam z mamą w kościele św. Marka. Pędziłam do teatru, w którym reżyserem był ks. Tischner, a aktorami wszyscy zgromadzeni. Zgłaszałam się do odpowiedzi, zanim ks. Tischner skończył zadawać pytanie. Marzyłam o Bartku, ale miś zawsze wędrował do innego dziecka.

Pewnego razu, jak to w kościele bywa, zdarzył się cud. Ksiądz wywołał mnie do odpowiedzi. Wyrwałam się mamie, która szeptała rozpaczliwie, czy wiem, co powiedzieć. Gnałam niczym nie powstrzymana. Ale niestety to nie ja jestem Kaśką z książki „Rozmowy z dziećmi. Kazania niecodzienne", która tak świetnie odpowiadała. Stanęłam na środku kościoła z mikrofonem w dłoni i zaniemówiłam. Nie pamiętałam pytania, ani tym bardziej nie znałam odpowiedzi. Chwila trwała wieczność. Ksiądz żartem rozładował atmosferę i na pocieszenie dał mi Bartka do potrzymania. Poznałam kwaśny smak nagrody pocieszenia. Przez lata próbowałam przypomnieć sobie, jak brzmiało tamto pytanie. Myślałam, że nieodwołalnie zniknęło wraz z teatrem dzieciństwa. I nagle dzięki nowej książce Wojciecha Bonowicza o księdzu Tischnerze (z autorem rozmawiamy w rubryce „Lektura") pytanie powróciło w wersji dla dorosłych: czego naprawdę chcesz w życiu? Ksiądz Tischner uważał, że należy ciągle je sobie stawiać, żeby żyć prawdziwie.

Na razie nie zgłaszam się do odpowiedzi. □



Powody do szczęścia

400 lat od śmierci Caravaggia

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

MAM SZCZĘŚCIE, BO MOJA CÓRKA CHODZI DO KLASY Z SYNEM FRANCESKI Cappelletti, a Francesca należy do najciekawszych badaczy Caravaggia. Trzy miesiące temu wydała piękną książkę „Caravaggio – Un ritratto somigliante", której podtytuł, dający się przetłumaczyć jako „portret bliski prawdzie", zdradza problem, przed którym stajemy 400 lat po śmierci malarza – istnienie pytań nie do rozstrzygnięcia, przez które portretu w pełni prawdziwego nigdy mieć nie będziemy.

Dlaczego mam szczęście? Właśnie dlatego, że na co dzień mogę zadawać pytania mądre i głupie, o życie artysty i o jego dzieła. Czy każdy z dwóch świętych Franciszków jest jego autorstwa? Co z przeklętym życiem Caravaggia – czy naprawdę był zabijaką? Czy to prawda, że Madonna na jego obrazach to ukochana Lena? Po czym rozpoznaje się Caravaggia spośród malarzy epoki – czy naprawdę po cieniu, który inni oddają ciemną farbą, a on odsłoniętym, niepokrytym podkładem? Francesca powtarza cierpliwie, że szczęściem moim nie jest nasza przyjaźń, która pozwala mi kierować pytania nieuprawnione do kogoś, kto wie o Caravaggiu najwięcej na świecie. Szczęściem – mówi – jest to, że mieszkając chwilowo w Rzymie, mam pod nosem trzy kościoły i cztery galerie, gdzie Caravaggia mogę oglądać na co dzień. A w tej chwili mam jeszcze wystawę na Kwirynale, na którą ona i jej koledzy sprowadzili 24 dzieła, co do których nie mają żadnej wątpliwości, i uzbrojony w ich pewność mogę się zastanawiać, co ważnego mówi mi malarz tak wspaniały, że większego nie było.

Mam szczęście, bo na co dzień mogę zadawać pytania o życie artysty i jego dzieła

Uznaję to szczęście i myślę najpierw, że zawsze kiedy wchodzę tam, gdzie jest on, znika wszystko inne. Blednie nawet cudowny Carracci w Santa Maria del Popolo, który ma to nieszczęście, że występuje w klamrze świętego Piotra i świętego Pawła namalowanych właśnie przez Caravaggia. I myślę, że w każdym miejscu, w którym on wisi, jest tak, że nie do niego się przychodzi, lecz to on nas łapie, i dzieje się jak na obrazie w kościele San Luigi dei Francesi, gdzie jego zmartwychwstały Chrystus wchodzi, wyciąga rękę i staje się jedynym istotnym światłem. Brudne nogi pielgrzymów, zmiażdżone nosy świadków, ziemskie piękno Marii, nieziemska skrucha Magdaleny, światło z niewiarygodnej strony, ostre krawędzie poderżniętej głowy, ludzie z ulicy porwani do Pisma, strach przed własnym odbiciem w historii zbawienia – jest to wszystko jakimś gorzkim szczęściem. I plaża Porto Ercole, którą zwiedzałem w lipcu, i poczucie, że w porze i w miejscu, w których umierał, widziałem obraz, jakim żegnał go świat – żółte gniazda janowców w brudnozielonych koronach dzikich karłowatych oliwek... □

Autor jest poetą, tłumaczem z języka włoskiego

RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘĆ MARKA SZCZEPAŃSKIEGO I DARKA GOLOSKA/REPORTER/EAST NEWS

PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile

ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, **TEL.** 22 525 99 33, **FAKS** 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL. **E-MAIL: redakcja@przekroj.pl** lub **imie.nazwisko@przekroj.pl**
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska **ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ:** Juliusz Urbanowicz, Marek Zając **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myśluk **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Piotr Witek **SEKRETARIAT:** Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wieczorek (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc; stale współpracuje: Piotr Najsztub **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkowiec, Joanna Woźniczko-Czeczott **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki **ROZMAITOŚCI KRZYŻÓWKA:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner (wicedyr. art.), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTOEDYCJA:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krężel, Marek Szczepański; stale współpracuje: Kuba Dąbrowski **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

GREMI GRUPA

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKRÓJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, **TEL.** 22 525 99 55, **FAKS** 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz **P.O. DYREKTOR WYDAWNICZY:** Artur Rumianek **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremecka (szef), Jakub Maszkowski **BIURO REKLAMY „PRZEKROJU":** reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 50, Beata Drogowska tel. 22 525 99 51, Eliza Żyromska tel. 22 525 99 52, Izabella Cieniuszek tel. 22 525 99 15 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciążek **DRUK:** RR Donnelley **PRENUMERATA:** PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. **PRZEZ RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

FISKARS®

Mniej wysiłku. Piękny ogród.



Sekatory z obrotową rączką to narzędzia szczególnie polecane do długotrwałej pracy - konstrukcja rączki pozwala używać wszystkich palców jednocześnie, a unikalny mechanizm dźwigniowy PowerGear™, zintegrowany z rączką i ostrzem, wspomaga siłę cięcia.

Produkt nagrodzony:

Made in Finland • www.fiskars.com

Fiskars Brands Polska Sp. z o. o. (22) 6760400

Na zdjęciu: Sekator z rączką obrotową 111540

MAGDA PRZYNIOSŁA WIOSNĘ NA RAMIONACH

KRÓTKO

W obronie niebezpiecznych

Więzień nie przestaje być człowiekiem

HELSIŃSKA FUNDACJA PRAW Człowieka stanęła w obronie więźniów, którym w Polsce nadaje się status N, czyli niebezpieczny. Organizacja dołączyła swą opinię prawną do skargi więźnia do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu na nieludzkie traktowanie przez polskie państwo. Zastrzeżenia fundacji budzi głównie sposób nadawania statusu niebezpiecznego – robi to nie sąd, lecz Komisja Penitencjarna tworzona przez pracowników więzienia, w którym przebywa skazaniec. Fundacja uważa też, że często nie ma powodu, by latami przetrzymywać więźnia w izolacji (rekordzista żyje tak od 15 lat). Doktor Adam Bodnar z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka przyznaje, że fundacja zajęła się losem tych więźniów po artykule w „Przekroju" z sierpnia 2009 roku „Skazany na N" (nr 32–33). – *ana*

Wyspa poszła na dno

Ocieplenie klimatu międzynarodowego

INDIE I BANGLADESZ JEDEN spór terytorialny o dziesięć hektarów ziemi, a dokładniej piasku, mają już z głowy. Bezludna wysepka, która około 40 lat temu pojawiła się u ujścia rzeki Hariabhanga do Zatoki Bengalskiej, znikła pod wodą. Od 1974 roku, gdy dostrzegł ją satelita, oba kraje rościły sobie do niej prawa, a Indie zatknęły tam nawet swoją flagę. – *raf*

Małpa do muzeum

@ włączona do zbiorów MoMA

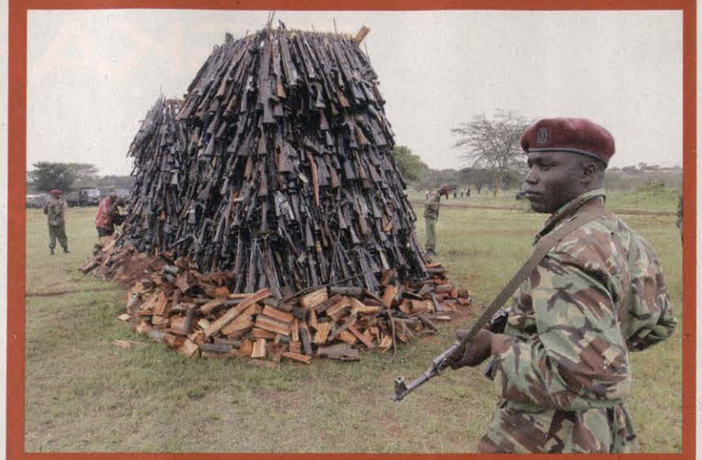
NOWOJORSKIE MUZEUM Sztuki Nowoczesnej (MoMA) ogłosiło, że do działu Architektura i Wzornictwo włącza znak „@". Nie chodzi o sam symbol graficzny, ale o znak i kontekst, w jakim się go używa, czyli w adresie e-mailowym. Dlatego jako właściciel @ figuruje Ray Tomlinson, który w 1971 nadał pierwszy elektroniczny list. – Dziś sztuka, wzornictwo i architektura sięgają po nieoczekiwane środki wyrazu, jak adresy internetowe czy kody cyfrowe – tłumaczy kuratorka Paola Antonelli. Obok „małpki" w zbiorach znajdują się także plakaty Jana Młodożeńca i lampy Tiffany'ego. – *sol*

Nie ma go-go

Islandzki parlament zdelegalizował striptiz

WEDLE NOWEGO PRAWA czerpanie korzyści finansowych z jakiejkolwiek formy nagości jest przestępstwem. 320-tysięczne społeczeństwo Islandii jest liberalne w wielu kwestiach, jak aborcja i prawa homoseksualistów, ale należy też do najbardziej sfeminizowanych na świecie. Ponad połowa parlamentarzystów to panie, a większość Islandczyków zgadza się, że pornografia (już wcześniej nielegalna) i striptiz to wykorzystywanie kobiet. Islandia będzie teraz jedynym obok Watykanu państwem w Europie bez żadnego klubu go-go. – *mac*

STOSY ŚWIATA



Płonące strzelby

Pod Nairobi, stolicą Kenii, na dwóch stosach leży 2545 karabinów. Za chwilę zostanie podłożony ogień. Rząd wydał wojnę przemytnikom, którzy – jak się szacuje – dostarczyli zwykłym Kenijczykom oraz członkom gangów około 100 tysięcy karabinów. Jeden kosztuje zaledwie pięć funtów. – *rk*

ZŁY DOTYK KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Gapowicz nietykalny

Nie można łapać pasażera bez biletu, który chce uciekać – twierdzi rzecznik praw obywatelskich. Kontrolerowi wolno użyć tylko perswazji



RZECZNIK PRAW OBYWATELskich zażądał od Miejskiego Zakładu Komunikacji w Gorzowie usunięcia z regulaminu punktu, który upoważnia kontrolerów do „udaremniania próby opuszczenia pojazdu przez pasażera bez ważnego biletu". Zdaniem RPO zapis narusza konstytucyjne prawo do nietykalności cielesnej, bo niesfornych gapowiczów kontrolerzy łapali za rękę albo ciałem (swoim) zastawiali im drzwi.

„Kontroler nie jest ani funkcjonariuszem policji, ani innym organem porządkowym mającym ustawowe prawo do zatrzymania podróżnego" – argumentuje RPO.

Sprawdziliśmy: w innych miastach kontrolerzy też, o ile trzeba, przytrzymują pasażerów. – Bo zgodnie z prawem, jeśli ktoś trzeci raz jedzie na gapę, popełnia wykroczenie – usłyszeliśmy w biurze rzecznika stołecznej policji. – Oczywiście nie wiadomo, czy dana osoba pierwszy raz nie ma biletu, ale zawsze można to podejrzewać. Policjant traktowałby więc złapanie gapowicza ręką jako ujęcie obywatelskie.

– Nie podoba mi się taka interpretacja – ripostuje Marek Zubik, zastępca rzecznika praw obywatelskich. – Nie można występować jednocześnie w roli kontrolera i obywatela.

Jak więc zatrzymać gapowicza? Można go gonić tak długo, aż sam przybiegnie do jakiegoś patrolu, albo spróbować nietypowej perswazji. – Należałoby użyć metody szokowej, choć wymaga ona specyficznych zdolności – radzi Andrzej Kaczorowski z Gabinetu Medycyny Holistycznej we Wrocławiu zajmujący się hipnozą. – Na przykład zamarkować uderzenie dłonią między brwi, w ostatniej chwili rozłożyć palce przed oczyma i je zasłonić. To mogłoby doprowadzić do katalepsji, czyli usztywnienia ciała.

Na razie Izba Gospodarcza Komunikacji Miejskiej skierowała prośbę do Ministerstwa Infrastruktury, by zajęło się rozszerzeniem uprawnień kontrolerów o możliwość stosowania siły wobec pasażerów. Izba ma w zanadrzu także wariant B – trzeba powołać lotne patrole do łapania gapowiczów działające na wzór Straży Ochrony Kolei. □

FOT. AP/BEW, ALBUM/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS, REUTERS/FORUM

Prekursorzy

NA LEGALNEJ TRAWCE

KALIFORNIA MOŻE BYĆ PIERWSZYM miejscem na świecie z całkiem legalną marihuaną – zwolennicy zmiany prawa zebrali obowiązkowe pół miliona podpisów pod projektem, więc władze zatwierdziły referendum w tej sprawie. Pomysł popiera 57 procent mieszkańców stanu, dlatego możliwe, że wkrótce w Kalifornii dozwolona będzie uprawa marihuany i sprzedaż narkotyku w porcjach nie większych niż jedna uncja (28,35 grama). Dzięki licencjom i podatkom dziurawy na 20 miliardów dolarów budżet stanowy wzbogaciłby się rocznie o 1,4 miliarda. Ponadto autorzy projektu argumentują, że urzędowa kontrola nad narkotykiem uderzy w interesy świata przestępczego. Wielu polityków jest skłonnych poprzeć legalizację, z gubernatorem Arnoldem Schwarzeneggerem na czele, który stwierdził, że „warto się nad tym zastanowić". Kalifornia była prekursorem tak zwanej medycznej marihuany – dziś jako środek uśmierzający ból lekarze mogą ją przepisywać chorym w 14 stanach. Przełomowe referendum odbędzie się w listopadzie, wraz z wyborami uzupełniającymi do Kongresu i gubernatorskimi. Kalifornia licząca 36,4 miliona mieszkańców, czyli prawie tyle co Polska, byłaby pierwszym miejscem na świecie z całkiem legalną marihuaną. W Holandii można ją sprzedawać, ale uprawa jest zakazana. – *mac*



Piractwo morskie

ZAGROŻONA KRUCHA SYMBIOZA

JEDNYM Z NAJBARDZIEJ PECHOWYCH STATków pływających po wodach Zatoki Adeńskiej jest „Almezaan". Ten dubajski frachtowiec (pod panamską banderą) w zeszłym roku dwa razy dostał się w ręce somalijskich piratów. Było źle, ale teraz nie wpadł i jest jeszcze gorzej – zatrudnieni na statku najemnicy ostrzelali piratów podpływających do „Almezaana". Zabili jednego napastnika. To pierwszy taki przypadek w historii. Dlatego po tym incydencie eksperci obawiają się dwóch rzeczy: po pierwsze, że skończy się krucha symbioza między piratami a właścicielami porwanych statków. Dotychczas jeśli ci drudzy zgadzali się na okup, ci pierwsi oszczędzali porwanych. Po drugie, że najemnicy stworzą – jak w Iraku czy Afganistanie – państwo w państwie i będą łamać przepisy prawa międzynarodowego. Na przykład będą strzelać do wszystkich zauważonych piratów nawet wtedy, gdy ci nie będą zagrażać statkowi. – *raf*



Co mówią liczby

124. miejsce zajęło warszawskie lotnisko imienia Fryderyka Chopina w rankingu portów lotniczych brytyjskiej firmy konsultingowej Skytrax. Kolejność ustalono na podstawie ankiet od blisko 10 milionów pasażerów, którzy oceniali 215 lotnisk, między innymi ich czystość, liczbę toalet oraz sklepów wolnocłowych, dojazd, jakość obsługi. Najlepsze są porty lotnicze w Azji. Wygrało supernowoczesne lotnisko Changi w Singapurze, drugie było to z południowokoreańskiego Inchon, a trzecie – w Hongkongu. Europa wypada blado: w pierwszej dziesiątce tylko Monachium i Zurych. – *rk*

REKLAMA

HSBC
Historia nowoczesnej bankowości



145 lat
Od tak dawna zdobywamy doświadczenie w finansach.

86 krajów
W tylu miejscach nasi lokalni eksperci służą klientom banku wiedzą finansową.

50 mln klientów
Tyle osób na całym świecie obdarzyło nasz bank swoim zaufaniem.

400 mld dolarów
To wysokość aktywów, które klienci powierzyli nam ze względu na naszą międzynarodową ekspertyzę inwestycyjną.

By dowiedzieć się więcej skontaktuj się z doradcami naszego banku w Polsce:
www.hsbc.pl
0 801 800 154 lub +48 22 323 91 54*

HSBC
The world's local bank

*Koszt połączenia z numerem zaczynającym się od 0 801 jest równy cenie jednego impulsu za połączenie lokalne.

Wygrał tylko dlatego, że zaostrzono kryteria.



Golf. Najbezpieczniejszy samochód w testach NCAP.

FOR SAFER CARS
EURO NCAP
www.euroncap.com
TEST 2009

W 2009 roku instytut Euro NCAP zaostrzył kryteria testów zderzeniowych. Golf w klasyfikacji łącznej uzyskał najlepszy wynik, zdobywając tytuł najbezpieczniejszego samochodu. Golf zapewnia najwyższy poziom bezpieczeństwa, oferując w standardzie m.in. systemy ABS, ASR, EDS i MSR oraz siedem poduszek powietrznych, w tym poduszkę chroniącą kolana kierowcy. Gwarantujemy – to najbezpieczniejszy wybór.
Volkswagen. Ponad standard to standard.

Das Auto.

Castrol
www.volkswagen.pl Infolinia: 801 200 400 (opłata jak za jednostkę taryfikacyjną połączenia lokalnego)

Wygrał, bo jest najlepszy.



Polo. Car of the Year 2010.

CAR OF THE YEAR 2010

Stworzyliśmy nowe Polo tak, by nikt nie miał wątpliwości, że jest najlepsze. Ponadczasowy, elegancki styl, komfortowe wnętrze oferujące jakość dotąd niespotykaną w tej klasie, innowacyjne, dynamiczne silniki, ekonomiczne i zarazem ekologiczne – Polo nie ma sobie równych. Dlatego specjaliści motoryzacyjni z 23 krajów przyznali mu prestiżowy tytuł samochodu roku.
Volkswagen. Ponad standard to standard.

Das Auto.



DETEKTYWISTYKA MAREK ZAJĄC

DOBRY ŁOTR

ŚLEDZTWO PO PRAWIE 2000 LAT

WYSOKI SĄDZIE, WNOSIMY O REHABILITACJĘ ANONIMOWEGO MĘŻCZYZNY, KTÓRY **7 KWIETNIA 30 ROKU UMARŁ UKRZYŻOWANY W JEROZOLIMIE**. NASZEGO KLIENTA OKREŚLA SIĘ WPRAWDZIE MIANEM DOBREGO, ALE PRZECIEŻ ŁOTR TO ŁOTR I ZA KRZYWDZĄCE UZNAĆ NALEŻY, ŻE PRZYPISUJE SIĘ MU CZYNY ZWYKŁEGO KRYMINALISTY

DEDUKCJA – OTO MATKA WSZYSTKICH śledczych. Pamiętacie pierwszą stronicę „Psa Baskerville'ów", gdy Watson ogląda laskę zwieńczoną gałką? Pod nią znajduje się srebrna obwódka z wygrawerowaną dedykacją dla doktora Jakuba Mortimera „od przyjaciół" i datą „1884". Watson postanawia zastosować metodę swego przyjaciela Holmesa i dedukuje – Mortimer musi być wziętym i poważanym lekarzem, skoro znajomi obdarzyli go tym dowodem uznania. Ale laska, choć piękna, jest już zniszczona, a gruba skuwka niemal zupełnie ścięta. Ergo: doktor Mortimer to medyk wiejski, w mieście musiałby bowiem dbać o szyk i kupić sobie nową laskę, na dodatek odwiedza chorych przeważnie pieszo. „Doprawdy, Watsonie, przechodzisz samego siebie" – komplementuje towarzysza Holmes.

Identycznie można prowadzić śledztwo biblistyczne – wyławiać detale, odkrywać ukryte znaczenia i logiczne związki, kreślić portrety psychologiczne bohaterów, konfrontować zeznania. Igły prawdy szukać w stosie legend. A wszystko po to, by przekonać sąd do naszych racji i zrehabilitować Dobrego Łotra.

Proces – odsłona pierwsza

Wizja lokalna: 14. dzień miesiąca nisan, według naszego kalendarza 7 kwietnia 30 roku. Poncjusz Piłat, od 26 roku naszej ery namiestnik zarządzający Judeą, jedną ze wschodnich prowincji cesarstwa, zapewne od kilku dni przebywa w Jerozolimie. Rzadko opuszcza swą główną siedzibę w Cezarei. Jak w domu czuje się w tym do cna zromanizowanym mieście z posągami rzymskich bóstw i hipodromem. Tymczasem Jerozolima, gdzie życie toczy się w cieniu Świątyni Jahwe, jednego i jedynego Boga, w cieniu tego giganta z jasnego kamienia – to dla dawnego żołnierza, a dziś cesarskiego prefekta miejsce ze wszech miar obce. Ale urząd to urząd – podczas święta Paschy Piłat musi osobiście czuwać nad prawie stu tysiącami żydowskich pielgrzymów ściągających tu ze wszystkich zakątków Imperium Romanum.

Słońce wzeszło nad miastem około godziny 5.30. Poranek jest rześki, temperatura nie przekracza w ciągu dnia kilkunastu stopni. Piłat mógł zatrzymać się w twierdzy Antonia, która czterema wieżami góruje nad jednym ze świątynnych narożników, albo w dawnym pałacu Heroda w Górnym Mieście. Załóżmy, że tym razem wybrał to pierwsze miejsce – może nie tak wygodne i okazałe, ale pozwalające cały czas mieć kontrolę nad Świątynią.

Zapewne Piłat, nawykły do legionowego drylu, o świcie już nie spał. Dobrego Łotra jutrzenka zbudzić nie mogła – biorąc pod uwagę standard starożytnych więzień, siedział w zatęchłym lochu bez okien. Ale i tak prawdopodobnie nie zmrużył przez całą noc oka. Bo tu splata się los jego i Piłata, na dodatek w sposób dla Dobrego Łotra wielce niekorzystny. Namiestnik, przybywając do Jerozolimy, ma bowiem jeszcze jeden urzędniczy obowiązek do wykonania – sądzi w sprawach politycznych i skazuje na śmierć. A tego roku musi zająć się kazusem naprawdę ważkim.

Nie, nie chodzi wcale o człowieka, którego zwą Jeszua Ha-Nocri, Jezus Nazarejczyk – o wędrownego nauczyciela, uzdrowiciela i egzorcystę, który uważa się za Mesjasza. Piłat o tym synu cieśli zapewne nic nie słyszał, a jeżeli nawet dotarły doń pogłoski – i tak miał o wiele twardszy orzech do zgryzienia niż jakieś przypowieści, proroctwa i cuda.

Wysoki sądzie, jako pierwszy dowód w sprawie Dobrego Łotra zgłaszamy fragment 15. rozdziału Ewangelii świętego Marka odnoszący się do procesu, któremu w dniu 7 kwietnia 30 roku przewodniczył Poncjusz Piłat: „Na każde zaś święto miał zwyczaj uwalniać im jednego więźnia, którego żądali. A był tam jeden, zwany Barabaszem, uwięziony z buntownikami, którzy w rozruchu popełnili zabójstwo".

Dobry Łotr w jednym lochu z Barabaszem? Buntownicy, ale przeciw komu? O jakie zamieszki chodzi?

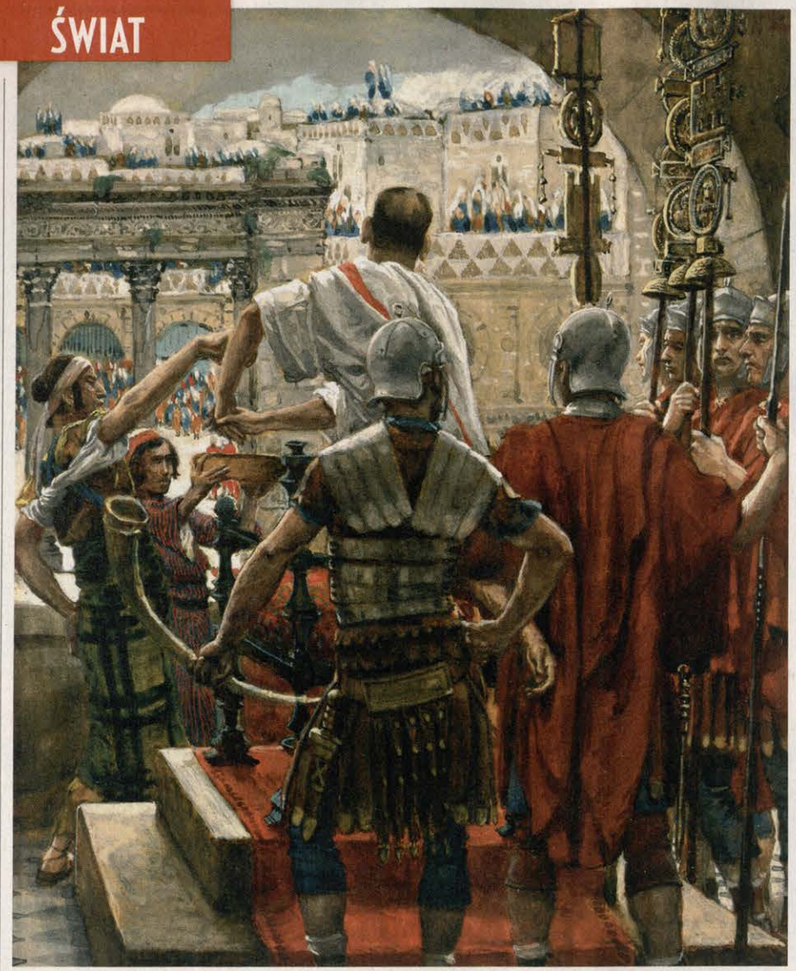
Wysoki sądzie, na świadka powołujemy Jeszuę Bar-Abbę.

Proces – odsłona druga

Nim przesłuchamy wezwanego, warto przeprowadzić wywiad środowiskowy. Niemożliwe po upływie dwóch tysięcy lat? Możliwe, wysoki sądzie, wystarczy w praktyce zastosować starą łacińską maksymę: *nomen est omen* (w imieniu osoby ujawnia się jej charakter).

Barabasz, czyli Jeszua Bar-Abba – w starożytności niemal każde miano niosło ze sobą informację o pochodzeniu czy statusie. Jak piszą Victor Loupan i Alain Noël, autorzy książki „Śledztwo w sprawie śmierci Jezusa", imię Jeszua było w Judei pod panowaniem rzymskim bardzo popularne, dość powiedzieć, że w I wieku nazywało się tak czterech żydowskich arcykapłanów. Niektóre rękopisy Ewangelii świętego Mateusza przypisują to imię także Barabaszowi. Ileż ironii dodawałoby to pytaniu, które Piłat skierował do tłumu: Którego Jezusa mam wam uwolnić? Tego zwanego Barabaszem czy może tego Galilejczyka zwanego Mesjaszem? I dlaczego w tym kraju prawie wszyscy nazywają się Jezus?

Istotniejszy jest jednak drugi człon. *Bar* – oznacza po aramejsku syn. *Abba* to po prostu ojciec, ale to także tytuł przysługujący (jak pisze Jacqueline Genot-Bismuth badająca literaturę rabiniczną) szanowanym faryzeuszom i przywódcom szkół religijnych. A zatem Barabasz, przez pobożną tradycję chrześcijańską przedstawiany jako oprych i morderca bez czci i wiary, w swoim bestialstwie posuwający się ponoć do rozcinania brzuchów ciężarnym kobietom, wywodziłby się z całkiem zacnego →



Z punktu widzenia Piłata egzekucja zapowiada się wyśmienicie. To **będzie ukrzyżowanie z morałem**

łają do telewizji nagrania z egzekucji zakładników. Barabasz i jego kompani – by sprawie, o którą walczą, zapewnić rozgłos – postanawiają dokonać zabójstwa w okresie przedświątecznym, gdy do Jerozolimy ciągną Żydzi z Judei, Galilei, a także wielu miast rozsianych wokół Morza Śródziemnego.

Tę scenę łatwo sobie wyobrazić: nieprzebrana rzesza ciśnie się wąskimi ulicami, podążając w kierunku Świątyni. Nagle słychać wrzask, ktoś pada zbroczony krwią, kilku ludzi rozbiega się w różnych kierunkach. Pojawia się straż świątynna i rzymscy najemnicy z twierdzy Antonia, dochodzi do bijatyki, błyskają noże. Kilku zamachowcom nie udaje się zgubić pościgu w labiryncie ulic i dziedzińców. Pojmani – Barabasz i jego kompani, wśród nich Dobry Łotr – nie łudzą się, że Piłat okaże im łaskę. Cesarstwo ukarze ich dokładnie tak, jak Republika ukarała sześć tysięcy niewolników walczących pod wodzą Spartakusa, którzy dostali się do niewoli po bitwie nad rzeką Silarus. Kto oglądał film z Kirkiem Douglasem, nie będzie zadawał zbędnych pytań.

Dziś niektórzy egzegeci stawiają tezę, która dla wielu zabrzmi obrazoburczo: z historycznego punktu widzenia można zrozumieć, dlaczego tłum kłębiący się pod siedzibą Piłata wołał, by na wolność wyszedł nie Jezus, lecz Barabasz. Wybór padł na narodowego bojownika, a nie człowieka, który w oczach niejednego prawowiernego Żyda uchodził za wichrzyciela – ucztującego z wysługującymi się Rzymianom celnikami, łamiącego szabat, wieszczącego upadek Świątyni i wypędzającego zeń kupców, a na dodatek uważającego siebie za Mesjasza.

Proces – odsłona trzecia

Wizja lokalna: 7 kwietnia 30 roku, przed południem, twierdza Antonia. Po uwolnieniu Barabasza i skazaniu Jeszui Nazarejczyka tłum powoli się rozchodzi, ale Piłat ma osądzić jeszcze dwóch uczestników zamieszek. Ubrany w zbroję, otoczony przez samarytańskich i arabskich najemników siedzi na sędziowskim krześle ustawionym pośrodku wyłożonego kamiennymi płytami placu, który ewangelista Jan nazywa *Lithostrotos*. W przeciwieństwie do sprawy Galilejczyka tym razem proces przebiega błyskawicznie. Wina jest jasna, a poza tym trzeba się spieszyć, by trupy ściągnąć z krzyży i pogrzebać przed początkiem szabatu.

Wkrótce odbędzie się wychowawcza demonstracja siły, czyli egzekucja z politycznym morałem. Prefekt każe umieścić na krzyżu Jeszui tytuł winy – po hebrajsku, łacińsku i grecku, aby nawet przybysze zrozumieli, jak kończą ci, co wejdą w drogę Imperium Romanum i jego namiestnikowi Poncjuszowi Piłatowi: „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski". Z punktu widzenia prefekta ukrzyżowanie zapowiada się

→ rodu. Jakże blado musiał w oczach niektórych ówczesnych Żydów wypadać na jego tle Jeszua z Nazaretu, wychowany przez galilejskiego cieślę.

Ale na tym nie koniec. Ewangelista Mateusz przyznaje, że Barabasz to „znaczny więzień". Z kolei u Jana w polskim tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia czytamy, że „był zbrodniarzem". Zbyt wiele ginie jednak w przekładach, bo chodzi o słowo *lestes* – rozbójnik. A właśnie tego terminu używał słynny starożytny historyk Józef Flawiusz na określenie między innymi antyrzymskich bojowników, czyli zelotów (gorliwi). Zeloci uważali, że Rzymianie to bałwochwalcy, którzy bezczeszczą świętą ziemię Izraela, zaś walka z bronią w ręku przyspieszy nadejście Mesjasza.

Ba, czołowy watykański ekspert w dziedzinie biblistyki, arcybiskup Gianfranco Ravasi, twierdzi, że w przypadku Barabasza mamy zapewne do czynienia z fanatycznym odłamem zelotów – grupą pierwszych w dziejach terrorystów, czyli z sykariuszami. Nazwa ta wywodzi się od łacińskiego słowa *sica* oznaczającego krótki sztylet. Taką broń łatwo ukryć pod szatą, wmieszać się w tłum i zadźgać kolaborującego z okupantami rodaka. Bo sykariusze – delikatnie rzecz ujmując – nie zwykli się patyczkować. By osiągnąć piorunujący efekt propagandowy, mordów dokonywali w biały dzień, w miejscach publicznych. Przypisywano im też zatruwanie studni.

Podobnie rzecz ma się z dwoma łotrami, których ukrzyżowano razem z Jezusem. Ewangelie Marka i Mateusza nazywają ich – a jakże – *lestai*. U Łukasza pojawia się wprawdzie inny,

Nagle wrzask, ktoś pada zbroczony krwią, nadbiegają straż świątynna i rzymscy najemnicy. Dochodzi do bijatyki, błyskają noże

ogólniejszy termin *kakourgos* (czyniący zło), ale – jak dowodzi Ravasi – również to określenie można od biedy odnieść do antyrzymskich rewolucjonistów. Dla biblisty wniosek jest prosty: „To by wyjaśniało, dlaczego obaj zostali skazani na ukrzyżowanie, karę, która była zarezerwowana dla niewolników i buntowników".

To też układałoby się w logiczny scenariusz: na początku XXI wieku terroryści wysy-

wyśmienicie: pośrodku rzekomy król żydowski, dla jednych godny politowania bądź kpin szaleniec, dla innych heretyk i obrazoburca – a po obu stronach ci, którym marzyło się żydowskie królestwo wywalczone z bronią w ręku. Antyrzymska rewolucja – obśmiana i złamana.

Sprzeciw, prokurator podważa naszą linię obrony i jako dowody zgłasza dwa chrześcijańskie apokryfy, które ani słowem nie wspominają, że Dobry Łotr miał być antyrzymskim bojownikiem.

Wysoki sądzie, obrona oczywiście odniesie się do tych materiałów. Pierwszy to pochodząca prawdopodobnie z IV wieku „Ewangelia Nikodema". Pojawiają się tu imiona łotrów – Dyzma i Gestas. W tekście umieszczono też opis, jak po zejściu Chrystusa do otchłani i piekieł Dobry Łotr pojawia się w gronie świętych – pierwszego człowieka Adama, króla Dawida czy proroków: Habakuka, Micheasza i Eliasza. Zbawiony Dyzma przyznaje: „Byłem łotrem i wszelkie zło czyniłem na tej ziemi".

Ciekawszy jest drugi apokryf, czyli „Opowiadanie Józefa z Arymatei", datowany w najlepszym razie także na IV wiek – rzekoma relacja tego, który wyprosił u Piłata ciało Jezusa, aby je pogrzebać. Apokryf opisuje winę łotrów z niezwykłą precyzją, warto więc zacytować fragment *in extenso*: „Na siedem dni przed męką Chrystusa zostali przekazani namiestnikowi Piłatowi dwaj zasądzeni łotrzy z Jerycha. A wina ich jest następująca: pierwszy z nich miał na imię Gestas. Zabijał on mieczem wędrowców, innych nagich puszczał, kobietom, które wieszał za kostki głową w dół, ucinał piersi, a sprawiało mu radość pić krew dzieci. O Bogu zupełnie zapomniał, Prawem gardził i od początku był okrutny w podobnych sprawach".

Z kolei Dobry Łotr jawi się niczym starożytny Robin Hood: „Nazywał się Demas, pochodził z Galilei, posiadał zajazd, używał sobie na łupieniu bogatych, ubogim natomiast dobrze czynił, a choć był złodziejem, jak Tobiasz grzebał ciała ubogich. Rabował lud żydowski: ukradł księgę Prawa z Jerozolimy, obrabował córkę Kajfasza, która była kapłanką świątyni, i wykradł nawet tajemny depozyt złożony tam przez Salomona". Apokryf rozszerza też słowa wypowiedziane przez łotra do Jezusa na krzyżu, nadając im formę wręcz modlitwy, a potem opisuje, jak święty Demas ukazywał się wraz ze zmartwychwstałym Jezusem.

Wysoki sądzie, czarno na białym widać, że historie wskazane przez prokuratora są kompletnie niewiarygodne. Ale ilustrują dwie ważne rzeczy.

Po pierwsze, pokazują, jak kolejne pokolenia chrześcijan – zafascynowane występującymi w Ewangelii nawet epizodycznymi postaciami układały o nich barwne legendy, wyostrzając przypisywane tym bohaterom cechy. I tak na przykład Ewangelia świętego Jana sugeruje, że podczas procesu Piłat dążył do ocalenia Jezusa przed Żydami – tymczasem autorzy podań i apokryfów idą już na całość. Biskup Euzebiusz z Cezarei przytacza opowieść, jakoby namiestnik powiadomił cesarza o zmartwychwstaniu Galilejczyka, a Tyberiusz debatował o tym z senatorami. Z kolei wedle apokryfu „Męczeństwo Piłata" namiestnik wraz z żoną Prokulą chodzą... modlić się do grobu Jezusa. Starszyzna żydowska postanawia więc zabić Piłata i całą jego rodzinę, a zlecenie otrzymuje... Barabasz, notabene brat żony... Judasza. Ta i inne historie tak bardzo rozpalały wyobraźnię, że egipski Kościół koptyjski ogłosił Poncjusza Piłata... świętym.

REKLAMA



Podobnie rzecz się ma z dwoma łotrami. W przypadku dobrego szukano jakichś okoliczności łagodzących, złego zaś przedstawiano jako zepsutego do szpiku kości. Przy okazji dokonywano przeróżnych kompilacji. Przykład: „Opowiadanie Józefa z Arymatei" przynosi informację, jakoby bandyci pochodzili z Jerycha. Ważny ślad? Echo faktycznych wydarzeń? Skądże znowu, tylko subtelne nawiązanie do przypowieści Jezusa o miłosiernym Samarytaninie, który pomógł człowiekowi napadniętemu przez zbójców w drodze z Jerozolimy do Jerycha.

Po drugie, cytowane apokryfy dowodzą, że kolejne generacje chrześcijan, w większości wywodzących się spoza Judei i Galilei, sformułowania o rozbójnikach traktowały dosłownie, a nie roztrząsały już ich ewentualnego kontekstu politycznego.

Sprawa była zresztą skomplikowana nawet w czasach bliskich Jezusowi. W burzliwym okresie przemian trudno nieraz odróżnić partyzantów od rzezimieszków, powstańczą ekspropriację od zwykłego rabunku, a zabójstwo polityczne od pospolitego mordu. Historycy dopuszczają na przykład możliwość, że niektórzy sykariusze w chwilach wolnych od walki o żydowskie państwo dorabiali sobie jako płatni mordercy.

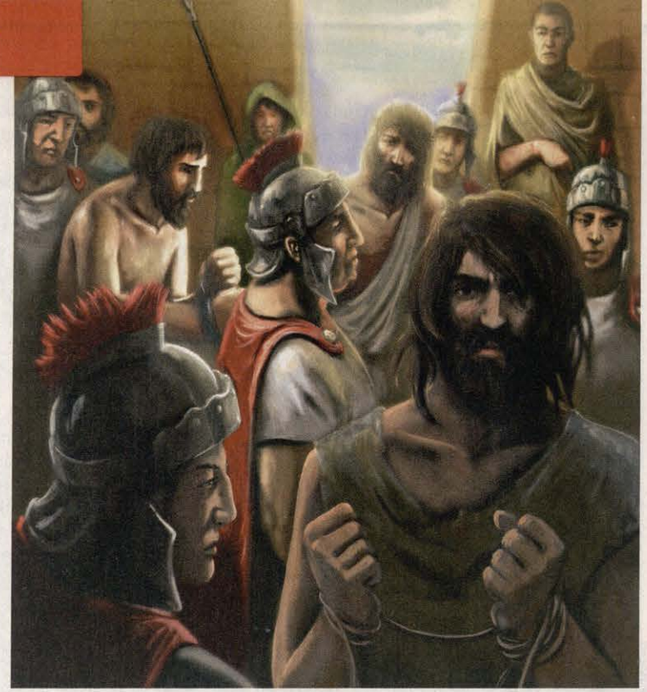
Nic zatem dziwnego, że początków konspiracyjnego ruchu antyrzymskich rewolucjonistów upatruje się w Ezechiaszu, przywódcy... bandy rozbójników grasujących po Galilei. Ezechiasz łupił, a jednocześnie zwalczał namiestnika Heroda, przyszłego króla Judei przez potomnych nazywanego Wielkim, który układał się z Rzymianami. Co ciekawe, Ezechiasz, choć pojmany przez Heroda i skazany na śmierć, zdążył – jak pisze wybitny historyk Geza Vermes – zapoczątkować całą rozbójniczo-powstańczą dynastię. Jego synem był zapewne Juda Galilejczyk, współzałożyciel sykariuszy, który dwa razy buntował się przeciw Rzymianom. W 4 roku p.n.e. zdobył arsenał w Sefforis i uzbroił swoich ludzi po zęby, a po dziesięciu latach zorganizował opór przeciw zarządzonemu przez gubernatora Syrii spisowi Żydów.

Także kolejne pokolenie poszło w ślady dziada i ojca. Jakub i Szymon, synowie Judy, skończyli haniebnie na krzyżach jako buntownicy. Kto wie, może ewangeliczni łotrzy znali synów albo kompanów Judy Galilejczyka? A na pewno dzielili z nimi podobny los – dla jednych byli zwykłymi rzezimieszkami, dla innych – narodowymi męczennikami.

W takim razie – czy można powiedzieć, że Dobry Łotr był naprawdę dobry? A jeżeli tak, to w jakim sensie?

Proces – odsłona czwarta

Wizja lokalna: 7 kwietnia 30 roku, właśnie minęła godzina dwunasta, wzgórze Golgota – położone za murami miasta, oddalone od dawnej twierdzy Antonia o mniej więcej pięćset metrów w linii prostej. Poganiani batogami Jeszua Ha-Nocri i dwóch łotrów przydźwigali tu nie całe krzyże, ale poprzeczne belki zwane *patibulum*. Każda waży około 50 kilogramów. Na miejscu kaźni mężczyźni muszą położyć się na belkach, by można ich było przybić do nich za nadgarstki. Następnie →



ILUSTRACJA MAREK BRZEZIŃSKI/ARTMANUFAKTURA.EU

Jeszua i łotrzy **szykują się do drogi na Golgotę.** *Przejdą do historii*

→ *patibulum* wraz ze skazańcem umocowano na wbitym pionowo w ziemię palu *(stipes)* i przybijano doń stopy. Krzyż wcale nie był tak wysoki, jak zwykliśmy to sobie wyobrażać. Miał maksymalnie dwa metry, wyższy byłby po prostu niepraktyczny.

To najstraszniejsza ze starożytnych kar, przez ówczesnych porównywana tylko do spalenia żywcem. Cytowany w książce Loupana i Noëla anatomopatolog Pierre Barbet diagnozuje, że ukrzyżowani „umierali na skutek uduszenia, po długim okresie walki. Ażeby złapać oddech, skazaniec mógł oprzeć się na stopach przybitych do *stipes*, unieść się całym ciałem, tak by ramiona, tworzące dotąd kąt około 65 stopni, przybrały pozycję horyzontalną. Ręce nie były wtedy naciągane ciężarem całego ciała, skurcze słabły, ukrzyżowany odzyskiwał na chwilę oddech i przestawał się dusić. Po jakimś czasie kończyny dolne były już tak osłabione, że ciało opadało i wracało uczucie duszenia się. Cała agonia przebiegała więc w rytmie kolejnych osunięć i podźwignięć, duszenia się i oddychania".

Krzyż to nie miejsce na dłuższe rozmowy. Skazaniec z trudem może wykrztusić z siebie kilka urywanych słów. Marek i Mateusz twierdzą, że obu ukrzyżowanych rozbójników szydziło z Jezusa – to akurat psychologicznie zrozumiałe, że człowiek straszliwie cierpiący może reagować agresywnie, chaotycznie przeklinać, bluźnić. Tylko Łukasz wspomina o nawróceniu Dobrego Łotra i przytacza słowa wypowiadane przez ukrzyżowanych złoczyńców. Pierwszy urąga Jeszui: „Czy Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw więc siebie i nas". Drugi karci kompana: „Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż tę samą karę ponosisz? My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił". I dodał: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do swego królestwa".

Sprzeciw – prokurator podnosi fakt, że Dobry Łotr odbierał w swoim mniemaniu „słuszną karę". Czy to możliwe, aby tak mówił antyrzymski bojownik?

Wysoki sądzie, wskażmy przede wszystkim na to, że bardzo mało prawdopodobne jest, by dokładnie tak brzmiał tamten dialog. Biorąc pod uwagę krzyżową mękę, wyraźnie mamy tu do czynienia z literacką stylizacją.

Generalnie hipotezy są dwie. Możemy uznać, że Łukaszowa relacja o nawróceniu łotra została w stu procentach zmyślona, skoro u Marka i Mateusza pojawia się zupełnie inna wersja. Albo – że jest prawdziwa, choć mocno przestylizowana. Nie wszyscy stojący pod krzyżem rozumieli mamrotania umierających. Może tylko ci świadkowie, z których relacji skorzystał Łukasz, dosłyszeli urwane słowa i tak oto ich sens dotarł do ewangelisty?

Sprzeciw – prokurator zarzuca obronie niekonsekwencję. W tym procesie jako zasadę przyjęliśmy unikanie wszelkich dowodów i hipotez związanych z wiarą i pobożnością. Przypadek Jezusa rozpatrujemy wyłącznie w świetle świadectw historycznych i żelaznych zasad wnioskowania. Tymczasem obrona zakłada, że Jezus dysponował ponadprzeciętną, niemalże boską siłą oddziaływania na innych. Jakie bowiem może być inne wyjaśnienie dla sytuacji, gdy złoczyńca umiera na krzyżu, Jeszuę po raz pierwszy w życiu zobaczył prawdopodobnie tego samego dnia – a nagle oświadcza, że spotkał Bożego Syna?

Wysoki sądzie, to prawda – zgadzamy się co do tego, że w tym procesie nie będziemy szermować argumentami z wiary, by ostateczny wyrok był przekonujący dla każdego obywatela. Dlatego chcemy zwrócić uwagę jeszcze na jedną, mało znaną interpretację wspomnianego przez oskarżyciela wydarzenia.

Otóż można założyć, że Dobry Łotr wcale nie uznał, że Jeszua jest Synem Bożym. Ale żal mu się zrobiło tego niewinnego człowieka tak głęboko przekonanego, że ma do wykonania misję zleconą przez Jahwe. Aby zatem ulżyć nieco konającemu i sprawić, żeby Jeszua opuścił ten świat z przekonaniem, że są tacy, co mu uwierzyli – łotr wyrzekł słowa, których sens przekazał Łukasz. To byłby kolejny dowód na to, że Dobry Łotr był dobry – ale czy tak było, tego nigdy się nie dowiemy.

Wysoki sądzie, bez względu na to, czy tuż przed śmiercią Dobry Łotr się nawrócił, czy nie, wnosimy o uznanie naszego klienta nie za zwykłego złoczyńcę, ale antyrzymskiego buntownika. Wskazują na to nie tylko Ewangelie, ale także analizy stricte historyczne. Zgoda, że nasz klient stosował metody, eufemistycznie rzecz ujmując, dyskusyjne, ale pytanie o granicę między oporem i terroryzmem to już inna, całkiem zresztą aktualna kwestia. Dlatego oczekujemy rehabilitacji człowieka znanego jako Dobry Łotr. ●

Wizja lokalna: 7 kwietnia 30 roku, minęła godzina 15, wzgórze Golgota. Jeszua już umarł – nic dziwnego, był wycieńczony długimi przesłuchaniami i procesem, wielokrotnie poddawany torturom. Ale ze względu na zbliżające się święto trzeba przyspieszyć agonię dwóch pozostałych skazańców. Oprawcy podchodzą, by połamać im golenie – ciało zawiśnie wtedy bezwładnie, a to spowoduje uduszenie.

Nie da się odtworzyć, co w ostatnich sekundach życia myślał jeden z dogorywających skazańców. Być może żałował, że za chwilę oprawcy wrzucą jego trupa do zbiorowego grobu i pamięć o nim na zawsze zaginie. Bo na pewno nie sądził, że na początku XXI wieku ponad miliard katolików będzie czciło go jako pierwszego w historii ich religii świętego. □

Pomoc dla biblijnych detektywów, czyli książki w artykule często przywoływane

- Victor Loupan, Alain Noël „Śledztwo w sprawie śmierci Jezusa"
- Geza Vermes „Kto był kim w czasach Jezusa"
- Geza Vermes „Jezus Żyd. Ewangelia w oczach historyka"
- Geza Vermes „Twarze Jezusa"
- „Apokryfy Nowego Testamentu. Ewangelie apokryficzne" (część pierwsza i druga)
- Józef Flawiusz „Dawne dzieje Izraela"
- Gianfranco Ravasi „Twarze Biblii"
- Michael L. Cook „Odpowiedzi na 101 pytań o Jezusa"
- Alfons Józef Skowronek „Kim jest Jezus z Nazaretu?"
- Jan Gać „Ziemia Święta. Kulturowy przewodnik śladami Jezusa"

Sportowe emocje na horyzoncie!



Kup komplet opon Continental i wyjedź do Afryki Południowej!



Więcej informacji na stronie: www.continental.pl

Continental
Tyres – Engineered in Germany.

POLITYKA RODZINNA MACIEJ JARKOWIEC, IGOR RYCIAK

Z dziadkiem po głosy

Prześwietlamy przodków kandydatów na prezydenta, zanim rozszarpią ich pitbulle nasłane przez sztaby wyborcze przeciwników

Jedną z większych awantur politycznych ostatniego dwudziestolecia, porównywalną z nocą teczek Macierewicza lub wizytą Rywina u Michnika, wywołał dziadek Donalda Tuska. „Poważne źródła na Pomorzu mówią, że zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu" – donosił Jacek Kurski z PiS w wywiadzie opublikowanym dzień po pierwszej turze wyborów prezydenckich 2005 roku.

Tego samego dnia PO organizuje konferencję prasową. – Wiedzieliśmy, że takie oszczerstwo jest przygotowywane, ale nie wierzyłem, że sztab Kaczyńskiego się na to zdecyduje – Jacek Protasiewicz, szef sztabu kandydata na prezydenta, jest poirytowany. Działacze PO wyjaśniają, że przed wojną Józef Tusk działał w polskim samorządzie w Gdańsku, a od 1939 roku był więziony w obozach koncentracyjnych.

Pokazują też dokumenty z lat 1947–1949, z których wynika, że drugi dziadek lidera Platformy, Franciszek Dawidowski, był działaczem Związku Polaków w Gdańsku, a po wybuchu wojny członkiem Tajnej Organizacji Wojskowej.

Tusk wieczorem, po powrocie z Londynu, oburza się: – Moi dziadkowie nie byli w Wehrmachcie.

W środę 12 października, dwa dni po wywiadzie „pitbulla Kaczyńskich" (jak z czasem nazwano Kurskiego), kilka warszawskich redakcji dostaje okrężną drogą informację od sztabowców PiS: w Berlinie, w takiej i takiej dzielnicy, przy takiej i takiej ulicy znajduje się archiwum. Tam szukajcie.

Pierwsi na mecie są dziennikarze „Wiadomości" TVP. Obwieszczają: tak, Józef Tusk był żołnierzem Wehrmachtu.

Czy trafił tam na ochotnika, jak chciałby Jacek Kurski, czy został do służby zmuszony? Nie wiadomo. Ale to nie ma już znaczenia. W błyskawicznym sondażu dziewięć procent respondentów stwierdza, że afera zmniejszyła ich chęć głosowania na Donalda Tuska. To wystarczy. 23 października nowy prezydent melduje bratu wykonanie zadania.

Jesienią tego roku ruszy kolejna kampania prezydencka. Zanim sztabowcy zaczną skakać po drzewach genealogicznych kandydatów, „Przekrój" już teraz prześwietla przodków – sprawdzamy, czy dziadek okaże się bombą, czy małym kapiszonem.

Odpowiedzmy najpierw na to drugie pytanie. Czy w doświadczonej zachodniej demokracji z powodu dziadka udałoby się rozpętać taką awanturę jak w Polsce? – Nie sądzę – mówi nam Matt Eventoff, właściciel Princeton Public Speaking z New Jersey, firmy doradzającej biznesmenom i politykom w sprawach komunikacji społecznej. – W amerykańskich kampaniach na wszystkich szczeblach już od kilku lat o rodzinie mówi się coraz mniej lub wcale – wyjaśnia Eventoff. – Internet, nowe media, zawrotne tempo, z jakim rozchodzi się informacja, sprawiają, że kandydaci już na starcie są dokładnie prześwietleni, a wyborcy są zmęczeni nadmiarem wiedzy o ich życiu osobistym.

Nadmierne chwalenie się bohaterskim przodkiem może zaszkodzić w takim samym stopniu jak wywlekanie brudów krewnych konkurencji

Eventoff dodaje, że nadmierne chwalenie się bohaterskim przodkiem może zaszkodzić tak samo jak zbyt ochocze wywlekanie brudów, prawdziwych czy domniemanych, krewnych konkurencji. – Wyborców mało one obchodzą – twierdzi.

U nas, niestety, ciągle ta prawda nie działa. Zaglądamy zatem do odległej przeszłości dziadka Bronisława Komorowskiego (gdy piszemy ten tekst, marszałek Sejmu jest jeszcze kandydatem PO na kandydata PO na prezydenta RP). – Przyznaję się na wszelki wypadek. Wolę, aby nikt podczas kampanii mi nie wyciągał, że był piratem – wyznał Komorowski dziennikarzom. I dodał z uśmiechem: – Mieć dziadka pirata to był szacunek na podwórku. Nikt mi nie podskoczył.

Prześwietlamy: Juliusz Komorowski, dziadek Bronisława, w czasie I wojny światowej służył w 14. Dywizji Strzelców Syberyjskich. W 1918 roku stacjonował w ogarniętej rewolucją bolszewicką rosyjskiej miejscowości Perm. To tam zebrał grupę Polaków i Rosjan, z którą zajął i porwał statek rzeczny. Kiedy płynął Kamą, a potem Wołgą, snuł plany dotarcia aż do Morza Kaspijskiego. Zatrzymał ich zamieniony w fortecę most w Astrachaniu – tuż przed morzem. Piraci zostali pojmani, większość rozstrzelano. Dziadek Juliusz zbiegł i przedarł się do Wilna, gdzie wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. Zmarł w 1982 roku. – Gdybym miał trzeciego syna, nazwałbym go Juliusz – stwierdził Bronisław Komorowski.

Dziadek za 10 tysięcy

Na dziadkach urzędującego prezydenta można nieźle zarobić. Za dowód, że któryś z nich należał do Komunistycznej Partii Polski, poseł Platformy Janusz Palikot wypłaca 10 tysięcy złotych (pełny regulamin dostępny w jego blogu). Współwłaściciel prezydenckiego dziadka studzi zapał śledczych: – Oczywiście żaden z naszych dziadków w KPP nie był. Najwyraźniej pan Palikot posuwa się coraz dalej w swojej chorobie – wyjaśnia Jarosław Kaczyński.

Prześwietlamy: Aleksander Jaśkiewicz, dziadek braci Kaczyńskich ze strony matki, był inżynierem. W 1920 roku razem z braćmi – zawodowymi oficerami – walczył w wojnie przeciw bolszewikom. W okopach rozchorował się na gruźlicę i został zwolniony do cywila. Między wojnami mieszkał w tej samej kamienicy na warszawskim Żoliborzu, w której później rezydował Jacek Kuroń. Był członkiem Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej związanej z Polską Partią Socjalistyczną, miał warsztat mechaniczny. Według rodzinnych opowieści po wojnie, gdy zakład znacjonalizowano, pojawił się w nim pracownik sprzed wojny i oświadczył, że teraz on jest tu dyrektorem. – A czytać się pan nauczyłeś? – miał burknąć Jaśkiewicz.

Zmarł w 1951 roku, gdy bliźniacy mieli dwa lata, więc Jarosław i Lech nie mają po nim żadnych wspomnień.

Pamiętają za to spacery z drugim dziadkiem – Aleksandrem Kaczyńskim. Zabierał ich na przechadzki po stołecznym Dworcu Gdańskim, gdzie podczas niemieckiej okupacji pracował jako kolejarz. Nie ta praca zrobiła więc z dziadka rodzinnego bohatera. Cofnijmy się do 1918 roku. Wtedy to Aleksander (razem z kolegą) napadł na niemiecki pociąg wojskowy, rozbroił żołnierzy i skonfiskował im broń. Między wojnami pracował na kolei – najpierw jako naczelnik węzła kolejowego w Baranowiczach (dzisiejsza Białoruś), potem w dyrekcji okręgowej w Brześciu. Gdy Kresy zajęła Armia Czerwona, dziadek Aleksander z babcią Franciszką uciekli →



Franciszka i Aleksander Kaczyńscy, **babcia i dziadek urzędującego prezydenta.** *Według rodzinnej legendy w 1918 roku Aleksander z kolegą zajął niemiecki pociąg wojskowy, rozbroił żołnierzy i skonfiskował broń*



Józef Tusk, **dziadek Donalda,** *był gdańskim lutnikiem samoukiem. Do śmierci nie opowiadał o swojej służbie w Wehrmachcie, do którego prawdopodobnie został wcielony siłą*



Stanley Dunham, **dziadek Baracka Obamy** *ze strony matki, w czasie II wojny światowej walczył z Niemcami we Francji. Po powrocie serdecznie uściskał swoją żonę Madelyn*



John Sidney McCain Senior, **dziadek Johna McCaina**, *kontrkandydata Obamy w wyborach prezydenckich, był tak szanowanym bohaterem wojny na Pacyfiku, że jego imię nosi amerykański okręt wojenny*



Juliusz Komorowski, **dziadek marszałka Sejmu**, *ma w życiorysie piracki epizod – uprowadzonym statkiem uciekał z ogarniętej rewolucją Rosji*



György Sárközy (pierwszy z prawej), **dziadek prezydenta Francji,** *był węgierskim arystokratą, katolikiem. Ożenił się z protestantką, ich syn – z grecką Żydówką. Wnuk, Nicolas, jest katolikiem*

→ do Warszawy. Jarosław Kaczyński wspominał: – Dla dziadka Kaczyńskiego wojna była kataklizmem. Został zdegradowany, stracił dom, który kupił w Brześciu. Ratowała go babcia Frania, która przed wojną zajmowała się obrotem nieruchomościami – mówił.

I tyle. Jak dla nas, dziadkowie pana prezydenta są w porządku.

Dziadek weteran

To, że w USA zainteresowanie przeszłością kandydatów jest mniejsze niż u nas, nie znaczy, że nie ma go wcale. – Historia rodzinna Obamy była jednym ze składników budowania jego image'u – mówi nam Matt Eventoff. – Jego ojciec był Kenijczykiem, matka białą Amerykanką, kilka lat dzieciństwa spędził w Indonezji, gdzie wychowywał go muzułmanin. Kandydat o tak różnorodnych korzeniach przedstawiany był jako osoba, która do Białego Domu wniesie szczególną wrażliwość na amerykańską wielokulturowość.

Bruce Newman, profesor Uniwersytetu De Paul z Chicago, autor książek o marketingu w polityce, przypomina, że jednym z najpopularniejszych gadżetów wyborczych był znaczek z twarzą Obamy we wszystkich możliwych kolorach: – Jego etniczny eklektyzm był świetnym materiałem marketingowym. Taki człowiek miał być prezydentem wszystkich Amerykanów bez względu na kolor i pochodzenie.

Przeszłość rodziny Obamy została więc przez jego doradców wpisana w strategię marketingową kampanii – przyszły prezydent pojechał w odwiedziny do babki mieszkającej w małej kenijskiej wiosce Kogelo. Ponadto w bardzo osobistym tonie opowiadał o relacjach z ojcem – z jednej strony podkreślał, że poznał smak rozbitej rodziny, a z drugiej mówił wyborcom, iż wybaczył tacie, który go zostawił i wrócił do Afryki, by budować niepodległą Kenię.

Republikański kandydat John McCain też próbował ugrać coś dla siebie – przypominał o bohaterskiej służbie swojego ojca i dziadka: Johna S. McCaina juniora i Johna S. McCaina seniora (obaj byli admirałami, na ich cześć zwodowany w 1994 roku niszczyciel otrzymał miano USS „John S. McCain"), ale przy opowieściach Obamy jego rodzinne anegdoty wyglądały jak czarno-biały film wojenny, czyli raczej drętwo.

Polscy kandydaci ze zrozumiałych względów etnicznie eklektyczni nie są. Ale tak jak McCain mogą pochwalić się dziadkami weteranami. O kilku już napisaliśmy wcześniej, pora sięgnąć po następnych.

Prześwietlamy: dziadek Radosława Sikorskiego, drugiego kandydata na kandydata, kilka razy czmychnął śmierci sprzed nosa i dożył spokojnej starości. We wrześniu 1939 roku Józef Paszkiewicz (bo mowa o dziadku ze strony matki) walczył w bitwie nad Bzurą, gdzie został ciężko ranny. Po krótkim leczeniu w szpitalu maltańskim w Warszawie wrócił do Bydgoszczy. Tam, jeszcze na dworcu, został aresztowany, gdyż przed wojną był dyrektorem polskiej szkoły powszechnej w tym mieście. Uniknął niechybnego rozstrzelania dzięki wstawiennictwu znajomego niemieckiego urzędnika. Trafił do stalagu w Czarnem, a końca wojny doczekał na robotach u bauera pod Szczecinkiem. Miał szczęście, bo gospodarz, gdy dowiedział się, że jego robotnik to nauczyciel biegle mówiący po niemiecku, dał mu lekką pracę buchaltera. Józef Paszkiewicz zmarł w 1990 roku.

W zachodnich demokracjach marketing polityczny zbudowany jest wokół konkretnych zagadnień społecznych, a nie emocji, ideologii czy historii

Drugi dziadek Sikorskiego, podobnie jak dziadek Tuska, w wojsku meldował się po niemiecku. Na szczęście było to w czasie I wojny światowej, w której walczył jako poddany cesarza Niemiec. W roku 1920 Franciszek Sikorski wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Zmarł w czasie okupacji na atak wyrostka robaczkowego, gdy niemieccy lekarze w okupowanej Bydgoszczy odmówili pomocy polskiemu Untermenschowi.

Skoro kolejny już raz wspominamy wojnę z bolszewikami, to nie da się ukryć, że dziadek Jerzego Szmajdzińskiego, kandydata Sojuszu Lewicy Demokratycznej, był ranny w bitwie pod Beresteczkiem. Oczywiście nie w tej najsławniejszej z 1651 roku, gdy pokonaliśmy Kozaków, ale w dużo mniejszej podczas wojny w 1920 roku. Dziadek za ranę dostał skromną rentę, pracował ponadto jako woźny w urzędzie gminy, potem jako listonosz, do tego dorabiał stolarką. W 1943 roku Niemcy uznali, że jest zdolny do pracy, i wywieźli go na roboty przymusowe na Śląsk. Zmarł w 1948 roku.

Dziadek Żyd

Co mają zrobić kandydaci, których dziadkowie nie mieli tak barwnych życiorysów? O dziadku Ludwika Dorna wiadomo tylko, że pochodził z Tarnopola, był Żydem i prowadził zakład optyczny. Zginął jak prawie cała rodzina, w Holocauście. Historia dziadka była w rodzinie Dorna tematem tabu. – Pamiętam rozmowę z tatą podczas niedzielnego spaceru po Lesie Młocińskim – opowiadał kandydat Polski Plus. – Miałem wtedy 10 czy 12 lat. Usiłowałem wyciągnąć od niego wspomnienia. Wymykał się, wpadał w dygresje, nic konkretnego mi nie powiedział.

Dorn domyśla się tylko, że dziadek był człowiekiem religijnym i niezbyt zamożnym.

W tym momencie nie uciekniemy przed porównaniem z prezydentem Francji Nicolasem Sarkozym. Jego dziadek urodził się w greckich Salonikach w 1890 roku w rodzinie Mallah, jednym z zamożniejszych klanów żydowskich w mieście. Aaron Mallah trafił do Paryża jeszcze przed II wojną światową i w czasie okupacji uciekł ze stolicy. Ukrywał się na wsi na południu kraju, w części rządzonej przez rząd w Vichy. 57 osób z rodziny Mallah zostało zabitych przez nazistów.

Drugi z dziadków, György Sárközy, był węgierskim arystokratą. Miał majątek ziemski w miejscowości Alattyán, 90 kilometrów od Budapesztu. Jego rodzina uciekła z Węgier w obawie przed Armią Czerwoną.

Czy pochodzenie Sarko miało jakieś znaczenie podczas kampanii wyborczej w 2007 roku? – Marginalne – mówi nam Krzysztof Soloch z paryskiego instytutu spraw międzynarodowych. – Przyszłego prezydenta próbował dyskredytować Jean-Marie Le Pen, lider nacjonalistycznego Frontu Narodowego, ale nikt nie podjął tego tematu.

Kwestia pochodzenia wypłynęła też kilka razy w debatach o polityce zagranicznej. Sztab rywalki Sarko, socjalistki Ségolène Royal, sugerował nieśmiało, że Sarkozy nie będzie obiektywny wobec Bliskiego Wschodu. I znów nikt nie poszedł tym śladem.

Poważne opiniotwórcze dzienniki we Francji zwyczajowo publikują teksty opowiadające rodzinne historie najważniejszych kandydatów. Ale są to czysto informacyjne artykuły bez żadnych polemik. Podobnie jest na Wyspach Brytyjskich. Informacja o tym, że pradziadek szykującego się do władzy Davida Camerona był Żydem, została podana w formie atrakcyjnej ciekawostki – naukowcy z Manchesteru ustalili bowiem, że Cameron może być w prostej linii potomkiem Mojżesza.

Bruce Newman tłumaczy, że w nowoczesnych kampaniach wyborczych na wywlekanie historii rodzinnych – czy to na swoją korzyść, czy na zgubę rywala – zwyczajnie nie ma miejsca.

Problemy, nie dziadek

Dzisiejszy marketing polityczny to olbrzymia machina napędzana gigantycznymi pieniędzmi, sterowana przez najlepszych fachowców i oparta na najnowocześniejszych technologiach – opowiada Newman. – Wyborczy przekaz jest jak każdy inny produkt, który trzeba sprzedać. Elektorat jest dzielony na grupy docelowe, które następnie wnikliwie się bada. Chodzi przecież o to, aby w odpowiednim czasie dotrzeć z jak najdokładniej wymierzonym przekazem do odbiorców. Po takich badaniach widać jak na dłoni, co najbardziej ludzi interesuje. Dlatego w zachodnich demokracjach w dużo większym stopniu niż w Polsce marketing polityczny zbudowany jest wokół konkretnych zagadnień społecznych, a nie emocji, ideologii czy historii. Sztabowcy wiedzą, że ludzie chcą słuchać o emeryturach, pensjach, zasiłkach, kredytach, podatkach, pracy, bezrobociu. Dopiero w drugiej kolejności mówi się im o sprawach światopoglądowych – aborcji, mniejszościach, religii. Sentymenty rodzinno-historyczne lądują na samym końcu, jeśli w ogóle starcza na nie czasu.

Newman nie ma wątpliwości, że także kampanie wyborcze w Polsce będą się profesjonalizować i na „dziadków z Wehrmachtu" zacznie brakować miejsca. – Badania pokazują, że młody elektorat, dokonując wyboru, kieruje się wymiernymi, merytorycznymi przesłankami – przekonuje nasz rozmówca. – Historia rodzinna kandydata może interesować jedynie ludzi starszych. Również u was marketing polityczny podąży za tym trendem.

Być może. Na przykład podczas debaty przedkandydackiej, którą odbyli Sikorski i Komorowski, żaden słowem nie nawiązał do rodziny swojej lub przeciwnika. I całe szczęście. Dziadkom, choćby najbardziej barwnym, należy się święty spokój. □

Korzystaliśmy z książek: *Michał Karnowski, Piotr Zaremba, „O dwóch takich... Alfabet Braci Kaczyńskich"; Ludwik Dorn, Amelia Łukasiak, Agnieszka Rybak, „Rozrachunki i wyzwania. Ludwik Dorn"; Łukasz Warzecha, „Strefa zdekomunizowana".*

RADIO VOX FM *Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 30 marca o godz. 20.00*

FOT. ISTOCK, AFP/EAST NEWS, ARCHIWUM RODZINNE/KFP, EAST NEWS, © COURTESY JOHN MCCAIM/ZUMA/FORUM, ARCHIWUM PRYWATNE, LASZLO BALOGH/REUTERS/FORUM

REKLAMA





ILUSTRACJA PIOTR PACZKOWSKI/ART MANUFAKTURA.EU

KOSMETOLOGIA I TERROR TEKST ŁUKASZ WÓJCIK, ILUSTRACJA PIOTR PACZKOWSKI

Bomba jadowa

Botoks, czyli najsilniejsza znana człowiekowi naturalna broń biologiczna, jest dziś dla terrorystów na wyciągnięcie ręki. Wszystko przez ludzki pęd do piękna

Gdy elektroniczną skrzynkę pocztową zalewa fala śmieciowych maili, w szale kasowania łatwo przeoczyć informacje być może kluczowe dla przyszłości świata. I wcale nie chodzi tu o jeszcze tańszą viagrę czy list od założyciela rewolucyjnego ruchu religijnego, który zbawienie oferuje za pół darmo.

Najlepiej sprzedającym się w sieci medykamentem są środki odmładzające. To ich reklamy najczęściej wciska się internautom w strumieniu spamu. Liderem na tym rynku jest słynny botoks, substancja, która wygładza zmarszczki. Legalnie produkuje ją zaledwie osiem firm farmaceutycznych na świecie. Superoferty sprzedaży, które zapychają nasze skrzynki, dotyczą botoksu nielegalnego, wytwarzanego najczęściej gdzieś w Azji.

Ale powtórzmy: temu, kto wyrzuca do e-kosza taką pocztę przed przeczytaniem, umyka coś, co może zaważyć na losach ludzkości – informacja o cenie. O ile fiolka tej substancji wytworzona przez legalnych producentów kosztuje około 400 dolarów, o tyle wersja garażowa może być nawet dwudziestokrotnie tańsza. Taka okazja byłaby atrakcyjna głównie dla wielbicieli gładkiej cery, gdyby nie osobliwa właściwość botoksu – może się on okazać pierwszą bronią masowego rażenia, na której zarobić mogą nawet chałupnicy.

Do bólu skuteczny

Botoks to komercyjna wersja jadu kiełbasianego, najbardziej toksycznej substancji naturalnej znanej człowiekowi. Porcja mniejsza od ziarenka piasku teoretycznie może zabić 150 osób. Jeszcze w latach 30. zgony wywoływane spożyciem mięsa zatrutego jadem o mało nie doprowadziły do upadku przemysłu konserwowego. Gdyby wtedy ktoś przekonywał, że 70 lat później jad kiełbasiany będzie powszechnie stosowany w medycynie i kosmetologii, uznano by go za wariata.

Jad kiełbasiany to toksyna wytwarzana przez bakterię *Clostridium botulinum*. Spełnia funkcję zewnętrznego kwasu trawiennego – bakteria za pomocą jadu przygotowuje sobie martwe mięso do spożycia. Proces ten zachodzi tylko w środowisku beztlenowym, więc zamknięta konserwa zapewnia bakterii cieplarniane warunki. Zatrucie jadem bez intensywnej pomocy lekarskiej kończy się śmiercią. Gdy przedostanie się już do krwi, najpierw paraliżuje mięśnie kończyn, a następnie te odpowiedzialne za oddychanie, co prowadzi do śmierci w wyniku uduszenia. Pacjent, którego uda się uratować za pomocą respiratora oraz porcji antybiotyków i antytoksyn, jeszcze przez kilka tygodni cierpi na paraliż mięśni.

Jad stosowany w medycynie i kosmetyce działa na tej samej zasadzie, choć na nieporównywalnie mniejszą skalę. Jego śladowe ilości rozcieńczone w botoksie po wstrzyknięciu pod skórę paraliżują mięśnie, a te, rozkurczając się, wygładzają zmarszczki. To dlatego osoby, które wpuściły go sobie w okolice oczu, przez pół roku nie są w stanie ruszać brwiami.

Właściwości paraliżujące jadu kiełbasianego, zbawienne w kryzysie wieku średniego, mogą mieć zgoła inne – niezbawienne – zastosowanie. W 2004 roku profesor Lawrence M. Wein z Uniwersytetu Stanforda na zamówienie amerykańskiego rządu przeprowadził analizę pewnej hipotetycznej sytuacji. Do wypełnionej mlekiem cysterny trafia dziesięć gramów czystego jadu kiełbasianego. Zatrute mleko dociera do mleczarni. Po pasteryzacji jest rozlewane do butelek i rozwożone do sklepów w kilkumilionowym mieście. Według Weina w ciągu dwóch, trzech dni jadem zatruje się około pięciuset tysięcy mieszkańców. W ciągu następnych 24 godzin połowa z nich umrze z powodu uduszenia. Naukowiec twierdzi, że najlepiej przygotowane do takich nadzwyczajnych sytuacji miasta w USA mogą szybko zorganizować kilka tysięcy łóżek z respiratorami. Czyli sto razy mniej, niż potrzeba.

Śmiercionośne właściwości jadu kiełbasianego wielokrotnie próbowali wykorzystać wojskowi. Niemcy w 1944 roku mieli przygotowane magazyny z jadem na wypadek alianckiego lądowania we Francji. Ostatecznie nie wykorzystali go w obawie przed rozpętaniem wojny biologicznej, do której alianci też byli gotowi. Po 1945 roku USA i ZSRR finansowały gigantyczne programy badawcze nad tą substancją, z czasem jednak zarzucone.

Problemem nie do pokonania okazał się sposób dostarczania toksyny na miejsce ataku. Jad kiełbasiany źle znosi ciepło, więc umieszczenie go w głowicy rakiety nie wchodzi w grę. Poza tym pojawiły się podobne wątpliwości jak w przypadku użycia bomby jądrowej – państwo, które wykorzysta taki środek przeciw innemu, naraża się na równie wyniszczający odwet. Ale to niejedyne podobieństwo bomby jadowej do jej jądrowego odpowiednika. Teoretycznie skutecznie dostarczony gram jadu kiełbasianego może zabić setki tysięcy ludzi. I jak w przypadku bomby jądrowej, jego działanie nie jest selektywne, co tylko wzmacnia psychologiczny wydźwięk takiego ataku.

Bomba jadowa jest więc idealną bronią dla niewielkiej grupy, która nie obawia się odwetu, a jej członkowie są w stanie poświęcić życie, żeby dostarczyć ładunek na miejsce ataku. Sami terroryści nic lepszego by nie wymyślili.

Amerykańskie służby specjalne już w latach 90. analizowały prawdopodobieństwo ataku terrorystycznego z użyciem bomby jadowej. Wtedy jednak wspólna komisja CIA i kilku najlepszych wydziałów biologii w USA doszła do wniosku, że taki scenariusz jest mało prawdopodobny, bo na drodze do jego realizacji stoją trzy przeszkody: produkcja czystego jadu kiełbasianego wymaga ogromnej wiedzy, sporego zaplecza laboratoryjnego oraz znaczących nakładów finansowych. Dziś to już nie są żadne przeszkody. Według najnowszego raportu jednej z najbardziej znanych instytucji zajmującej się przeciwdziałaniem rozprzestrzenianiu broni masowego rażenia, James Martin Center for Nonproliferation Studies, do wyprodukowania jednego grama czystego jadu kiełbasianego wystarczy jeden biolog i dwa tysiące dolarów na surowiec oraz wyposażenie laboratorium.

Tani, że aż strach

Bakterie produkujące jad kiełbasiany tak powszechnie występują w naturze, że można chwycić za łopatę, przynieść trochę ziemi z własnego ogródka, dorzucić stary schab, zawekować w słoiku i zostać w ten sposób chałupniczym producentem broni biologicznej. Problem jedynie w tym, że tylko kilka na 700 szczepów bakterii *Clostridium botulinum* produkuje naprawdę silną toksynę.

Przekonał się o tym Shoko Asahara, przywódca japońskiej sekty Najwyższa Prawda, który w latach 90. kilkakrotnie rozpylał jad kiełbasiany w tokijskim metrze. Na szczęście bez rezultatów. Śmiertelny skutek (12 zabitych, 5 tysięcy zatrutych) Asahara osiągnął dopiero, używając innej substancji – sarinu, który jest jednak 100 tysięcy razy mniej toksyczny od jadu kiełbasianego. Jak wykazało dochodzenie, próby z jadem były nieudane nie tylko z powodu problemów z jego rozprowadzeniem. Lider Najwyższej Prawdy produkował go według wyżej podanego sposobu i akurat trafił na łagodny szczep bakterii.

Dziś jednak wcale nie trzeba przekopywać ogródka w poszukiwaniu odpowiedniego szczepu. Najbardziej toksyczny jad kiełbasiany można legalnie kupić w aptece lub w Internecie pod postacią botoksu. Do niedawna głównym problemem była cena, bo do uzyskania śmiertelnej dla człowieka dawki jadu kiełbasianego trzeba zużyć kilkaset fiolek substancji. Dzięki lewemu botoksowi nie jest →

FOT. AP/BE&W, SPL/EAST NEWS



Tokijskie laboratorium **Shoko Asahary**, *założyciela sekty Najwyższa Prawda. Eksperymentował z botoksem, ale ostatecznie* **wybrał sarin**

→ to już tak kosztowne. Potencjalni terroryści mogą za to podziękować niewidzialnej ręce rynku.

Jak donosił w styczniu „The Washington Post", globalny rynek obrotu botoksem dostarczanym z Azji w ostatnich kilku latach niemal rokrocznie się podwaja. Centrum jego zbytu stanowi Rosja i Europa Wschodnia. W większości państw tego regionu botoks można kupić bez recepty. Trucizna ta jest wprawdzie chroniona patentem, ale rosyjskim aptekom nie przeszkadza to przyjmować chińskich fiolek. Waszyngtoński dziennik podaje przykład handlarza, który na wiele miesięcy opanował rynek botoksu w Sankt Petersburgu. Przyjeżdżał do miasta z walizką pełną nielegalnego towaru i oferował go salonom kosmetycznym po niewiarygodnie niskiej cenie. Zapewniał jednocześnie, że jest w stanie dostarczyć każdą ilość substancji od swoich czeczeńskich dostawców.

Coraz bardziej powszechny

Eksperci od broni biologicznej obawiają się, że w samej Czeczenii może działać kilkanaście garażowych fabryk botoksu. Charles Millard z Instytutu Waltera Reeda, największej rządowej placówki biomedycznej w USA, pisze o eksplozji produkcji tej substancji w Chinach. Tylko w lutym tamtejsze władze zamknęły dwie nielegalne fabryki w prowincji Shanxi. Millard podkreśla również anonimowy charakter zakupu trucizny – wszystko odbywa się za pośrednictwem Internetu, a jak sprawdził „The Washington Post", dane adresowe chińskich sprzedawców są najczęściej fikcyjne.

Kenneth Coleman i Raymond Zilinskas, autorzy wspomnianego już raportu James Martin Center for Nonproliferation Studies, nie tylko ostrzegają, że botoks jest tani i łatwy w produkcji. Alarmują również, że technologia staje się coraz bardziej powszechna. W 2009 roku Amerykanie znaleźli w Afganistanie podręcznik Al-Kaidy, w którym kierownictwo organizacji, na czele z Osamą Ben Ladenem, zachęca podwładnych do wykorzystywania broni biologicznej w walce z Zachodem. Po ideologicznym uzasadnieniu dla użycia takiej broni autor podręcznika na 28 stronach tłumaczy krok po kroku, jak z botoksu otrzymać czysty jad kiełbasiany oraz jak go użyć.

Al-Kaida już w latach 90. wielokrotnie próbowała pozyskać broń biologiczną, między innymi od Libijczyków. Dziś niektórzy eksperci twierdzą, że nie tylko ma ona zapasy jadu kiełbasianego, ale również handluje wytwarzanym z niego botoksem. Autorzy raportu CIA z grudnia 2009 roku sugerują nawet, że to właśnie Al-Kaida kontroluje jego produkcję w Czeczenii.



Inny podejrzany to libański Hezbollah. Organizacja ta od kilku lat oskarżana jest o kontrolowanie czarnego rynku medykamentów na całym Bliskim Wschodzie. Jednak perłę w koronie Hezbollahu stanowi bejrucki przemysł kosmetyczny (stolica Libanu ma jeden z najwyższych na świecie wskaźników operacji plastycznych na mieszkańca). To właśnie firmy kojarzone z Hezbollahem dostarczają tamtejszym salonom piękności tani, podrabiany botoks.

Diabelsko przewrotny

Wygląda więc na to, że ci źli już kontrolują produkcję, znają technologię i mają szczere chęci i fundusze, aby wykorzystać najsilniejszą toksynę, jaką zna człowiek. Dlaczego w takim razie jeszcze tego nie zrobili? Czarny rynek botoksu nie istnieje przecież od wczoraj. Technologia produkcji jadu kiełbasianego stała się dostępna dla wszystkich bogatych i zainteresowanych zaraz po zakończeniu zimnej wojny, kiedy to dyktatury pracujące nad nią od lat chronicznie potrzebowały gotówki.

Sceptycy wskazują na chemiczną niestabilność jadu kiełbasianego. Nie chodzi tu tylko o jego rozpad w gorącej głowicy rakietowej. Rozcieńczony w płynach (również w mleku) jad traci swe mordercze walory po sześciu dniach. Z kolei metoda aerozolowa, jak pokazały tokijskie doświadczenia Najwyższej Prawdy, jest wciąż niedopracowana. Zresztą zatrucie tą toksyną poprzez spożycie jest 40 razy bardziej prawdopodobne niż poprzez wdychanie. Ale zatrucie większej ilości jedzenia jest trudne technicznie do przeprowadzenia.

W dodatku po ostatnim ataku biologicznym w USA, gdy w 2001 roku grupa polityków i dziennikarzy otrzymała w listach laseczki wąglika (zmarło wtedy pięć osób), Amerykanie drastycznie zaostrzyli procedury kontrolne, poczynając od mleczarni, a kończąc na poczcie. Dlatego nawet eksperci, którzy najgłośniej ostrzegają przed jadem kiełbasianym, przyznają, że obecny poziom zabezpieczeń w USA w praktyce uniemożliwia atak jadem przeprowadzony na jeden ze znanych już sposobów. Szkopuł w tym, że najbardziej skuteczne zamachy terrorystyczne były dotychczas przeprowadzane w sposób, który wcześniej nikomu nie przyszedł do głowy (vide zamachy na Nowy Jork i Waszyngton w 2001 roku).

Z chrześcijańskiego punktu widzenia perfidny związek przyczynowo-skutkowy między zapotrzebowaniem na środki odmładzające a dostępnością niszczycielskiej mocy jadu kiełbasianego dla terrorystów mógłby stanowić ostrzeżenie przed boską karą za ludzką próżność. Stojąc jednak na gruncie pozytywizmu naukowego, możemy co najwyżej przyznać, że natura zrobiła nam niezłego psikusa. □

Słuchaj też „**Wiadomości**" w Radio ZET

Arka Medical SPA ★★★★
Kołobrzeg
Wakacje dla dwojga
w terminie od 19.06.2010 do 11.09.2010
Cena:
2 280,00 zł
za 2 osoby
(tydzień)
ARKA MEDICAL SPA
W cenie:
★ 6 noclegów
★ wyżywienie (śniadania, obiady i kolacje)
★ zabiegi w Galerii SPA tj.:
- jacuzzi solankowe
- kąpiel w białej glince
- seans w Grocie Solnej
★ rejs statkiem po Bałtyku
★ zwiedzanie i wejście na latarnie morską
★ kołobrzeski park linowy
★ seanse filmowe w sali kinowo - teatralnej
★ dancingi, wieczorki taneczne, karaoke
★ baseny z wodą morską
★ saunarium czyli sauna sucha i mokra
★ w strefie relaksu słoneczna łączka
tj. opalizujące solarium
★ sale fitness
Dodatkowy tydzień pobytu rabat 10%
REZERWACJE: TEL. 094-353-21-81 ÷ 86, MARKETING@ARKA-MEGA.PL, WWW.ARKA-MEGA.PL

W tym tygodniu:
PROFESOR ROTFELD TWIERDZI, ŻE PUTIN TO NAJODWAŻNIEJSZY ROSYJSKI PRZYWÓDCA – PONIŻEJ
POŚWIĘCENI PRZEKONUJĄ, ŻE WARTO IŚĆ ICH DROGĄ – S. 30–37

Najsztub pyta



PRZEPROSZĄ? NIE PRZEPROSZĄ?

Rozmowa odbyła się 23 marca 2010 roku w Warszawie

7 kwietnia w Katyniu cudu nie będzie. Putin nie ukoi naszej potrzeby rosyjskiej skruchy. Ale i tak, zapraszając Tuska, okazał się najodważniejszym rosyjskim przywódcą – uważa profesor Adam Rotfeld

Słyszymy fanfary rządu PO, że wspólna wizyta Putina i Tuska w Katyniu to przełom. A nie obawia się pan, że Putin po raz kolejny powtórzy, że nie ma za co przepraszać?

– To byłoby czymś kuriozalnym i wykluczam taką możliwość. Jednak to nie będzie przełom, bo sprawa stosunków pomiędzy Polską a Rosją jest procesem. A jednym z jego elementów jest uznanie zbrodni dokonanej w Katyniu 70 lat temu i wyciągnięcie z tego wniosków. Decyzja premiera Putina o zaproszeniu na uroczystości premiera Tuska ma dla nas istotne znaczenie, ponieważ mimo że Gorbaczow i Jelcyn zdobyli się na odwagę i przyznali odpowiedzialność zbrodniarzy stalinowskich za śmierć polskich oficerów w Katyniu, Starobielsku, Ostaszkowie, Charkowie i innych miejscach kaźni oraz uruchomili proces poszukiwania dokumentów, to jednak nigdy do Katynia nie pojechali i nie powiedzieli tego, co należało wtedy powiedzieć. Jest to ze strony Putina odwaga. Dodam: nie była to zbrodnia Rosjan, ale zbrodniczego reżimu, którego ofiarą oprócz Polaków padli też Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Żydzi i wiele innych narodów ZSRR.

A może jest tak, że my niepotrzebnie przypisujemy taką wagę temu spotkaniu premierów, a Rosjan to nie obchodzi?

– To odwaga, bo 98 czy 99 procent rosyjskiego społeczeństwa nigdy o tej zbrodni nie słyszało. Nadal trwają kamuflujące ją zabiegi wymyślone w ZSRR. Jednym z nich była decyzja władz radzieckich, żeby wybudować memoriał we wsi znajdującej się niedaleko katyńskiego lasu, w wiosce Chatyń – po angielsku pisze się to Khatyn. Tę wioskę spalili Niemcy i tam zbudowano bardzo piękny pomnik, muzeum, do którego wożono turystów, gdzie wydawano foldery i ludziom się kojarzyło, że to jest ten Katyń, czyli zbrodnia niemiecka. I to trwa. Na przykład ukazały się ostatnio publikacje niejakiego Władysława Szweda, który powtarza brednie jakby żywcem wyjęte ze stalinowskich podręczników fałszowania historii.

Gardłujemy, że to jest takie ważne, a Putin właściwie nie zrobił czterech rzeczy, które słusznie „Gazeta Wyborcza" wyłuszczyła: po pierwsze, nie odtajnił tych dokumentów, które jeszcze są; po drugie, nie zrehabilitował polskich oficerów; po trzecie, nie zmienił kwalifikacji czynu, czyli to ludobójstwo nadal jest „przekroczeniem uprawnień"; i po czwarte, nie podał danych tych, którzy te rozkazy wykonywali i wydali, choć je zna.

– Zgadzam się. Pamiętajmy jednak, że dla premiera Rosji zbrodnia katyńska to jedna z tysięcy różnych zbrodni dokonywanych z polecenia najwyższych władz przez takich oprawców jak Jagoda, Jeżow, Beria i wielu, wielu innych. Rosjanie często zadają mi takie pytanie: dlaczego my podnosimy tę zbrodnię do takiego wymiaru, podczas gdy były inne, dokonane przez inne narody na Polakach. Że nieporównanie więcej miejsca poświęca się zbrodni katyńskiej niż wielokrotnie większym zbrodniom hitlerowskim czy zbrodniom UPA w stosunku do ludności polskiej w 1943 roku na Wołyniu w Galicji Wschodniej.

I co im pan odpowiada?

– Sprawa wyglądałaby dziś inaczej, gdyby nie było podtrzymywanego przez 50 lat kłamstwa. Gdyby po ujawnieniu pierwszych dokumentów doprowadzono ją do końca i powiedziano: była dokonana rzecz straszna przez stalinowski reżim. Jako państwo, które jest prawnym kontynuatorem ZSRR, mówimy, choć nie myśmy ją popełnili i nie myśmy zawinili, to popełniono ją w imieniu państwa, więc czujemy się za to odpowiedzialni. Gdyby tak się stało, ta sprawa byłaby już jednym z rozdziałów w podręcznikach historii.

A może mamy do czynienia z nacją, która nie jest w stanie tego powiedzieć i nigdy nie będzie?

– Tak nie jest. Nie wierzę w to. Rosjanie sami o sobie mają przekonanie, że są narodem „innym", że wszystko w Rosji ma być inne, demokracja też musi być „suwerenna". Był taki XIX-wieczny rosyjski poeta Fiodor Tiutczew, który wyemigrował z Rosji, po czym jak przyjechał na parę miesięcy i wrócił do Paryża, napisał wiersz, którego strofy są w Rosji cytowane jako swego rodzaju wyznanie wiary: „Nie sposób pojąć jej rozumem/Nie sposób zwykłą miarką mierzyć/Ma w sobie tyle skrytej dumy/Że w Rosję można tylko wierzyć". Mówię Rosjanom, że czas najwyższy, aby przyjąć do wiadomości, iż wszystkie narody mają takie przekonanie o sobie, ale równocześnie mają świadomość, że są porównywalne z innymi i to jest normalne. Bodaj żaden europejski naród tak konsekwentnie od stuleci nie tkwi w przekonaniu, że jest kompletnie inny, prawie jak Marsjanie. Mimo straszliwego terroru w latach 30., 40. i 50. wobec własnych obywateli nigdy nie powiedzieli rodzinom pomordowanych „przepraszamy".

Więc to są może emocjonalni Marsjanie?

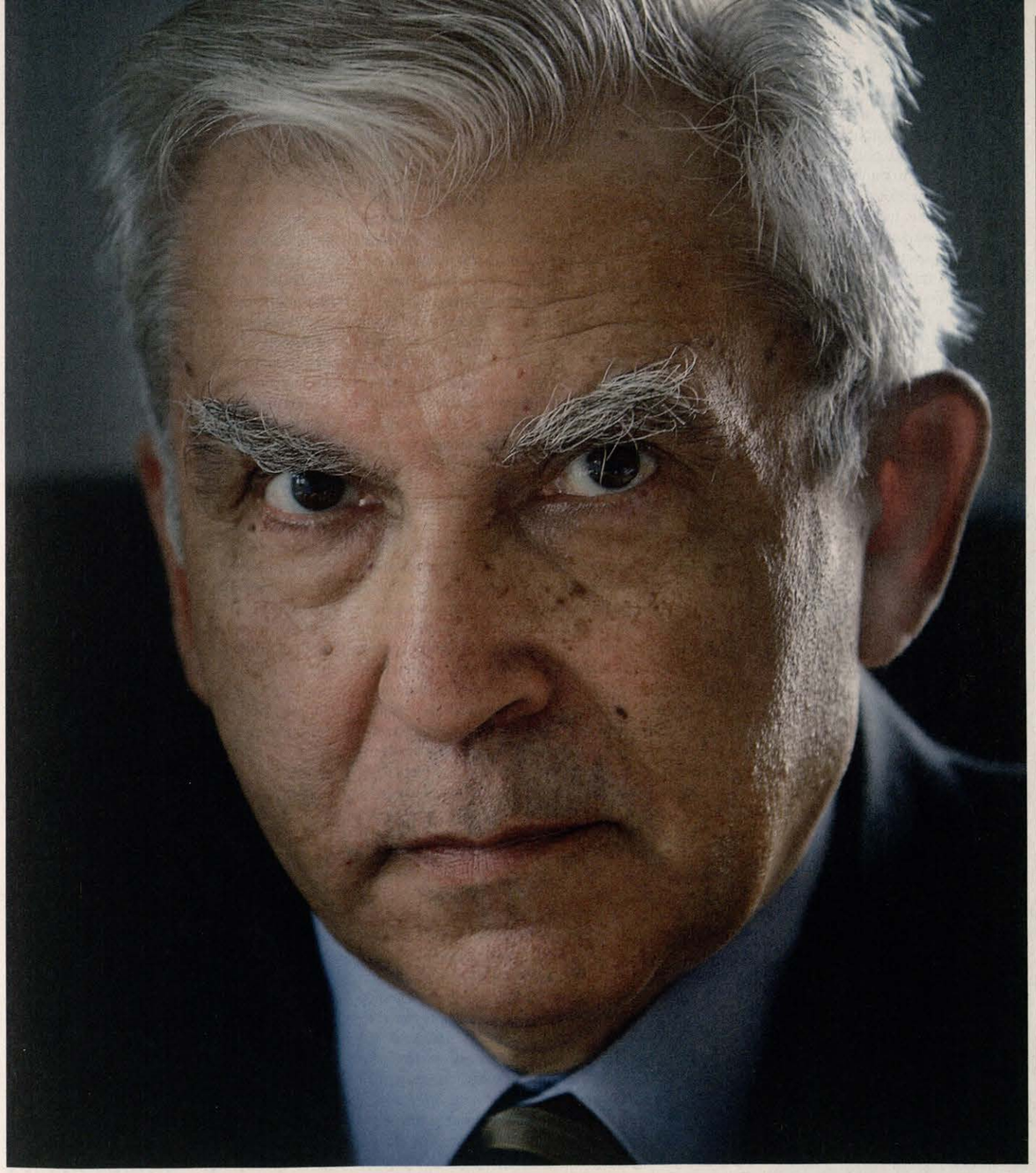
– Nie. W tym zaproszeniu polskiego premiera dostrzegam elementy ostatniego etapu destalinizacji Rosji, której Chruszczow nigdy nie doprowadził do końca. A jego następcy podjęli próby rehabilitacji Stalina.

Ale jeśli media rosyjskie nie pokażą tej wizyty?

– Będzie to znaczyło, że wciąż biorą górę te siły, które są przeciwne destalinizacji. I niekoniecznie są to ludzie władzy. Gdyby władza była zdecydowanie przeciwna destalinizacji, to Miedwiediew w swoich blogach nie pisałby tego, co pisze. A Cerkiew prawosławna – gdyby działała wbrew władzy – byłaby izolowana. Warto wiedzieć, że władza okazuje Cerkwi duże zrozumienie i szacunek – jak się wydaje – znacznie ponad to, w jakiej mierze nastąpił powrót do wiary czy też ewangelizacja Rosji. Nie wierzę w to, że ludzie władzy stali się głęboko wierzący. Ale to, że przywódca Rosji tak o sobie mówi, że w narodzie opowiadają, iż ma u siebie kaplicę, swojego spowiednika i uważa, że Cerkiew może Rosję odrodzić, to jest według mnie próba odbudowania podstaw i norm etycznych oraz zasad moralnych. Do tej pory ich nie było, bo władza radziecka je zniszczyła.

Bo nie da się robić rewolucji, mając za plecami moralność.

– Dziś podejmowana jest próba przywrócenia tych zasad. Wbrew temu, co powszechnie mówią i piszą komentatorzy: że prezydent jest młody, uczciwy i moralny, a premier to starszy, amoralny kagebista, to warto przecież powiedzieć, że nie byłoby Miedwiediewa na stanowisku prezydenta, gdyby tego nie chciał Putin. I jeśli Dmitrij Miedwiediew w blogach, wypowiedziach, listach odwołuje się do społeczeństwa, to znaczy, że chce ominąć tę amoralną →





→ warstwę administracji i odwołać się bezpośrednio do młodego pokolenia. Prawdopodobnie uznano, w tym najwęższym kręgu władzy, że 20 lat po obaleniu tamtego systemu wyrosło już pokolenie ludzi, które nie jest skażone amoralnym, zakłamanym systemem, nie zostało zindoktrynowane poprzednią „wiarą" i które postrzega sprawy oraz rzeczy w sposób normalny. Rozumowanie władz: ujawniając zbrodnię katyńską, dajemy własnemu społeczeństwu sygnał, że czas najwyższy, byśmy tak samo odnieśli się do zbrodni popełnionych na naszym własnym społeczeństwie.

Po co ryzykować protesty i traumę milionów dalej zniewolonych własną historią?

– Po to, by postawić tamę resentymentom, bo one uniemożliwiają rozwój, a właściwie ratunek. Rosja stoi dziś wobec problemu najważniejszego w swojej historii: czy ma być zepchnięta na peryferia, na margines głównego nurtu rozwoju świata, czy ma być państwem, które będzie się szybko modernizować i dokona skoku w normalny świat. A w Rosji jest ogromna liczba zwolenników teorii, że nie trzeba iść drogą, którą podąża Zachód, że należy brać przykład z Chin, bo jest tam system totalitarny, a mimo to mają wspaniałe sukcesy. Powiadają: my możemy tak samo. Ich przeciwnicy odpowiadają: my nie jesteśmy Chińczykami, jesteśmy Europejczykami. Nie powinniśmy za każdym razem na nowo wynajdywać koła. Należy tylko go użyć. Czas najwyższy, żebyśmy zaczęli budować normalne społeczeństwo.

Co pozwala panu sądzić, że władza skłania się ku tym drugim?

– Odpowiem nie wprost. Kiedy Putin doszedł do władzy w 2000 roku, opublikował w Internecie (co było wtedy ewenementem, czyli adresował swoje przesłanie do ludzi, którzy z sieci korzystają) tekst, który był swoistym manifestem jego władzy. Nowa formuła sprawowania władzy miała sprowadzać się do dwóch słów: *dyktatura zakona*, czyli dyktat prawa. Przeczytałem to i wiedziałem, że 50 procent jest jak w banku, czyli dyktatura, a to, co się tyczy prawa, należy opatrzyć znakiem zapytania. Ten znak zapytania po dziś dzień relatywizuje stosowanie prawa. W Rosji, zwłaszcza w warstwie urzędniczej, funkcjonuje głęboko zakorzeniona pogarda dla prawa. Miedwiediew miał odwagę powiedzieć to, czego nie może powiedzieć Putin: żyjemy w kraju, w którym panuje nihilizm prawny. Co z tego, że mamy prawo, skoro ono jest pustym słowem, a urzędnik jest zainteresowany tym, żeby go korumpować, bo ma tak niskie uposażenie, iż byłby biedakiem, podczas gdy wszyscy dookoła się bogacą. I ten nihilizm prawny wspierany przez korupcję to dwie choroby nowotworowe, które mogą okazać się śmiertelne. Ale po to, żeby się leczyć, najpierw należy postawić właściwą diagnozę. To daje szansę na uzdrowienie. Uważam, że obecna ekipa Putin–Miedwiediew dokonała trafnej diagnozy. Jeśli leczenie ma przynieść efekty, muszą wspierać przywracanie etyki i moralności, opierając się na nieskażonych młodych umysłach, które są największym bogactwem Rosji. Większym niż gaz i nafta.

Pan rozmawia z Rosjanami nie tylko w ramach Polsko-Rosyjskiej Komisji do spraw Trudnych, ale także jako członek 12-osobowej tak zwanej Rady Mędrców NATO, która ma wypracować koncepcję przyszłej strategii Sojuszu. Co pan od nich słyszy jako przedstawiciel tej ostatniej instytucji?

– W Rosji mówią na nas „12 apostołów". Po raz pierwszy w historii Sojuszu, przygotowując koncepcję strategiczną NATO, pojechaliśmy do Moskwy, żeby wysłuchać, jak oni postrzegają Sojusz, i powiedzieć im, jak Sojusz zamierza kształtować swoją strategię wobec Rosji. To było doświadczenie ważne i pouczające.

Bo?

– Rosjanie odnieśli się do nas bardzo krytycznie, na szczeblu oficjalnym okazali dystans i nie kryli niechęci.

NATO nadal jest wrogiem?

– Tak, traktowali nas jak przeciwników. Powiedziałem w Dumie, że jest pewna granica tego, co poddaje się ocenom w ramach zdrowego rozsądku. Stwierdziłem: przyjeżdża do was grupa ludzi dobrej woli, przedstawia sposób, w jaki można ułożyć sobie wzajemne stosunki, a wy nam mówicie, że jesteśmy dla was niebezpieczeństwem. Nie postrzegamy Rosji jako zagrożenia. Problemy tkwią wewnątrz Rosji i współpracując z nami, możecie sobie z tymi wewnętrznymi zagrożeniami lepiej poradzić niż bez nas. Niestety, nie było cienia takiego racjonalnego myślenia w oficjalnych wypowiedziach. Zupełnie inaczej wyglądały rozmowy w środowisku akademickim, w Instytucie Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych (IMEMO) oraz w Instytucie Współczesnego Rozwoju (ISR).

Jeszcze nigdy Rosja nie pozwoliła obcym diagnozować wewnętrznych niebezpieczeństw i z nimi wspólnie walczyć.

– Ale to nieracjonalne. Mieliśmy trzy takie spotkania, bardzo krytyczne wobec Sojuszu i momentami napastliwe, agresywne, ale mieliśmy też spotkanie ze środowiskami intelektualistów, nie dysydentów – ludzi, którzy nie są odsunięci na margines, lecz są to członkowie Akademii Nauk, szanowani dyrektorzy instytutów, w tym również instytutu, który wydał książkę „Rossija żełajemogo buduszczego", czyli „Rosja pożądanego jutra". Jest to manifest rosyjskich liberałów, tekst o tym, jak można wyobrazić sobie Rosję, która respektuje prawa człowieka, jest państwem prawa, w której wroga widzi się tam, gdzie rzeczywiście on jest, natomiast w zachodnich demokracjach dostrzega się życzliwych partnerów, przyjaciół. Są to ludzie uważający, że im bliższe będą stosunki NATO i Rosji, tym lepiej. Rozważają oni również takie warianty, w których jeżeli Rosja do tego dojrzeje, powinna rozważyć wstąpienie do Sojuszu. Wróg i zagrożenia będą bowiem dla Rosji i Zachodu wspólne. Spotkałem się indywidualnie z autorami tego manifestu. Zapytałem, jakie znaczenie ma to, że ten raport się ukazał. Odpowiedzieli, że największym sukcesem jest to, że po jego opublikowaniu zainteresowanie tym, co robią, jest nieporównanie większe, niż oczekiwali. O dzisiejszej Rosji – powiadali – wiele mówi to, że żadnego z nich nie zwolniono z pracy, żadnego nie aresztowano, a instytutu nie rozwiązano.

Czy to rzeczywiście jest wydarzenie przełomowe?

– Próbuję jedynie sobie uświadomić – i zachęcam do tego innych, by zrozumieli – gdzie jesteśmy. W wielu sprawach jest tam sytuacja i stan umysłów taki jak mniej więcej w Polsce na początku rządów Gierka. Oczekiwanie na przełom jest bezsensowne, ale trzeba śledzić i wspierać ten proces zmiany Rosji.

A my oczekujemy, że ktoś tam padnie na kolana i bijąc się w piersi, przeprosi... Jesteśmy więc nierozumni?

– W tej sprawie często pada słowo „pojednanie". Również premier Putin na Westerplatte odwołał się do doświadczeń pojednania, jakiego „myśmy dokonali z narodem niemieckim". Miał na myśli pojednanie rosyjsko-niemieckie. Powiem tak: pojednanie nigdy nie może być elementem politycznej gry. Jest to proces o charakterze moralnym, etycznym, indywidualnym. W relacjach polsko-niemieckich nasze doświadczenie było takie, że inicjatorzy pojednania byli izolowani w Polsce, nawet w swoim środowisku. Ta piątka biskupów, która słynny list biskupów polskich do niemieckich przygotowała, nie miała poparcia ani ze strony pozostałych biskupów, ani ze strony większości społeczeństwa...

I to pokazuje, że pojednanie może nastąpić, tylko jeżeli ludzie je akceptują, a nie kiedy instytucje je ogłaszają.

– Trwało to w zasadzie 40 lat, żeby idea przyniosła owoce. W Rosji również proces prowadzący do prawdziwego pojednania z Polską już się zaczął. Po raz pierwszy w historii Cerkiew prawosławna w osobie arcybiskupa Hilariona, metropolity wołokołamskiego, zastępcy patriarchy Rosji Cyryla odpowiedzialnego za sprawy zagraniczne, sygnalizuje, że to, co wydawało się mało prawdopodobne, staje się realne. Arcybiskup Hilarion jest erudytą wykształconym na Zachodzie – jest kompozytorem, autorem dzieł teologicznych, ma niewiele ponad 40 lat. Kiedy spotkałem się z nim jako współprzewodniczący Komisji do spraw

Profesor doktor habilitowany **Adam Daniel Rotfeld**, były minister spraw zagranicznych, jest współprzewodniczącym Polsko-Rosyjskiej Komisji do spraw Trudnych oraz **członkiem grupy ekspertów NATO** (Rada Mędrców) do przygotowania nowej koncepcji strategicznej Sojuszu.

FOT. WOJCIECH DRUSZCZ/REPORTER/EAST NEWS; RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARKA SZCZEPAŃSKIEGO (2)

Trudnych, poprosił, bym opowiedział o problemach najtrudniejszych. Zacząłem od Katynia. Powiedziałem o faktach i kłamstwie – jak się rodziło, co się zdarzyło, dlaczego do tego doszło. Powiedziałem, że była to próba zniszczenia elit, być może nawet w porozumieniu z Niemcami, ponieważ Niemcy w tym samym czasie dokonywali akcji aresztowania polskich profesorów w Krakowie i w innych ośrodkach akademickich, wymordowali elitę warszawską w Palmirach. Powiedziałem, że dwaj przywódcy totalitarnych mocarstw postanowili zniszczyć elitę polskiego społeczeństwa – warstwę przywódczą Polski – bo bez niej naród byłby tłumem. Do dziś odczuwamy tego skutki. Odbudowa elit jest niezwykle długim procesem. Jest to selekcja przez wiele generacji.

PRL tego nie ułatwiał, gdyż selekcja była negatywna.

– Tak. I z tego punktu widzenia był to cios nieporównanie mocniejszy niż inne straty wojenne, na przykład rabunki i zniszczenie majątku narodowego. Według mnie w istocie rzeczy dziś tu tkwi przyczyna tego, że nasza klasa polityczna

W wielu sprawach stan umysłów jest tam taki jak u nas za Gierka. Oczekiwanie na przełom w Katyniu jest więc bezsensowne, ale trzeba wspierać proces zmiany Rosji

ADAM DANIEL ROTFELD

nie ma klasy. Uważam, że autentycznym cudem nad Wisłą było to, że w 1989 roku w Polsce powierzono władzę grupie ludzi zupełnie wyjątkowych, jak Mazowiecki, Geremek, Skubiszewski, Kuroń, Modzelewski – ludzi, którzy kierowali się bardzo szlachetnymi, idealistycznymi pobudkami, którzy nie rozumowali w kategoriach własnego interesu. Jeśli spojrzymy na to, co się w Polsce wydarzyło w ostatnich 15 latach, to obserwujemy swoistą erozję elit. Korzenie tego zjawiska sięgają decyzji Stalina i Hitlera.

Opowiadał pan to metropolicie. A czy wcześniej, podczas obrad Polsko-Rosyjskiej Komisji do spraw Trudnych, rosyjscy naukowcy forsowali inny punkt widzenia, czy raczej tam pojawił się zalążek pojednania?

– Stosunkowo szybko ustaliliśmy, że blisko 90 procent wszystkich problemów jesteśmy w stanie badać wspólnie. W skład naszego zespołu wchodzi grupa osób mających dobrą wolę. Na przykład do przygotowywanego zbioru wejdzie tekst na temat inwazji armii radzieckiej 17 września i autor rosyjski daje tytuł „IV rozbiór Polski". W zasadzie nie ma znaczenia rozróżnienie, czy to pisał Rosjanin, czy Polak. To samo dotyczy Katynia. Równolegle do naszej grupy powołano Forum Obywatelskie Polska–Rosja, na którego czele stoi po stronie polskiej Krzysztof Zanussi. W ubiegłym roku w maju pojechałem na spotkanie zorganizowane przez forum. Po stronie rosyjskiej wystąpili tam ludzie, którzy mają w Rosji ogromny autorytet, swego rodzaju ikony, na przykład wielka osobowość telewizji Władimir Pozner, który przewodniczy Akademii Telewizyjnej. Pozner powiedział na wstępie, że Katyń nie jest sprawą polską, lecz rosyjską: „To jest nasza sprawa i najwyższy czas, abyśmy powiedzieli prawdę. Jest to podstawowy, jedyny warunek, żebyśmy zaczęli rozmawiać z Polakami normalnie". Obok niego siedzieli były minister spraw zagranicznych, były szef Kancelarii Prezydenta i na końcu stołu obecny szef komisji spraw zagranicznych Dumy...

Nie wyszli?

– Nie tylko nie wyszli, ale nawet mówili w sposób podobny, choć bardziej umiarkowany. Słowem: jest to proces, który się zaczął. Naszym błędem są niecierpliwe natychmiastowe oczekiwania. Musi to być suwerenna decyzja naszego partnera. Jeśli bowiem rozpoczyna się proces pojednania, to nie można dyktować drugiej stronie, jakie są nasze oczekiwania.

Że w takiej to, a takiej pozycji chcielibyśmy ich zobaczyć, żeby uznać, iż żałują za grzechy?

– Tak. Byłoby to tak, jak politycy w Polsce kierują sprawy do sądu i sąd orzeka, że na przykład jeden polityk ma przeprosić drugiego, a adwokaci ustalają, jaka ma być wielkość czcionki, na której stronie, ile razy ma to zrobić. Otóż to nie sprawi, że oni się pojednają. Chociaż spełnią wymogi formalne. Jednak to w żadnej mierze tych ludzi nie pogodzi. Wracając do relacji z Rosją, mam wrażenie, że pewne pozytywne rzeczy już się wydarzyły. Na przełomie września i października z Rosji po raz pierwszy przyjechała do Polski delegacja mnichów z klasztoru Świętego Nila, starego monastyru, którzy zwrócili się do polskiego Kościoła z prośbą o wykonanie kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Zamierzają umieścić tę ikonę w kaplicy w pobliżu Ostaszkowa w hołdzie polskim oficerom męczennikom zamordowanym przez NKWD. Będzie to kaplica prawosławna. Jest to miejsce największych prawosławnych pielgrzymek, na miarę naszej Częstochowy. Tak zaczyna się proces pojednania głębszy i ważniejszy od politycznych gestów.

Ale nadal nie ma tam świątyni katolickiej...

– Byłoby dobrze, gdyby stanęła świątynia ekumeniczna albo w cerkwi umieszczono by ołtarz, przed którym mogliby się modlić Polacy. Pamiętajmy jednak, że na ziemi rosyjskiej przede wszystkim ginęli Rosjanie, Ukraińcy i wszystkie inne narody Związku Radzieckiego. Dwa lata przed zbrodnią w Katyniu, gdzie zamordowano polskich oficerów, dokonywano tam egzekucji radzieckiej inteligencji. Jest to miejsce wspólnego bólu. Może to sprzyjać porozumieniu i pojednaniu. Wymaga to uświadomienia sobie elementarnej prawdy, że to nie Rosjanie mordowali Polaków, ale zbrodniczy reżim, który był wrogiem zarówno Rosjan, jak i Polaków. Innymi słowy – ta wspólnota losu może być jednym z fundamentów pojednania. Dlatego też potrzebny czy wręcz konieczny jest ostatni etap destalinizacji. Mam nadzieję, że jesteśmy tego świadkami – on się zacznie teraz w kwietniu w Katyniu. □

REKLAMA

SITA.pl
Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI ENGLISH
NIEMIECKI DEUTSCH
FRANCUSKI FRANÇAIS
HISZPAŃSKI ESPAÑOL
WŁOSKI ITALIANO



Nowy język z przyjemnością

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej używanych słów i zwrotów gwarantowana już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (**799 zł**).

Rabat 200 zł na urządzenie przy zakupie czterech poziomów kursów

Kursy językowe SITA Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (**229 zł za jeden poziom kursu**).



	PODSTAWOWY poziom 1	PODSTAWOWY poziom 2	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 1	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 2
angielski	☐	☐	☐	☐
niemiecki	☐	☐	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca. Urządzenie posiada 24. miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14. dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteście Państwo przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odeślemy pieniądze. PRZEKRÓJ

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa

www.sita.pl





MODELOWA AKTYWISTKA: WARIS DIRIE

Lektura jej autobiografii „Kwiat pustyni" (lub oglądanie adaptacji tejże – jest właśnie w naszych kinach) zaskakuje. Dziewczynka urodzona w 1967 roku i wychowana na somalijskiej pustyni ucieka z domu przed aranżowanym małżeństwem, pracuje jako sprzątaczka u wujostwa w Londynie, a następnie zostaje sławną modelką.

Bajka się kończy, gdy w 1997 roku Dirie opowiada mediom o obrzezaniu, któremu ją poddano, kiedy miała trzy lata – usunięto jej zewnętrzne narządy płciowe zardzewiałą żyletką, a to, co zostało, zszyto kolcem akacji. Z modelki Dirie zamienia się w aktywistkę piętnującą rytuał, a ONZ mianuje ją swoją ambasadorką. Od tamtej pory całkowicie poświęca się sprawie. W 2002 zakłada Waris Dirie Foundation, za pośrednictwem której walczy z obrzezaniem (rocznie rytuałowi poddawane są blisko dwa miliony dziewczynek w Afryce!).

W rozmowie z „Przekrojem" mówi, że to właśnie edukacja jest kluczowa w walce z rytualnym okaleczaniem, bo dokonujący go ludzie wierzą, iż postępują słusznie. Dirie chce ponadto walczyć ze zwyczajem aranżowania małżeństw oraz otworzyć farmę w Tanzanii, gdzie Afrykanki będą mogły się kształcić i poznawać swoje prawa. *– sol*

21 OFIAR 2 POŚWIĘCENIA

Oto poczet ideowców, zapaleńców i wariatów – ludzi, którzy się poświęcili i wyszło im z tego coś wartościowego. Nie idźcie w ich ślady, bo nie zawsze jest to bezpieczne. Ale zobaczcie sami – cierpieć też trzeba umieć

Nie można cierpieć za to, za co by się chciało – skonstatował kiedyś Jean Paul Sartre, francuski egzystencjalista, tak smutny, że w końcu uznano go za jednego z największych ekspertów od poświęceń. Smutniejsi od niego byli tylko egzystencjaliści z Niemiec: Karl Jaspers i Martin Heidegger. Pierwszy definiował egzystencję jako coś niedefiniowalnego. Drugi – chyba wręcz przeciwnie – twierdził, że składa się ona z trwogi i troski.

Naczelni egzystencjaliści zapewne parsknęliby śmiechem (lub popłakaliby się) na widok naszego wyboru męczenników. Bo nie ma przecież w naszym panteonie ludzi, którzy codziennie zmagali się z metafizyczną nicością. Nie ma hiobów, dla których z powodu Weltschmerzu nawet przyjście do pracy na ósmą jest wystarczającym powodem do utyskiwania na absolut, czy syzyfów, którzy z godną podziwu wytrwałością wychodzą na ring, wiedząc (i nienawidząc tej wiedzy), że za chwilę zostaną z niego zniesieni. Innymi słowy – nie ma egzystencjalistów i nie ma gołotów. Są tylko ci, którym poświęcenie wyszło z pasji, z naukowej ciekawości czy z wrodzonego postrzelenia. Innymi słowy – są pozytywiści i kolumbowie.

Nie zgadzamy się z bon motem Sartre'a. Uważamy, że Waldemar Marszałek, rozbijając się o tafle różnych akwenów, cierpiał dokładnie za to, za co chciał cierpieć. Podobnie jak Werner Forssmann, który dłubał sobie rurką we własnym sercu. Czy Wacław Twardzik, któremu po 44 latach pracy udało się zamknąć staropolszczyznę w 11-tomowym słowniku. A co do Ettore Majorany (który według zasady nieoznaczoności Heisenberga jest dziś jednocześnie samobójcą oraz człowiekiem zaginionym i prawdopodobnie już nieżyjącym), uważamy, że nie tylko cierpiał dokładnie za to, za co chciał, ale jeszcze był z tego zadowolony.

Okazuje się więc, że poświęcenie i zadowolenie wcale się nie wykluczają.

I dwie inne rzeczy jeszcze się okazują.

To, że – na szczęście – można się poświęcać z sensem. Dzięki temu mamy rentgen, fascynujące dzieło sztuki lub wiedzę o narkozie azotowej czy o tym, skąd się biorą wrzody. I to, że cierpienie wcale nie musi uszlachetniać. Kokainizujący swoje koty Pete Doherty, muzyk i autor krwią bazgranych bohomazów, jest tego dobrym (choć złym) przykładem. *Rafał Kostrzyński*



PRZEZ ARTERIĘ DO SERCA MĘŻCZYZNY: WERNER FORSSMANN

Prawdziwi twardziele nigdy nie mdleją na widok krwi, a kiedy ktoś ich postrzeli, wyjmują sobie kulę palcem i bez znieczulenia zaszywają własne ciało. Potem bez przesadnej dokładności odkażają ranę, używając tej samej whisky, którą sączą dla animuszu. Tak to przynajmniej wygląda w filmach. W rzeczywistości prawdziwi twardziele chodzą w białych fartuchach, wyglądają całkiem niepozornie, ale robią rzeczy dużo dziwniejsze. Taki na przykład niemiecki lekarz Werner Forssmann – zupełnie niepodobny do Rambo. A jednak w 1929 roku po raz pierwszy zacewnikował ludzkie serce. Czyje? Chyba jasne, że własne.

Po prostu jedną ręką włożył elastyczną rurkę do żyły w drugiej ręce i popchnął, aż trafiła do prawego przedsionka serca. Udało się, co Forssmann uwiecznił na zdjęciu rentgenowskim. Był to pierwszy tego typu zabieg wykonany na ciele człowieka. Cewnikowanie serca do dziś służy kardiologom jako narzędzie diagnostyczne. W 1956 roku Forssmann otrzymał za to dokonanie Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny. Jednak w latach 30. postępowanie lekarza mocno oburzyło jego kolegów. Do tego stopnia, że Niemiec zrezygnował z leczenia serca i zajął się urologią. W tej dziedzinie cewnikowanie od dawna już nie wzbudzało żadnych kontrowersji. *– urs*

FOT. GETTY/FPM, CORBIS, LEEMAGE/FOTOLINK, BLACK ARCHIVES/EK PICTURES, REX/EAST NEWS



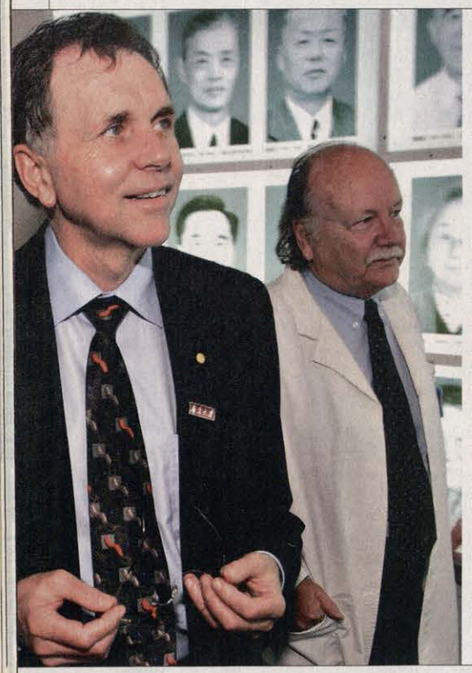
Z POGODĄ (D)UCHA: J.B.S. HALDANE

Bycie uznanym biologiem ewolucyjnym i pionierem nowej gałęzi nauki – genetyki populacyjnej – to w pewnych kręgach może i wielki życiowy sukces. Ale nie na początku XX wieku, gdy prawdziwe znaczenie miało jedynie to, co przyczyniało się do rozwoju obronności kraju. Dlatego J.B.S. Haldane na pewien czas odrzucił próbówki. Rozpoczął bardziej pożyteczne dla Wielkiej Brytanii badania, które miały polepszyć warunki życia marynarzy łodzi podwodnej. W tym celu wielokrotnie wchodził do komory dekompresyjnej, by zbadać wpływ działania różnych gazów na organizm człowieka.
Na niektóre efekty nie musiał długo czekać, na przykład na napady padaczkowe wywołane zatruciem tlenowym. Mimo to poświęcenie się opłaciło – Haldane zrozumiał i opisał narkozę azotową, która odurza ludzi w czasie nurkowania, a jego badania pomogły stworzyć optymalną mieszaninę gazów w butlach dla płetwonurków. Sam nie brał sobie do serca wypadków przy pracy. Pęknięty bębenek nawet polubił – ku zdumieniu towarzystwa mógł puszczać dym papierosowy uchem, co, jak twierdził, rekompensowało mu częściową głuchotę. *– urs*



NAUKOWIEC JASKINIOWIEC: NATHANIEL KLEITMAN

Ciemne, wilgotne, pełne szczurów, 60 metrów pod ziemią. Nie, to nie wyrafinowane więzienie.
To dla niektórych po prostu wymarzone miejsce do prowadzenia badań nad cyklem dobowym człowieka – Jaskinia Mamucia w Kentucky (USA). Większość ludzi puka się w głowę w odpowiedzi na samą propozycję spędzenia nocy tak głęboko pod ziemią. Natomiast Nathaniel Kleitman wraz z asystentem posunęli się znacznie dalej. W 1938 roku na miesiąc zamieszkali w jaskini. Chcieli sprawdzić, czy człowiek może zmienić długość swojego dobowego cyklu z 24 na 28 godzin. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Naukowiec nie był w stanie przystosować się do nowych warunków, z kolei jego asystent nie miał z tym problemu. Mimo to Kleitman został ogłoszony ojcem badań nad snem. I choć warunki pracy w jaskini były nieznośne, nie nadwątliły znacząco jego zdrowia – Nathaniel zmarł 61 lat po tych doświadczeniach w wieku 104 lat. *– urs*



NAPRAWDĘ POŁKNĄŁ BAKCYLA : BARRY MARSHALL

Tak, niektórzy naukowcy mają trudne życie. A jeśli nie mają, to zawsze mogą sobie wywołać wrzody. Nie wierzycie? To właśnie zrobił Barry Marshall, australijski lekarz i naukowiec. Nie, nie po to, by się umartwiać lub wzmacniać archetyp szalonego naukowca. Przeciwnie, jego cel był całkiem rozsądny. Chciał udowodnić światu, że to mikroorganizmy są prawdziwą przyczyną choroby wrzodowej. Nie stres, nie niezdrowy tryb życia i nie nadmiar kawy. *Helicobacter pylori* – oto prawdziwy winowajca.
Aby to potwierdzić, Marshall wypił roztwór z żywymi komórkami bakterii. Oczywiście w tajemnicy przed komisją etyki lekarskiej, a nawet przed własną żoną. Żadne wymioty i bóle brzucha w historii świata nie sprawiły nikomu takiej radości jak te, które dopadły Australijczyka po kilku dniach od zakażenia. Tym samym jego podejrzenia zostały udowodnione. Od tej pory leczenie większości wrzodów stało się banalnie proste. Antybiotyki – niezbyt skuteczne w przypadku stresu i złych nawyków – świetnie dają sobie radę z *H. pylori*. Za swoje odkrycie Marshall wraz ze współpracownikiem Robinem Warrenem otrzymał w 2005 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny. *– urs*

BYĆ ALBO NIE BYĆ: ETTORE MAJORANA



Mechanika kwantowa jest jak chiński przysmak – stuletnie jaja. Wszyscy o niej słyszeli, ale mało kto chce się nią rozkoszować. Nie dotyczy to zdolnego włoskiego naukowca Ettore Majorany, który szczególnym uwielbieniem obdarzył słynne doświadczenie Schrödingera z kotem – zamknięte z trucizną zwierzę jest dla obserwatora jednocześnie martwe i żywe.
Podobno niektórym ten eksperyment myślowy pozwala lepiej zrozumieć zjawiska kwantowe. Dla Ettore stał się on wręcz obiektem kultu. Do tego stopnia, że fizyk postanowił odtworzyć je w swoim życiu.
W 1938 roku w czasie rejsu między Palermo a Neapolem Ettore wysłał do rodziny jednocześnie dwa telegramy. W jednym sugerował, że zamierza popełnić samobójstwo, w drugim to dementował. Miał się stać jednocześnie żywy i martwy. Moglibyśmy uznać, że eksperyment się powiódł, gdyby nie to, że Majorana nigdy nie wrócił z rejsu. Zginął, popełnił samobójstwo, a może uciekł i rozpoczął nowe życie? Te pytania zostają bez odpowiedzi (dla fizyków – nieoznaczone). Podobnie jak kwestia, gdzie leży granica między pasją, obsesją a szaleństwem. *– urs*



PRZESTĘPCY W IMIĘ WOLNOŚCI: THE LIVING THEATRE

Byli buntownikami. Nie podobały im się panujące obyczaje, kapitalizm, nienawidzili armii. Stworzyli więc teatr, który wywrócił skostniałą instytucję do góry nogami. Judith Malina i Julian Beck założyli The Living Theatre w 1947 roku w Nowym Jorku. Mieszkali i tworzyli wspólnie, dzieląc się wszystkim, bywało, że głodując. W 1963 roku za spektakl „The Brig" („Bryg") demaskujący warunki panujące w więzieniach dla amerykańskich marines Beck i Malina dostali pięcioletni wyrok w zawieszeniu. Ścigani za rzekomo niepłacone podatki uciekli do Europy, gdzie na swoistym wygnaniu przebywali do końca lat 60.
Wędrowali z teatrem wszędzie, gdzie coś się działo, nie zabrakło ich na rewolcie paryskiego Maja 1968. W tym samym roku wystawili swój najgłośniejszy spektakl „Paradise Now", dziś już legendarny, największą teatralną prowokację obyczajowo-polityczną tamtych czasów. W finale aktorzy rozbierali się do naga, zachęcając do tego samego widzów, co często kończyło się interwencją policji, aresztowaniem aktorów i zakazem występów w danym mieście. The Living Theatre, istniejący do dziś (pomimo śmierci Becka w 1985 roku), pozostaje obok Allena Ginsberga, Boba Dylana, Janis Joplin i wielu podobnych im postaci najbardziej charakterystycznym zjawiskiem niezależnego ruchu obyczajowo-polityczno-artystycznego XX wieku. *– ten*

MUZYKA – JEGO KRWAWICA: PETE DOHERTY

Wielki talent, sukces – na własne życzenie – umiarkowany. Anglik Peter Doherty (31 lat) dał się pożreć demonowi rock and rolla, zanim na dobre rozpoczął karierę. Chociaż nagrał kilka dobrych albumów – najpierw z The Libertines, później Babyshambles, a ostatnio również solowy debiut „Grace/Wastelands" – częściej słyszeliśmy o toksycznych substancjach, którymi maltretuje swoje wątłe ciało, i o równie toksycznym, zakończonym już związku z modelką Kate Moss. Skazywano go za połowę kodeksu – od posiadania narkotyków, przez jazdę samochodem pod wpływem, po burdy. Gdy inni chwalą się koncertami, które przeszły do historii, Pete kolekcjonuje spektakularne absencje na scenach całego świata od Warszawy (przed trzema laty) po Glastonbury. Mamy nadzieję, że 7 kwietnia w Sali Kongresowej jednak się pojawi...
Do grona męczenników należy również zaliczyć bliskie otoczenie muzyka, które musi znosić jego głupie pomysły. Dotyczy to także kotów Doherty'ego – w 2007 roku we krwi jednego z nich weterynarze wykryli kokainę. Szkoda zwierzaka, ale jeśli wierzyć legendzie, koty żyją dziewięć razy, więc ma jeszcze przed sobą osiem potencjalnie wolnych od nałogu wcieleń. Gorzej z Pete'em. Jeśli szybko nie zmieni trybu życia, niedługo zostanie po nim tylko smutny rockowy mit. I zbyt mało płyt. *– jsz*



REKLAMA

Czy Twoje serce nadąża za Tobą?



Stres
Wysiłek
Brak snu
Pośpiech
Przemęczenie
Brak koncentracji

Jedyne takie połączenie, które wzmocni Twoje serce

SUPLEMENT DIETY Cardiomin B6
wapń+magnez+potas

Unikalny preparat *zawierający najwyższą dostępną na rynku ilość wysokoprzyswajalnych jonów magnezu – 250 mg, w połączeniu z wapniem, potasem i wit. B6.

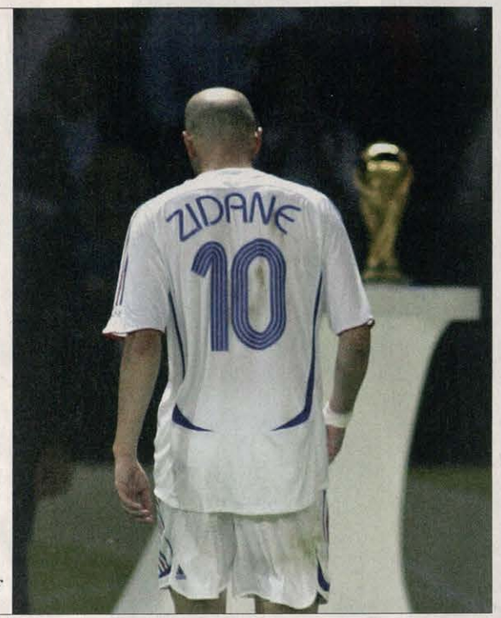
- wspomaga i reguluje pracę serca i układu nerwowego
- korzystnie wpływa na ciśnienie krwi
- przeciwdziała kurczom i drganiom mięśni oraz mrowieniu kończyn
- niweluje uczucie niepokoju i wzmacnia odporność na stres

Nr 1 w Polsce
wśród preparatów magnezowych*



Bezpieczny i wygodny w użyciu. Polecany przy brakach magnezu.
tylko 1 tabletka dziennie
www.puritan.pl

W IMIĘ SIOSTRY: ZINEDINE ZIDANE



Zidane nie biega po boiskach już od czterech lat, ale chyba nikomu nie trzeba go przedstawiać. 108 występów w reprezentacji Francji, ponad 500 meczów ligowych – w tym sześć sezonów w Realu Madryt. Mało kto miał tak bogatą karierę. I nikt nie poświęcił jej w tak spektakularny sposób. Podczas meczu finałowego mistrzostw świata w 2006 roku (przeciwko Włochom) z legendarnym ofensywnym pomocnikiem wdał się w sprzeczkę włoski obrońca Marco Materazzi. Jedna z jego niewybrednych uwag dotyczyła siostry Zidane'a. Materazzi kalkulował; liczył na to, że w tak ważnym meczu jego przeciwnik nie zrobi niczego głupiego. Nie kalkulował natomiast Zidane i Materazzi, trafiony „z byka" w klatkę piersiową, padł jak rażony na murawę. Co było potem? Francuz dostał czerwoną kartkę i musiał zejść z boiska, ale dziś jest bohaterem. A Materazzi? Dowiedział się, co to znaczy pomocnik ofensywny. – *raf*

PIERWSZA POLSKA WHISTLEBLOWERKA: BOŻENA ŁOPACKA



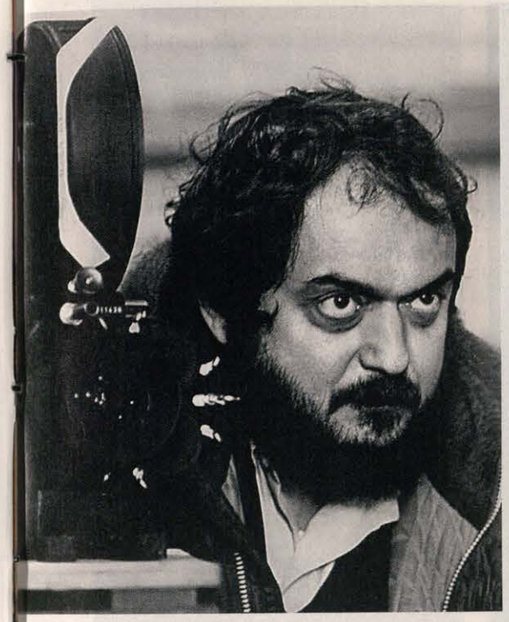
– Za swoje zaangażowanie zapłaciłam pracowniczym samobójstwem. Nikt nie zatrudni kogoś, kto poszedł na wojnę z pracodawcą – mówi Bożena Łopacka. 46-letnia obecnie mieszkanka Pasłęka w 2004 roku była kierowniczką jednego ze sklepów sieci Biedronka, gdy wytoczyła firmie proces o nadgodziny i ciężkie warunki pracy. Głośno mówiła – w sądzie i w mediach – o łamaniu praw pracowniczych. Jej głos wywołał falę podobnych pozwów, a członkowie Stowarzyszenia Poszkodowanych przez Wielkie Sieci Handlowe wygrali do dziś kilkadziesiąt spraw (Łopacka, współzałożycielka stowarzyszenia, uzyskała 26 tysięcy złotych odszkodowania). W 2005 roku lewicowa SdPl sięgnęła w wyborach do Sejmu po charyzmatycznego „Wałęsę w spódnicy", ale partia nie przekroczyła progu wyborczego. Teraz Łopacka po sześciu latach bezrobocia rozkręca własny biznes: – To będzie małe studio paznokci, ale mam co do garnka włożyć – mówi. – *fieda*



NAJSTARSZY PRACUJĄCY: FELIKS GREJCIUN

Ileż można odpoczywać – odpowiada Feliks Grejciun, gdy ktoś sugeruje mu przejście na emeryturę. Grejciun ma 96 lat, od 70 jest kaletnikiem, a od 53 prowadzi w Częstochowie własny zakład. Teraz naprawia w nim torby, nesesery, futerały na strzelby i paski do spodni. Gdy zgłosił się do konkursu pod hasłem „Stary człowiek i może pracować", okazało się, że w Polsce starszej pracującej osoby nie ma. A przecież do Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych „Lewiatan" i „Gazety Wyborczej" zgłoszenia przysłało ponad pół tysiąca kandydatów. Wykonanie dziurki w pasku u pana Feliksa kosztuje złotówkę. Zakładu nikomu nie przekaże, bo rodzina wykształciła się w zupełnie innych fachach. – *szczep*

FOT. MAREK BICZYK/NEWSPIX.PL, MSF/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER, GRZEGORZ SKOWRONEK/AG, CINETEXT/MEDIUM, DAMIAN KRAMSKI/AG, ATTILIO MARANZANO © 2010 MARINA ABRAMOVIĆ DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI I SEAN KELLY GALLERY/ARTISTS RIGHT SOCIETY (ARS), NEW YORK



POLEGŁY POD WATERLOO: STANLEY KUBRICK

Dziesiątki tysięcy statystów, wielkie bitewne sceny (Austerlitz i Waterloo!), bohater, o jakim marzy każdy filmowiec. Jednym słowem – epicka opowieść, jakiej nie widział świat. I... nie zobaczy. „Największy spośród niezrealizowanych filmów" – tak mawia się i pisze o „Napoleonie", któremu Stanley Kubrick poświęcił kawał życia. Z tego dwa lata na sam intensywny research, w którym wspierali go asystenci i autorytety (w tym profesor z Oksfordu). Powstała cała dokumentacja, wybrano plenery, zgromadzono 17 tysięcy (!) wizerunków Bonapartego, przygotowane zostały kostiumy. Scenariusz też był gotowy – i tylko Hollywood nie było gotowe na tak potężny projekt, zwłaszcza że miała to być najdroższa ówczesna produkcja. Jednak ekonomiczne realia lat 60. i 70. oraz klapa wysokobudżetowego „Waterloo" Orsona Wellesa sprawiły, że chętni do sfinansowania szalonego projektu Kubricka się wycofali. Przez kolejne lata daremnie poszukiwano pieniędzy.
Jak opowiadają dziś współpracownicy zmarłego przed dekadą reżysera, fascynacja Napoleonem graniczyła u niego z obsesją. Nie tylko wszystko o nim wiedział i przeczytał – Malcolm McDowell na planie „Mechanicznej pomarańczy" ze zdumieniem odkrył, że twórca filmu je na obiad lody i stek. Razem. – Napoleon też tak jadał – skwitował dziwaczne żywieniowe zwyczaje Kubrick. – *masa*

ŻYCIE NA MEDAL: WALDEMAR MARSZAŁEK

Wiadomo, że nie każdy sportowiec zostaje sławny, ale każdy musi ciężko się napracować, by osiągać choćby zadowalające wyniki. Takie poświęcenie nikogo nie dziwi. Wręcz przeciwnie, my, widzowie na kanapie przed telewizorem, właśnie tego oczekujemy od naszych idoli – potu i łez (i żeby jeszcze dali w kość swoim rywalom). Ale zdarza się, że otrzymujemy od sportowców dużo więcej. Może nawet za dużo. Gdy w latach 80. i 90. Waldemar Marszałek wygrywał mistrzostwa w wyścigach motorowodnych, duch w narodzie rósł. Kiedy jednak jego łódka wielokrotnie roztrzaskiwała się w drobny mak, a jego ciało uderzało o twardą jak beton taflę wody, wielu kibiców zadawało sobie pytanie, czy wygrana jest naprawdę tego warta. Tych wątpliwości Marszałek nie miał lub skutecznie je w sobie zwalczał. Nawet po najgorszym wypadku – w 1982 roku na jeziorze Wannsee pod Berlinem – motorowodniak powrócił do sportu. Ani liczne złamania, ani śmierć kliniczna nie odwiodły go od podjęcia kolejnego ryzyka. Czy słusznie? Na pewno z korzyścią dla polskiego sportu, bo Marszałek jeszcze trzy razy został mistrzem świata. – *urs*





WIELKA ODSIADKA: MARINA ABRAMOVIĆ

Gdy zasiądziemy do świątecznych stołów, do stołu usiądzie też 62-letnia Marina Abramović. Ale nie po to, by jeść, lecz by patrzeć ludziom w oczy. Legendarna performerka w ramach swojej retrospektywy w nowojorskim MoMA mierzy się spojrzeniem z chętnymi, którzy usiądą naprzeciw niej (relacja na żywo na stronie muzeum). Przez trzy miesiące trwania wystawy w godzinach otwarcia MoMA, nie jedząc w tym czasie i nie pijąc, artystka będzie badać granice swej fizycznej i psychicznej wytrzymałości. Abramović to jedna z niewielu przedstawicielek pierwszej generacji performerów, którzy do dziś realizują tę formę, czyniąc ją rodzajem eksperymentu na własnym życiu. Marina swoje radykalne prace zaczęła realizować w latach 70., niejednokrotnie poważnie ryzykując. Nie wiadomo, jaki byłby finał akcji „Rhythm 0" (1974), gdyby nie została przerwana. Marina rozłożyła przed publicznością 72 przedmioty (piła leżała koło szminki) i oddała się do dyspozycji zebranych. Po sześciu godzinach do skroni pokaleczonej, umazanej artystki przyłożono naładowany pistolet... – To, czego się boisz, jest tym, co powinieneś zrobić. Kiedy robisz rzeczy, które lubisz, nigdy się nie zmienisz – twierdzi Abramović. Ostrzegamy – nie próbuj tego w domu! – *aj*

REKLAMA

Mimo Wszystko
Fundacja Anny Dymnej

Twój 1% ma siłę milionów

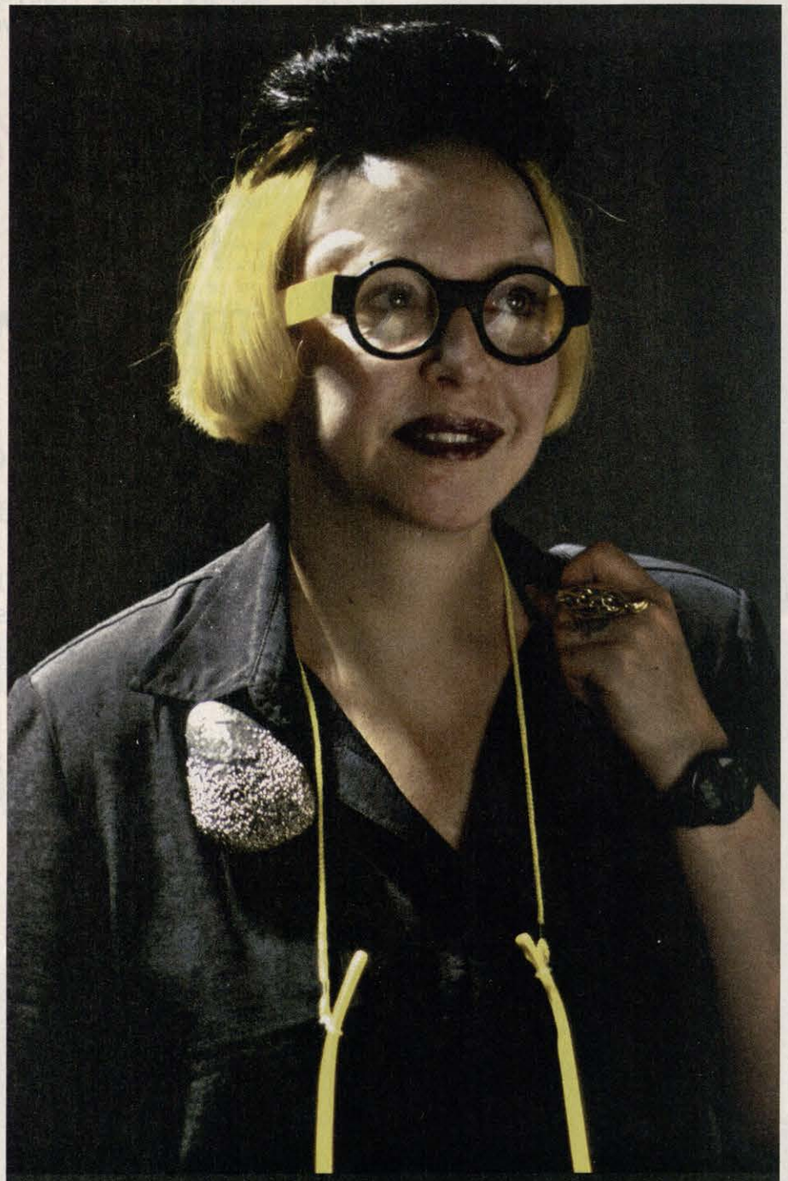
Budujemy dalej „Dolinę Słońca"!

Ośrodek Rehabilitacyjno-Terapeutyczny dla Osób Niepełnosprawnych

KRS 0000174486

Pobierz darmowy program do rozliczania PIT-ów!
www.mimowszystko.org





ZOPEROWANA: ORLANE

Oto przykład osoby, która złożyła swe ciało na ołtarzu sztuki. Urodzona w 1947 roku Francuzka w latach 90. poddała się serii operacji plastycznych, które zmieniły wygląd jej twarzy (projekt „The Reincarnation of Saint Orlan"). Nie współczesne ideały piękna, ale kobiety między innymi z obrazów Bouchera, Leonarda da Vinci i Botticellego (odpowiednio: Europa, Mona Lisa i Wenus) były inspiracją dla jej nowego wizerunku.

Działanie nie było ani realizacją potrzeby dążenia do ideału, ani aktem potępienia chirurgii plastycznej. Stanowiło wyraz sprzeciwu wobec nakładanych na społeczeństwo (a zwłaszcza kobiety) kanonów piękna. Co ciekawe, artystka podkreśla, że nie zaznała bólu podczas swoich performance'ów! Więcej, odrzuca sztukę, która wymaga cierpienia, bo nie uznaje jego oczyszczającej czy wyzwalającej mocy (tym właśnie różni się zdefiniowana przez nią sztuka cielesna carnal art od uprawianego przez szerokie grono twórców nurtu body art). Orlan nie toleruje powszechnie głoszonej potrzeby samoakceptacji: – Moja praca zwraca się przeciwko temu, co wrodzone, przeciwko temu, co nieubłagane i zaprogramowane, przeciwko naturze i DNA, wreszcie przeciwko Bogu – twierdzi. Dla niej skóra to tylko płaszcz, który możemy w dowolnej chwili z siebie zrzucić. Nie każdy dałby sobie zdemolować twarz, żeby tę tezę udowodnić. – *aj*

JĘZYK I RESZTA CIAŁA: WACŁAW TWARDZIK



Profesor doktor habilitowany, ekskierownik (bo już na emeryturze) Pracowni Języka Staropolskiego Instytutu Języka Polskiego PAN w Krakowie. Jeden z najświetniejszych znawców i badaczy średniowiecznego piśmiennictwa polskiego. Z żyjących – a ma dopiero 73 lata – bodaj najwybitniejszy. I nic to, że odczytał, opracował i skomentował rozmaite podstawowe i przyczynkowe staropolskie teksty, które dla kogoś postronnego zdawałyby się całkowitą abrakadabrą. Nie wierzycie? Proszę, oto tytuł jednej z rozpraw: „Archaiczne formy part. praet. Act. I typu „przyszed, kupiw, lizw" »przyszedłszy, kupiwszy, liznąwszy«". Szczególnym jednak, wręcz szalonym dziełem profesora, któremu poświęcił 44 lata swojego życia, było doprowadzenie wraz z gronem współpracowników do szczęśliwego końca pomnikowego 11-tomowego „Słownika staropolskiego". Prace nad tym niezwykłym dziełem, które rozpoczęto w 1953 roku pod redakcją profesora Stanisława Urbańczyka, zostały ostatecznie ukończone w roku 2002. Twardzik, połączenie Mikołaja Reja z Aleksandrem Brücknerem, zadowala się dalszym ślęczeniem nad zawiłym kształtem dawnej polszczyzny, a w wolnych chwilach spisuje swój naukowy testament uzasadniający stworzone przezeń „prawo Twardzika" odnoszące się do pewnych właściwości pisowni staropolskiej. W prawdziwym zaś testamencie zapisał swoje uczone ciało Akademii Medycznej. Niech i z tego będzie komuś pożytek. – *ten*

PRZEŚWIETLONA: ELIZABETH ASCHEIM



W dorosłość można wejść na wiele sposobów. Żyjąca pod koniec XIX wieku w Stanach Zjednoczonych Elizabeth Ascheim zaczęła od kupna aparatu do prześwietleń rtg. za pieniądze pożyczone od taty. Dość odważnie, biorąc pod uwagę to, że zdjęcia rentgenowskie były znane na świecie zaledwie od dwóch lat (po raz pierwszy wykonał je w 1895 roku Wilhelm Roentgen), a od kobiet wciąż oczekiwano raczej zajmowania się domem niż obsługi nowoczesnego sprzętu medycznego. Wraz ze swoim mężem lekarzem Elizabeth przez wiele lat doskonaliła technikę prześwietlania chorych. I stała się w tym naprawdę świetna. Przy tym nie wahała się eksperymentować na sobie samej. Do głowy jej nie przychodziło, że naraża się na jakieś niebezpieczeństwo. Nawet owrzodzenia dłoni i poparzenia popromienne uważała za skutek pracy z chemikaliami do wywoływania klisz. W pracy osiągnęła mistrzostwo i pomogła wielu lekarzom. Ale to, co ratowało przed śmiercią innych, ją zabiło. Elizabeth zmarła od zniszczeń, jakich dokonał w jej ciele rozległy nowotwór. – *urs*

FOT. BLACK ARCHIVES/EK PICTURES, BOGDAN KRĘŻEL (2), HELENA WIELOCH, GETTY/FPM



NA PRZEKÓR MAMIE: DONALD L. UNGER

Łatwiej przekonać świat do całkiem nowej idei, niż obalić stary przesąd. Lepiej niż naukowcy wiedzą o tym nastolatki. Takie wyłamywanie palców – rozrywka przyjemna, a znienawidzona przez wszystkie mamy świata. Jak dyskutować z argumentem, że „to powoduje reumatyzm"? Nie da się. Można za to poświęcić swoje życie obalaniu tego mitu. Zniecierpliwiony uwagami mamy Donald L. Unger jako młody chłopak rozpoczął metodyczne wyłamywanie stawów palców w lewej dłoni, prawą zostawiając w spokoju. Po 60 latach maltretowania swojej lewicy stwierdził, że obie dłonie są równie zdrowe. W ten sposób naukowo udowodnił, że pstrykanie kostkami nie ma nic wspólnego z rozwojem reumatyzmu. Odkrycie opublikował w 1998 roku, ale dopiero w zeszłym został uhonorowany Nagrodą Ig Nobla w dziedzinie medycyny. – *urs*



ZA BARDZO ZASMAKOWAŁ W ODKRYCIACH: KARL SCHEELE

Czasami bycie w odpowiednim miejscu i czasie jest kluczem do wielkich odkryć. Najlepiej, gdy mało wiadomo z danej dziedziny, a już istnieją narzędzia do jej badania. Oto marzenie każdego naukowca. Nielicznym się ono spełnia. Na przykład szwedzkiemu farmaceucie Karlowi Scheele, który w drugiej połowie XVIII wieku rozpoznał i opisał pięć pierwiastków oraz wiele związków chemicznych (w tym nazwany na jego cześć szelit – minerał zbudowany z wolframianu wapnia). Przecieranie szlaków to, niestety, także popełnianie błędów. Czasami uczyć się na nich mają szansę już tylko naśladowcy. O tym właśnie przekonał się Scheele. Jego poznawcza ciekawość przekraczała granice rozsądku, bo farmaceuta konsekwentnie kosztował wszystkiego, nad czym pracował. Dzięki niemu dziś już nie musimy próbować rtęci, chloru i baru, by wiedzieć, że są trujące. Scheele poświęcił życie na ołtarzu (stole laboratoryjnym?) chemii i zmarł w wyniku zatrucia. – *urs*



EKOLOG Z ZIEMIANKI: ADAM ULBRYCH

Na 15-hektarowej działce ze stawem i trzema hektarami lasu w Komorznie koło Opola Adam Ulbrych (34 lata) chciał stworzyć ośrodek edukacji ekologicznej, do którego miały przyjeżdżać wycieczki szkolne. Problem w tym, że Agencja Nieruchomości Rolnych, od której w 2004 roku kupił działkę, sprzedała mu teren bez podłączenia do sieci elektrycznej. Nie miał kilkudziesięciu tysięcy na podłączenie prądu, bo wydał je na odbudowę dotychczasowego domu, w który się spalił. Zbudował więc na działce lepiankę. – Z gliny, drewna i słomy, tak jak budowano domy w średniowieczu. I nagle z całego regionu zaczęli do mnie przyjeżdżać ludzie – opowiada. – Z dotacji gminnej tworzę teraz ogród dendrologiczny, czyli miejsce, w którym posadzonych zostanie 25 gatunków drzew z tablicami informacyjnymi – wyjaśnia. Wieczory ekolog spędza zwykle na czytaniu przy lampie naftowej i użeraniu się z wchodzącymi do jego chatki myszami. Na lekcję przyrody z porannym nasłuchiwaniem ptaków, nikt tu się jednak nie zatrzyma, bo wciąż nie ma gdzie się przespać. – *szczep*



SZACHISTA Z MIŁOŚCI: GRZEGORZ SŁABEK

Szkoły, przedszkola i świetlice parafialne od lat biją się o Grzegorza Słabka, zawodnika Krakowskiego Klubu Szachistów. Nie tylko dlatego, że jego podopieczni zdobywają tytuły międzynarodowych mistrzów szachowych. Przede wszystkim dlatego, że potrafi zaszczepić miłość do tej gry nawet największemu leniwcowi w krótkich spodenkach. A mówimy o tysiącach dzieciaków.
45-letni Słabek bez szachów żyć nie potrafi. Zostawił dla nich wszystko, zupełnie zerwał z tak zwanym zwyczajnym życiem. W szufladzie ma 17 świadectw pracy. Był operatorem telefonicznym, elektrykiem, sprzedawcą i magazynierem. Ale jak tu cokolwiek sprzedawać, gdy w głowie siedzi kolejna partyjka z Jasiem? Słabka kochają zwłaszcza dzieci pokrzywdzone przez los, od których za naukę nie bierze nawet złotówki. Na pytanie, dlaczego poświęcił się właśnie dzieciom, odpowiada, że sam w głębi duszy jest dzieckiem. A poza tym mali zawodnicy zastępują mu syna, z którym wiele lat temu stracił kontakt po rozwodzie z żoną, również szachistką. – *ana*



W tym tygodniu:
TROSZCZYMY SIĘ O ŻYCIE OBCYCH, SZUKAMY CUDÓW WE WŁASNYM I WYLEWAMY NA SIEBIE KUBEŁ ZIMNEJ WODY

Gdzie to życie?!

Życie w kosmosie istnieje. Dowód – czytasz te słowa. A skoro żyjesz, to pewnie przynajmniej raz zdarzyło ci się zastanowić, czy gdzieś poza Ziemią może żyć ktoś jeszcze?

OBCY TEKST PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJA PIEKARYO.BLOGSPOT.COM

ODPOWIEDŹ JEST CAŁKIEM PROSTA – TAK. I WIĘCEJ, nie tylko może, ale niemal na pewno żył, żyje lub będzie żyć. Skąd ta pewność? Ano wprost z dziedziny wiedzy, która właściwie nie podlega dyskusji – matematyki. Nawet krótki rajd po teorii prawdopodobieństwa jednoznacznie pokazuje, że życie nie może być jednorazowym wypadkiem przy pracy. Najważniejszą częścią składową tego wnioskowania jesteśmy my sami. Fakt, że życie zdarzyło się raz, daje nam pewność, że jego powstanie jest w ogóle możliwe. To sprawa z punktu widzenia matematyki zupełnie zasadnicza, daje bowiem powstaniu życia ogromną przewagę nad innymi dziwnymi zdarzeniami – choćby istnieniem blaszanych gwiazd czy pierścienia złożonego z siedmiu atomów tlenu.

I teraz to już właściwie mamy z górki. Wystarczy nieco pogrzebać w obecnej wiedzy na temat istnienia pozasłonecznych planet, dorzucić do tego nieco informacji na temat warunków potrzebnych do rozwoju życia i odrobinę chemii fizycznej mówiącej o prawdopodobieństwie powstania złożonych struktur takich jak DNA. Podobną analizę wykonał profesor statystyki Amir Aczel w książce „Prawdopodobieństwo = 1". Po niezbyt żmudnych, choć robiących solidne wrażenie obliczeniach wyszło mu, że po pierwsze, szanse na powstanie życia wokół pojedynczej gwiazdy są minimalne, ale po drugie, gwiazd we Wszechświecie jest tak dużo, że prawdopodobieństwo, iż życie narodziło się gdzieś jeszcze poza Ziemią, jest właściwie nieodróżnialne od jedności (dla matmoopornych – prawdopodobieństwo równe jeden oznacza pewność).

Taplając się jeszcze chwilę w matematycznym sosie, proponuję z bezpiecznej odległości przyjrzeć się równaniu Drake'a. Choć rzeczony Drake (Frank Drake, amerykański astronom i astrofizyk, zasłynął głównie jako założyciel SETI*) wymyślił je na początku lat 60., nadal nieźle sprawdza się ono jako metoda oceny szans na międzygwiezdny kontakt. Wychodzimy od zdobytej przed chwilą pewności, że coś gdzieś tam żyje, i liczymy sobie, czy to coś kiedyś się z nami dogada. Tym razem do równania przyda się tempo tworzenia nowych gwiazd w naszej galaktyce (ledwie siedem rocznie – bida), trochę wiedzy o planetach i sporo szacowania. Musimy się do niego odwołać choćby po to, by ocenić, jak długo dana cywilizacja będzie w stanie utrzymać kontakt radiowy z resztą świata.

Ludzie z kosmosu

Wyniki uzyskane z równania Drake'a są bardzo niepewne, ale rozsądne skalkulowanie wszystkich zmiennych doprowadza zwykle do wniosku, że gdzieś w odmętach Drogi Mlecznej powinno obecnie działać co najmniej kilka inteligentnych cywilizacji zdolnych do kontaktu z nami.

I tu dochodzimy do kolejnego nazwiska, najbardziej chyba znamienitego, bo wyróżnionego Noblem. Enrico Fermi zadał w 1950 roku proste pytanie o fundamentalnym znaczeniu: „Gdzie oni są?". Bo skoro wszystko wskazuje na to, że obcy istnieją, a w dodatku całkiem nieźle się rozwinęli, to dlaczego do tej pory ich nie spotkaliśmy?

Być może błąd tkwi w samym pytaniu. Może zamiast „gdzie ONI są", powinniśmy zapytać „gdzie ONO jest". Bezosobowe życie, a nie konkretna cywilizacja dążąca do kontaktu.

Bo jeśli przyjrzymy się całej historii poszukiwania życia poza Ziemią, to okaże się, że tak naprawdę nie szukamy obcych, a po prostu innych ludzi. No dobrze, mogą mieć sześć nóg albo gębę paskudną jak E.T., ale generalnie mają być tak ludzcy, jak to tylko możliwe.

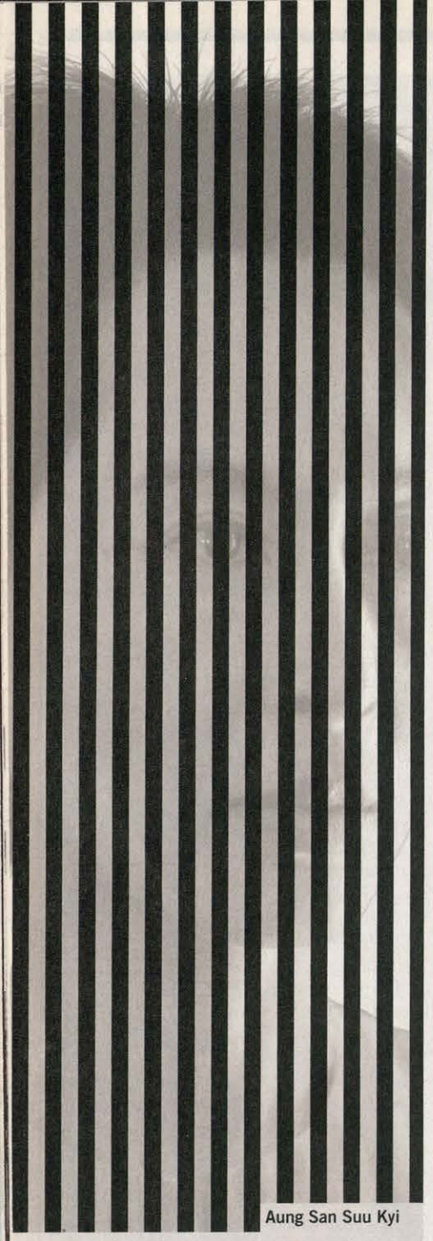
Dowodzą tego choćby wszelkie zorganizowane, naukowe akcje poszukiwania życia pozaziemskiego. Na przykład wspomniane już SETI bazuje na czterech założeniach: życie musi opierać się na węglu, do jego powstania niezbędna jest woda, szukamy go tylko wokół gwiazd podobnych do Słońca i zajmuje się ono wysyłaniem sygnałów radiowych lub świetlnych.

Kłopot w tym, że kosmos pełen jest zarówno jednych, jak i drugich. By odsiać szum i wyłowić sygnał obcych, obserwację trzeba zawężać do określonych pasm promieniowania. Ich wybór opiera się zwykle na czymś, co naukowcy uznają za absolutnie narzucające się podstawowe prawa fizyczne. Początkowo SETI śledziło niebo, szukając fal o częstotliwości 1420 MHz odpowiadających emisji atomów wodoru – najbardziej rozpowszechnionego pierwiastka we Wszechświecie. Dziś zakres poszukiwań jest znacznie rozszerzony, ale wciąż przy wyborze kolejnych pasm kierujemy się tym, co zawsze – ludzką logiką.

Brzmi to oczywiście rozsądnie i wydaje się być jedynym możliwym wyborem, ale uwaga! Ludzka logika oznacza w tym wypadku sposób myślenia wąskiej grupy naukowców wychowanych w cywilizacji Zachodu. Tymczasem nie trzeba grzebać wśród gwiazd, by stwierdzić, że to, co uważamy za absolutnie oczywisty objaw zdrowego rozsądku, jest często wyłącznie emanacją kulturowych przyzwyczajeń. Wystarczy choćby całkiem bliski sercu każdego Polaka →

* **SETI** – z ang. *Search for Extra-Terrestrial Intelligence*. To wieloletni projekt naukowy, którego celem jest znalezienie kontaktu z pozaziemskimi cywilizacjami poprzez poszukiwanie sygnałów radiowych i świetlnych sztucznie wytworzonych, pochodzących z przestrzeni kosmicznej, a nie będących dziełem człowieka

REKLAMA



PATRZENIE NA ŚWIAT PRZEZ KRATY BOLI

Organizacja Amnesty International walczy o prawa ludzi niesprawiedliwie przetrzymywanych w więzieniach. Nawet dzisiaj są ich tysiące na całym świecie. Ty też możesz pomóc niesłusznie uwięzionym, przekazując 1% podatku na rzecz Amnesty International.

1% KRS 0000110695

AMNESTY INTERNATIONAL

→ (i nie tylko) problem z angielskimi rodzajnikami „the" i „a". Anglik bez wahania, od dziecka i bezbłędnie użyje ich w odpowiedni sposób, tymczasem Polak do końca dni swoich w pełni nie pojmie wszystkich niuansów związanych z ich zastosowaniem.

Oczywiście, nie próbujemy dowieść, że człowiek jest „głupi". Jego rozumowanie to raczej kwestia chłodnych szacunków. Życie na Ziemi opiera się na związkach węgla, tlenu, wodoru i azotu okraszonych dodatkami w postaci żelaza, siarki czy fosforu. Taki skład życiowej zupy nie jest przypadkowy – węgiel ma dość szczególną budowę atomu, która pozwala mu na uwspólnianie elektronów i tworzenie wiązań z innymi atomami. Mogą to być na przykład cztery inne węgle potrzebne do zrobienia diamentu, dwa tleny dające dwutlenek węgla czy cztery wodory tworzące w sumie metan. Węgiel umie zresztą znacznie więcej – na przykład budować długie łańcuchy i pierścienie będące szkieletem dla większości kluczowych dla życia struktur.

Jak żyć bez DNA?

Kłopot w tym, że trudno znaleźć inny pierwiastek, który miałby podobne zdolności. Pewne nadzieje stwarzają siarka czy krzem, ale węgiel wciąż pozostaje bezkonkurencyjny. A wedle naszej wiedzy na drugim końcu Drogi Mlecznej panują takie same prawa chemii i fizyki, więc i tam węgiel wydaje się być głównym pierwiastkiem życia.

Całe nasze poszukiwanie pozaziemskiego życia skażone jest notorycznym antropocentryzmem. Właściwie trudno mieć o to pretensję, ale też nie oczekujmy, że w ten sposób kogoś znajdziemy

Czy oznacza to, że jesteśmy po prostu skazani na spotkanie z poważnymi, smutnymi kosmitami o wysokich czołach i niezmierzonej głębi duchowej? Upieranie się przy białkowości całego Wszechświata byłoby daleko idącym brakiem wyobraźni – coś jak przewidywania futurystów z XIX wieku, którzy prorokowali koniec cywilizacji spowodowany wzrostem liczby zaprzęgów, a w efekcie zalewem końskiego łajna blokującego ulice miast.

Nie mamy pojęcia, co jeszcze napotkamy w całkiem nawet bliskim kosmosie, nie wiemy, czym są (i czy w ogóle są) wypełniające go ciemna materia i energia. Można więc przyjąć, że nasza niewiedza pozostawia nawet nie furtki, ale szeroko otwarte wrota dla innych pomysłów na konstrukcję życia. Może narodzi się ono jako szczególna interakcja między naładowanymi drobinami kosmicznego pyłu albo zaistnieje jako zjawisko na poziomie nie pojedynczych atomów, ale całych gwiazd i galaktyk? Tak, brzmi to jak (dość tania) fantastyka naukowa, ale być może to w tym kierunku myślenia należy pokładać nadzieję na kosmiczne kontakty. W końcu podejście klasyczne jak dotąd zawodzi.

Ale niech tam – trzymajmy się naszego białkowego konserwatyzmu. Niech życie będzie uwięzione w węglu, wodorze, tlenie, azocie i paru innych banalnych pierwiastkach. Mimo tych ograniczeń wciąż możemy ostro pokombinować. No bo kto powiedział, że podstawą informacji genetycznej ma być DNA? Fakt, nadaje się do tej roli całkiem nieźle, choć wcale nie idealnie.

Jeśli już bowiem uwolnimy się od DNA, nagle okazuje się, że mamy całe mnóstwo możliwości. Wyobraźmy sobie choćby świat, gdzie zamiast naszego schematu przekazywania cech z pokolenia na pokolenia obowiązuje dziedziczenie cech nabytych. Jeśli więc frezarka obcięła ci palec, twoje dzieci również go nie będą miały. Jeżeli ciężką pracą wyrobiłeś sobie potężne bicepsy, otrzyma je też twoje potomstwo. Piękne, przerażające, ale z pewnością prowadzące do zupełnie innego życia niż ziemskie.

Idźmy dalej. Niech potomstwo dziedziczy też to, czego nauczyli się rodzice. Technicznie i biologicznie jest to całkiem możliwe, choć z pewnością nie na naszej ścieżce ewolucyjnej. Ta prosta zmiana sprawiłaby zapewne, że zaawansowaną cywilizację stworzyłyby już kosmiczne odpowiedniki naszych stułbi.

Takich przykładów można mnożyć bez liku, wciąż bezpiecznie pozostając w obrębie białkowego życia. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że wszystko żywe, co istnieje na Ziemi, wywodzi się z mnóstwa całkiem losowych zdarzeń, jakie miały miejsce cztery miliardy lat temu u samego początku życia.

Nie dogadamy się

Zupełnie inaczej może potoczyć się też rozwój cywilizacji technicznej. Nasz zestaw zmysłów znowu jest raczej dziełem popychanego przez ewolucję przypadku. A przecież zupełnie nic nie stoi na przeszkodzie, by do porozumiewania się używać na przykład delikatnych zmian pola grawitacyjnego. Taka cywilizacja być może nigdy nie poszłaby w kierunku fal radiowych ani światła, a nasze radioteleskopy chciwie zasysające dane z kosmosu byłyby dla niej czymś kompletnie niezrozumiałym.

Wnioski? Mało optymistyczne. Najprawdopodobniej życie w kosmosie istnieje. Być może nawet w naszej galaktyce. Kłopot w tym, że może być tak odmienne od naszego, że nie wiedzielibyśmy o jego istnieniu, nawet stojąc na głowie (macce, ogonie, wakuoli) obcego. □

KSIĄŻKA OLGA WOŹNIAK, ILUSTRACJA JOANNA SAFRANOW

Katalog zdarzeń niezwykłych

Oddychanie, chodzenie, mówienie, śpiewanie, trawienie, tańczenie. To cuda. Zwłaszcza dla tych, którzy według całej wiedzy medycznej powinni już nie żyć



Z każdym odkryciem naukowym pula cudów się kurczy. Dawno za nami te czasy, kiedy podziw wzbudzało zaćmienie słońca czy poczęcie u 90-letniej kobiety (choć tego wieku jeszcze żadna matka nie osiągnęła, wyścig trwa. Najstarsza, która dzięki postępowi medycyny urodziła dziecko, miała 70 lat). Nawet wskrzeszanie zmarłych, w którym stosunkowo niedawno wyspecjalizowali się lekarze od intensywnej terapii, robi na nas coraz mniejsze wrażenie.

Świat bez cudów szarzeje. Wszechmoc dewaluuje się w rękach fizyków, chemików, medyków, którzy przełamują kolejne bariery, pokonują niepokonane. I oto nagle – coś niezwykłego: nagły skok w istniejącą tuż obok nas strefę cudu. Bez grzmotów, błysków i archaniołów, niezwykłości owe dzieją się niepostrzeżenie, za każdym razem jednak wprawiając w zadziwienie mimowolnych świadków.

Życie wbrew logice

Gdzie jest ta cudowna kraina? Opisano ją w książce ukazującej się właśnie nakładem krakowskiego Wydawnictwa Literackiego. I nie, nie jest to pozycja z gatunku ezoteryczno-metafizycznych. Ten swoisty katalog cudów tworzą historie opowiadane przez wybitnych polskich lekarzy i terapeutów. Prawdziwe historie ich pacjentów, którzy wbrew najgorszym rokowaniom wrócili do zdrowia, choć z medycznego punktu widzenia wydawało się to niemożliwe.

„Cud w medycynie" to także opowieść o pionierskich zabiegach (jak choćby przeszczep twarzy), niezwykle skomplikowanych operacjach i trudnych wyborach.

Rozdziały, w których narratorami są kardiochirurdzy (profesorowie Zbigniew Religa, Janusz Skalski i Andrzej Bochenek), onkolodzy (profesor Cezary Szczylik), neurochirurdzy (profesor Tomasz Trojanowski), chirurdzy (profesor Maria Siemionow, doktor Mieczysław Wasielica), pokazują postaci w białych kitlach, które chorym zlewają się w masę oznaczaną hasłem „lekarz", jako ludzi wątpiących, świadomych ograniczeń medycyny i pełnych pokory wobec nie do końca zrozumiałych procesów biologicznych. A te ostatnie dzieją się często wbrew logice. Ich motorem wydaje się nieraz zwykła ludzka wola życia.

Dlatego właśnie William Stewart Halsted, słynny amerykański chirurg żyjący na początku XX wieku, bez względu na honorarium, jakie mógł otrzymać, odmawiał pomocy pacjentowi, który w stu procentach nie wierzył w pozytywny efekt czekającej go operacji. – Chorzy, którzy nie są w pełni nastawieni na wyzdrowienie, często umierają mimo najlepszej opieki, choć powinni zdrowieć. Bywa też odwrotnie – stan chorego, który (wydawało się) nie ma już żadnych szans, nagle w jakiś niewytłumaczalny dla lekarza sposób zaczyna się poprawiać – uzasadniał Halsted.

Nigdy nie mów nigdy

„Ponad 30 lat temu, będąc studentem, wyjechałem na stypendium do bardzo dobrego ośrodka neurochirurgicznego w Wielkiej Brytanii – opowiada profesor Tomasz Trojanowski. – Pewnego dnia zwołano wszystkich asystentów, by pokazać nam pacjentkę, u której zniknęły przerzuty raka, choć nowotwór piersi, z którym się zmagała, był tak zaawansowany, że rozsiewał się do wszystkich organów. Nie skutkowały ani naświetlania, ani chemia, więc lekarze powiedzieli wprost pacjentce, by korzystała z życia najlepiej, jak potrafi. Kiedy pewnego dnia przyszła do ambulatorium, okazało się, że przerzuty, które miała już nawet w kręgosłupie, zniknęły. Bez leczenia! (...) Biologia człowieka jest tajemnicą, a postęp w medycynie, choć wiele przynosi, nigdy nie zapewni nam dostępu do całej wiedzy o człowieku" – konkluduje specjalista.



„Cud w medycynie", opracowanie zbiorowe *Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 246, 29,90 zł*

Czy jednak, nawet wiedząc wszystko, bylibyśmy w stanie przejrzeć naturę? Wydawać radykalne sądy i podejmować niepodważalne decyzje? Nie sądzę i utwierdzają mnie w tym kolejne opowieści z księgi cudów: o sparaliżowanym programiście komputerowym, który zgadzając się na niezwykle ryzykowny zabieg, odzyskał władzę w nogach i rękach; o młodej, uzdolnionej muzycznie dziewczynie, która walkę z nowotworem wątroby wygrała dzięki marzeniom: o śpiewie i narodzinach dziecka. O 70-letnim lekarzu z tak poważną niewydolnością serca, że nikt nie chciał się podjąć jego operacji, a którego zespół kardiochirurgów przeciągnął skutecznie na stronę życia.

Te i inne historie najlepiej ilustruje zdanie wypowiedziane w książce przez jednego z lekarzy: „W medycynie jak w miłości nie powinno się używać słów »zawsze« i »nigdy«". A jednak czytając o kolejnych „przypadkach", chciałoby się uwierzyć, że zawsze wszystko jest możliwe. Że pula cudów wcale się nie zmniejsza, a jedynie zmienia swoją zawartość. □

MOKRO PIOTR STANISŁAWSKI

Lanie wody

Drugiego dnia świąt będziemy chlustać bez opamiętania. Sprawdź, czym przyjdzie ci polewać bliźnich

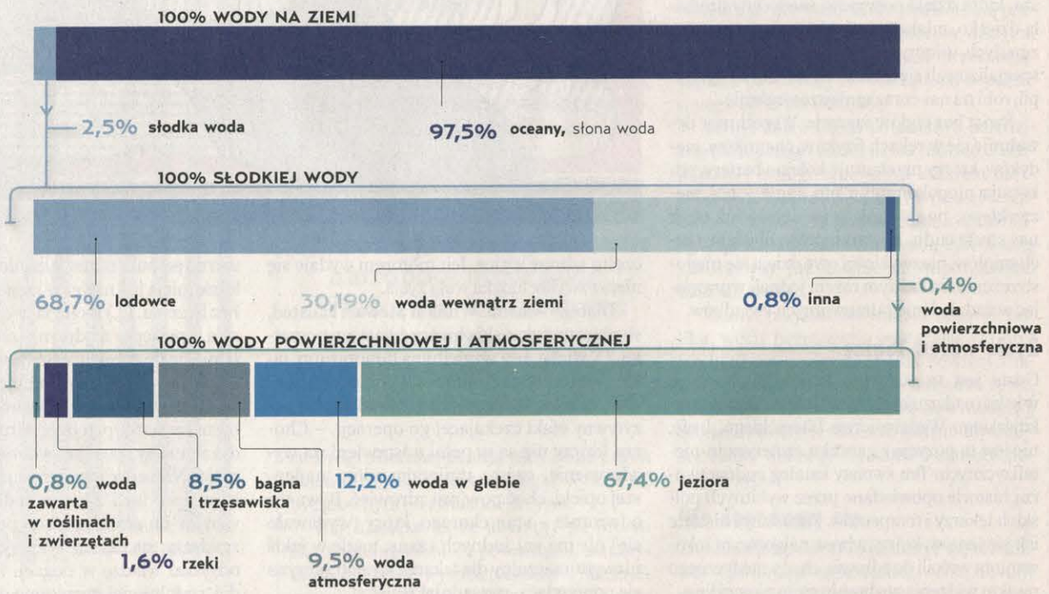
Jest niezwykła, bez niej nie mogłoby powstać życie takie, jakie znamy. Kłopot w tym, że nie wiemy, skąd się u nas wzięła. Jedna z najważniejszych hipotez mówi, że przyleciała ze Słońca. A przynajmniej znaczna jej część – wodór. Zawarty w wietrze słonecznym miał łączyć się w atmosferze z tlenem będącym głównym składnikiem skorupy ziemskiej i w postaci płynu opadać na powierzchnię.

Inna teoria głosi, że ziemska woda powoli uzbierała się z tego, co przyniosły z kosmosu komety rozbijające się przez miliardy lat o kształtującą się planetę.

Skoro już tu jest, to przyjrzyjmy się jej nieco dokładniej. To jedyna substancja, która naturalnie występuje we wszystkich stanach skupienia. To również jeden z najlepszych rozpuszczalników, zdolny do szybszego lub wolniejszego rozpuszczenia większości substancji. Z tego powodu woda w stanie czystym praktycznie nie występuje – nawet po kilkukrotnej destylacji i przechowywaniu w ściśle kontrolowanych warunkach zawierać będzie nieco zanieczyszczeń – głównie sodu.

Gdyby już uprzeć się, by ją oczyścić, należałoby połączyć proces odwróconej osmozy, nanofiltracji i demineralizacji. A i tak przy pierwszej lepszej okazji złapie kilka jonów i wróci do swojego normalnego, nieczystego stanu. □

Świat w słonej zalewie

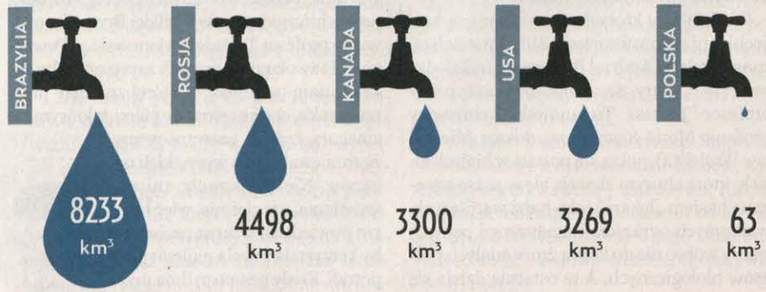


Cała masa cieczy

1,386 mld km³

1 386 000 000 KILOmetrów sześciennych wody znajduje się w zamkniętym systemie Ziemi. Niemal nic z niego nie ubywa, bardzo niewiele może też przybyć. Miejscowe jej braki wynikają wyłącznie z przemieszczania zasobów wody po planecie.

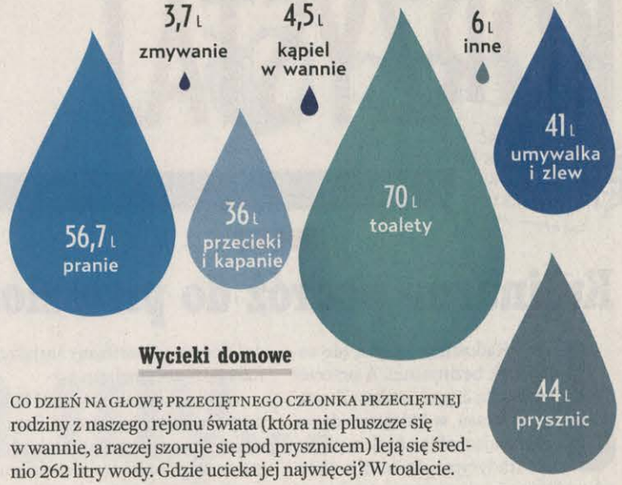
Kto opływa w dostatki, czyli największe odnawialne zasoby H_2O



Wodożerni Amerykanie

KAŻDY Z NAS ZOSTAWIA NA ZIEMI SWÓJ WŁASNY WODNY ODCISK STOPY. Oznacza on ilość wody zużytej do produkcji żywności i innych przedmiotów konsumowanych przez jedną osobę w danym kraju.





Wycieki domowe

CO DZIEŃ NA GŁOWĘ PRZECIĘTNEGO CZŁONKA PRZECIĘTNEJ rodziny z naszego rejonu świata (która nie pluszcze się w wannie, a raczej szoruje się pod prysznicem) leją się średnio 262 litry wody. Gdzie ucieka jej najwięcej? W toalecie.

Fakty w płynie

LÓD JEST O 9 PROCENT LŻEJSZY OD WODY płynnej. Dzięki temu unosi się na powierzchni, a w zimie ryby i inne stwory mogą pod nim przetrwać.

WODA MA OGROMNĄ POJEMNOŚĆ CIEPLNĄ. Wynosi ona 4,18 k J/kgK i należy do najwyższych w przyrodzie. Dzięki tej właściwości oceany gromadzą ciepło i stabilizują klimat.

OD LAT POWTARZANY JEST MIT MÓWIĄCY, że dla zdrowia należy wypijać 8 szklanek wody dziennie. To nieporozumienie – człowiek rzeczywiście potrzebuje dziennie 2–2,5 litra wody, jednak w większości spożywa ją w pokarmach lub pijąc soki, herbatę czy kawę.

NADMIAR WODY MOŻE ZABIĆ. MIESZKANKA USA zmarła po wypiciu 7,5 litra wody – dopadło ją zatrucie wodne. Bezpośrednią przyczyną zgonu jest zwykle obrzęk mózgu lub zatrzymanie akcji serca.

DO BARDZIEJ KREATYWNYCH zastosowań wody należą wodne tortury. Najmodniejsza to waterboarding, jedna z najokrutniejszych – hiszpańska *toca*.

PRZEZ WIELE LAT SĄDZONO, ŻE WODA JEST domeną ziemską. Ostatnio odkryto ją jednak na Marsie, Księżycu oraz asteroidzie 24 Themis.

LITR WODY Z KRANU JEST OKOŁO 400 RAZY tańszy od litra wody butelkowanej. Jednocześnie 40 procent wody butelkowanej pochodzi z oczyszczonej wody wodociągowej.

SILNE PRAGNIENIE ZACZYNAMY ODCZUWAĆ, gdy organizm utraci około jednego procenta zawartej w nim wody, co odpowiada objętości równej pół litra.

Wirtualna woda

Zużywamy wodę nie tylko wtedy, gdy pijemy ją z butelki lub kiedy bierzemy prysznic. Z jednego bawełnianego podkoszulka moglibyśmy wycisnąć jej ponad cztery tysiące litrów

JEŚLI WYDAJE CI SIĘ, ŻE DO PRZYGOTOWANIA filiżanki kawy potrzeba 200 ml wody, mylisz się. Zamiłowanie do tego napoju kosztuje świat 120 miliardów metrów sześciennych wody rocznie. Tyle jej wycieka przy produkcji ziaren.

W 1993 roku brytyjski geograf, profesor John Anthony Allan, stworzył koncepcję „wirtualnej wody". Mówi ona o tym, ile wody potrzeba do produkcji żywności i innych dóbr konsumpcyjnych. Policz, ile zużywasz.



KORZYSTAJ

JEDZENIE
PRZESZŁOŚĆ
TRADYCJA
WIELKANOC
SMAKI

W tym tygodniu:
WYSYŁAMY NASZE
PODNIEBIENIA W PODRÓŻ
SENTYMENTALNĄ
DO ODLEGŁEJ (W CZASIE)
GALICJI

GALICJA

Kulinarna podróż do przeszłości

Jemy. Radośnie, do syta, ale cokolwiek bezmyślnie. A przecież święta są czymś na kształt machiny czasu, w którą wsiadamy, nakładając sobie na talerz pierwsze tradycyjne danie. Na dodatek podróż ta wcale nie musi przebiegać liniowo. Kolejne potrawy miotają nami od starożytnego Rzymu po cesarstwo Austro-Węgier. Aż dziw, że przy deserze nie nabawiliśmy się jeszcze choroby lokomocyjnej.

A więc – widelce w dłoń! Poluzujmy pasy i wyostrzmy uwagę. Zapraszamy na szybką przejażdżkę pomiędzy świątecznymi półmiskami z sześcioma przystankami. Na każdym z nich nasz przewodnik przedstawi państwu kilka kęsów historii przyprawionych szczyptą ciekawostek. Po podróży gwarantujemy wzmożony apetyt i wysycony mózg. □



1. Płatki róży Płatki kwiatowe od wieków fascynowały kucharzy jako wyjątkowa, ale i ciężka w obróbce delicja. Płatki róży w Polsce znane są od stuleci, od dziesięcioleci w przepisach obecne są też kwiaty cukinii. Najbardziej fascynującym rarytasem, ocierającym się niemal o kulinarną perwersję, jest legendarna, pochodząca z Mazur nalewka fiołkowa, do przyrządzenia której potrzebne jest „siedemset gramów kwiatków fiołków wonnych w pączkach".

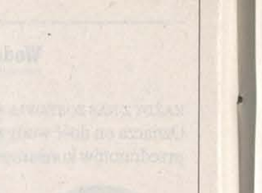


2. Szynka Wołowa Cesarzowej Sisi Jeden z najbardziej malowniczych, do dziś zachowanych opisów przygotowania się do świąt zaczynał się do słów: „Ze swego stada wybierz sztukę dorodnego woła". A na większych dworach na jednej sztuce zdecydowanie się nie kończyło. Wołowina zaczęła z wielkanocnego stołu wypierać dziczyznę na przełomie XVIII i XIX wieku, kiedy to kultura kulinarna stawała się coraz bardziej miejska. W Galicji jak zawsze podpatrywano to, co podawano na stołach w CK Monarchii.

3. Chrzan tarty luksusowy Na świątecznym staropolskim stole często znajdowało się pieczone prosię trzymające w zębach pisankę lub korzeń chrzanu. W Polsce od stuleci chrzan traktowano nie tylko jako zaostrzający smak dodatek, ale i panaceum na dolegliwości żołądkowe. Znany w XIX wieku sposób na zgagę polegający na zjedzeniu na czczo święconego chrzanu i chuchnięciu nim trzy razy do komina radzimy stosować ostrożnie.



4. Miód Pitny Dwójniak Księcia Lubomirskiego Miód na stole wielkanocnym? Ależ oczywiście – według zachowanego opisu w XVI wieku u wojewody witebskiego Iwana Sapiehy pojawiło się na stole aż 8760 kwart miodu – tyle, ile jest godzin w roku.



5. Musztarda to element obowiązkowy. W poradniku z XIX wieku dla szykujących uczty czytamy: „Przy drzwiach niech stoi stolik dla służby, gdzie powinno być przygotowane parę karafek wody (...), wino, chleb – ocet, oliwa, musztarda, niech również będą przygotowane".

6. Konfitura malinowa Mazury i baby sprawiły, że zapomnieliśmy o tortach wielkanocnych, które jeszcze pod koniec XIX wieku były obowiązkowe w każdym domu. Smak tych prostych do przyrządzenia dań bazował na doskonałych, wyrabianych domowymi sposobami konfiturach. O tym, że przyrządzenie takiego frykasu to nic trudnego, niech świadczy przepis z 1895 roku na Tort Francuzki: „Zrobić ciasto maślane z 2 funtów mąki i półtora funta masła, rozwałkować cienko i wykrawać talerzem 12 krążków, ułożyć na wysmarowany masłem papier i każdy z osobna upiec. Gdy się zarumienią, wyjąć i układać jeden na drugim, przekładając galaretą i konfiturami – każdy czem innem, ubrać po wierzchu konfiturami i lukrem".



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

pah
czynimy świat lepszym

To nie my...
budujemy
studnie
w Sudanie...

Robią to ludzie
tacy jak Ty.
Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przekaż 1% swojego podatku
Polska Akcja Humanitarna
KRS 0000136833 www.pah.org.pl/jedenprocent

WRACA SZAŁ POŻYCZEK KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Jedna jaskółka kredytu nie czyni

Po trwającym półtora roku kryzysie znów nieco łatwiej o pieniądze na zakup mieszkania. Ale czy kredyt hipoteczny warto brać już teraz? Rozwiąż nasz test, a się przekonasz



Z analiz firmy pośrednictwa finansowego Home Broker wynika, że w ciągu dwóch ostatnich miesięcy zdolność kredytowa Polaków wzrosła średnio o 22 tysiące złotych. W niektórych bankach statystyczny Kowalski w styczniu mógł pożyczyć pieniądze na zakup dwupokojowego mieszkania, a w marcu – już trzypokojowego. Do tego zwiększyła się liczba banków, które udzielają kredytów złotówkowych klientom bez wkładu własnego.

Łatwiej dostępne są też pożyczki walutowe. Już 14 banków ma w ofercie kredyty w euro, w tym 7 nawet na 100 procent wartości nieruchomości. A przecież jeszcze kilka tygodni temu na taki kredyt szanse miały jedynie osoby z solidnymi oszczędnościami albo naprawdę dobrze zarabiające.

Od końca 2008 roku zdobycie kredytu było marzeniem ściętej głowy. Udzielano ich niemal wyłącznie w złotówkach w ramach programu „Rodzina na swoim" (około połowy odsetek przez osiem lat pokrywa rząd). Banki straciły do siebie zaufanie i przestały pożyczać sobie pieniądze. Nie mając obcych walut, nie pożyczały więc i Kowalskiemu. Teraz o kredyt walutowy jest już łatwiej, ale banki wciąż, zanim pożyczą nam 100 tysięcy złotych w euro lub we frankach, muszą sprawdzać, czy stać nas na kredyt w wysokości 120 tysięcy złotych w rodzimej walucie.

Czy wiosna to dobry czas, by wziąć kredyt na mieszkanie? Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Niebawem będziemy mieli zapewne kolejny wysyp promocyjnych ofert. Sypną się może jesienią albo dopiero w przyszłym roku. Pytanie tylko, czy chcemy tyle czekać, bo to wiąże się z ryzykiem, że w tym czasie ceny mieszkań pójdą ostro w górę. W podjęciu decyzji pomoże nasz test. Wystarczy szczerze odpowiadać na wszystkie pytania, zakreślając jedną z dwóch zaproponowanych odpowiedzi.

TEST KREDYTOBIORCY

1. Jakiego mieszkania szukasz?
a. Musi być boskie.
b. Po prostu chcę gdzieś mieszkać.

2. Czy masz inne kredyty, a jeśli tak, to czy przekraczają one 50 procent dochodów w twoim gospodarstwie domowym?
a. Tak.
b. Nie.

3. Czy wolałbyś kupić mieszkanie:
a. Nowe.
b. Z rynku wtórnego.

4. Jesteś singlem czy żyjesz w związku małżeńskim?
a. Tak, jestem po ślubie.
b. Jestem wolny/a jak ptak.

5. Załóżmy, że udałoby ci się uzyskać kredyt walutowy (w euro lub we frankach). Czy zakładasz, że spłacisz go w trzy lata?
a. Tak.
b. Nie.

6. Załóżmy, że masz zdolność kredytową na kredyt w każdej walucie, a chcesz wziąć pożyczkę długoterminową (na co najmniej kilkanaście lat). Wziąłbyś ją:
a. W złotówkach lub w euro.
b. We frankach szwajcarskich.

Jeśli w większości odpowiedzi zaznaczałeś „a", w miarę szybko powinieneś zająć się poszukiwaniem mieszkania i sfinansowaniem go kredytem. Jeżeli częściej wskazywałeś odpowiedzi „b", możesz wstrzymać się z decyzją i uważnie obserwować rynek.

PYTANIE 1.

W najbliższych latach nie wszystkie mieszkania będą drożeć.

Wielu analityków zapowiada, że w drugiej połowie 2010 roku wzrosną ceny lokali, ale to tylko po części prawda. W tym roku liczba nowych mieszkań oddawanych do użytku będzie niższa o prawie 20 procent w porównaniu z zeszłym rokiem. A im mniej ofert, tym lepszy pretekst do windowania cen.

Dziś wiele osób ma już świadomość, że koszty z trudem uzyskanego kredytu (oprocentowanie i prowizje) są dużo wyższe niż przed kryzysem. Poza tym ludzie pamiętają jeszcze czasy (było to przecież zaledwie pięć lat temu), gdy mieszkania były dużo tańsze. W Warszawie na przykład płaciło się po 3,2 tysiąca złotych za metr kwadratowy, podczas gdy dziś (mimo kryzysowych obniżek) na podobne lokum trzeba wydać co najmniej dwa razy tyle.

Właśnie dlatego w cenie są dziś przede wszystkim mieszkania o najlepszym standardzie (nawet mniejsze) i w dobrych miejscach (z widokiem na tereny zielone, od strony południowo-zachodniej, w dobrych dzielnicach). Kupujący bowiem zdają sobie sprawę, że taka nieruchomość to także inwestycja – w przyszłości łatwiej będzie ją sprzedać lub wynająć.

Mniej atrakcyjne mieszkania z rynku pierwotnego sprzedają się gorzej. Słabszy jest też popyt na lokale z rynku wtórnego w budynkach z wielkiej płyty. W tym przypadku liczą się za to mieszkania z cegły z lat 90. XX wieku. Trend (ceny dobrych w górę, gorszych →



w w w . k l e r . e u SALONY I STOISKA FIRMOWE: Białystok 085 664 90 07, Bielsko-Biała 033 498 71 04, Bydgoszcz 052 373 59 77, Częstochowa 034 368 34 47, Dobrodzień 034 352 91 66, Gdańsk: 058 520 38 03, 058 522 60 96, Gliwice 032 279 48 05, Gorzów Wlkp. 095 728 82 83, Jarosław 016 621 04 02, Jelenia Góra 075 647 24 31, Katowice: 032 256 61 97, 032 735 27 10, Kalisz 062 757 03 88, Kielce 041 334 00 06-07, Koszalin 094 347 32 35, Kraków 012 266 38 43, Lublin 081 746 59 09, Lubin 076 724 60 36, Łódź 042 672 46 20, Nowy Sącz 018 547 68 13, Nowy Targ 018 264 10 42, Olsztyn 089 539 04 80, Opole 077 403 01 50, Ostrów Wlkp. 062 735 60 17, Poznań-Komorniki 061 893 50 71, Poznań Swarzędz 061 815 93 69, Racibórz: 032 415 07 78, 032 419 08 14, Radom 048 365 57 37, Rybnik 032 423 39 02, Rzeszów 017 850 29 80, Szczecin 091 461 34 67, Toruń 056 678 75 71, Warszawa: 022 894 35 61, 022 771 21 90, 022 654 64 04, 022 611 34 49, Wrocław: 071 359 09 74, 071 390 19 22, Zielona Góra 068 329 03 06. SALONY I STOISKA AUTORYZOWANE: Bełchatów 044 632 87 22, Krosno 013 437 25 04, Sochaczew 046 861 91 21, Stalowa Wola 015 843 28 41, Warszawa 022 638 08 77. BELGIA: Bruksela +35/56755011; USA: Chicago 1/7737889700, KANADA: Toronto 1/9058290088.

KLER

RYS. SHUTTERSTOCK

→ w dół) utrzyma się zapewne długo, bo na rynku jest coraz więcej nieruchomości o lepszym standardzie, przez co rosną wymagania kupujących.

Jeśli więc szukasz mieszkania, do którego nie będziesz miał zastrzeżeń, kupuj je czym prędzej. Za chwilę tych najlepszych ofert będzie jak na lekarstwo. Jeśli zaś zdajesz sobie sprawę, że twoje możliwości finansowe i tak nie pozwolą ci na zakup wymarzonego lokum (ani za miesiąc, ani za rok), warto jeszcze obserwować rynek.

PYTANIE 2.

Jeśli odpowiedziałeś „tak", powinieneś naprawdę szybko ruszyć do bankowego okienka. Zgodnie z najnowszymi zaleceniami Komisji Nadzoru Finansowego (rekomendacja „T") kredyty nie powinny być udzielane osobom, w przypadku których suma rat kredytowych przekracza 50 procent przychodów netto. Oznacza to, że jeśli twoje miesięczne raty wynoszą ponad dwa tysiące złotych, a dochód to cztery tysiące złotych netto, nie masz szansy na kolejny kredyt, również hipoteczny. Rekomendacja „T" zacznie być stosowana w ciągu najbliższych 6–10 miesięcy. *Ergo* – najbliższe miesiące to ostatni moment na wzięcie kredytu na starych zasadach.

Co istotne, 50-procentowy próg dotyczy klientów, którzy zarabiają poniżej średniej krajowej (3231 złotych brutto). Dla osób z wyższymi dochodami kryteria są łagodniejsze – stosunek rat kredytów do miesięcznych dochodów może wynieść 65 procent.

PYTANIE 3.

Dziś spore oszczędności – do kilkuset złotych miesięcznie – daje program „Rodzina na swoim". Raty z dopłatami są nawet niższe niż raty kredytów walutowych. Niestety, rząd zapowiada jego stopniowe wygaszanie do 2015 roku. Co dokładnie ma na myśli? Nie wiadomo. Ministerstwo Infrastruktury ujawniło jednak, że od 2011 roku z programu wyłączy dopłaty do mieszkań z rynku wtórnego. Państwo wspomagałoby więc zakup tylko nowych mieszkań bądź budowę domów. Jeśli więc rozglądasz się za lokalem z drugiej ręki, a spełniasz warunki programu „Rodzina na swoim" (jesteś w związku małżeńskim lub wychowujesz dziecko i nie masz żadnego innego mieszkania), kup mieszkanie najpóźniej jesienią.

PYTANIE 4.

Rząd, mimo że chce się wycofywać z programu „Rodzina na swoim", zapowiedział jednocześnie, iż umożliwi dostęp do niego singlom. Dopłacałby im do rat kredytowych, jeśli mieszkanie miałoby nie więcej niż 50 metrów kwadratowych (rodziny mogą kupować mieszkania 75-metrowe i 140-metrowe domy). Jeśli nie zamierzasz z nikim się wiązać, możesz zaryzykować i poczekać na realizację tej zapowiedzi. Jak długo? Ministerstwo Infrastruktury podało, że program „Singiel na swoim" wejdzie w życie w połowie tego roku.

PYTANIE 5.

Jeśli twoje zarobki pozwalają ci spłacić pożyczkę w ciągu najbliższych kilku lat (pewnie musiałby to być kredyt rzędu stu tysięcy złotych), jak najszybciej skontaktuj się z bankiem. Stara zasada dotycząca kredytów walutowych mówi: bierz po jak najwyższym kursie, a spłacaj, gdy kurs dołuje. Dziś kursy franka i euro są – biorąc pod uwagę ostatnie 10 lat – na średnim poziomie. Za franka płacimy około 2,7 złotego (w ostatnich 10 latach jego cena wahała się między 2 a 4 złote), a za euro – 3,9 złotego (cena od 3 do blisko 5 złotych). Polska jest uznawana w UE za państwo najlepiej radzące sobie z kryzysem, a poza tym przymierzamy się do wejścia do strefy euro – oba te fakty stabilizują i umacniają polską gospodarkę, a więc także złotego. To z kolei zmniejsza nasze kredyty walutowe. Przy kredycie na 100 tysięcy złotych spadek kursu euro o 50 groszy pozwala zaoszczędzić 20 tysięcy złotych.

No dobrze, ale przecież stopy procentowe w strefie euro oraz w Szwajcarii są na rekordowo niskich poziomach – w najbliższych latach na pewno będą szły w górę. To prawda, tyle że zmiana stóp nawet o dwa punkty procentowe (to już bardzo dużo) przy kredycie na 100 tysięcy złotych przekłada się zwykle na podwyżkę raty o 100–200 złotych miesięcznie. W ciągu trzech lat dołożysz więc do interesu najwyżej 6–7 tysięcy złotych. A gdy założymy, że złotówka umocni się wobec europejskiej waluty o 15–20 groszy, na kredycie w euro zarobisz.

By kurs walut obcych nagle wystrzelił w górę (a złotówka mocno się osłabiła), na polskim lub światowym rynku musiałby wydarzyć się jakiś dramat. Oczywiście teoretycznie to możliwe. Ale cóż, już samo wzięcie kredytu jest jak ruletka.

PYTANIE 6.

Decyzja, czy korzystniej wziąć kredyt długoterminowy w euro, czy w złotych, zależy do tego, po jakim kursie wejdziemy do strefy wspólnej waluty europejskiej. Jeśli kurs byłby dużo niższy od obecnego (3,2–3,5 złotego), wtedy kredyt w euro by się opłacił. Jeśli byłby taki sam jak dziś lub nieco wyższy (3,8–4 złote), lepiej brać kredyt w złotówkach, pod warunkiem że byłby to kredyt z rządową dopłatą. Bo jeśli na skorzystanie z programu „Rodzina na swoim" nie masz szans, bardziej opłaca się pożyczać w euro. Trzeba jednak zarazem pamiętać, że marże kredytów złotówkowych (co to jest – patrz ramka) są niższe niż marże dla kredytów w euro.

Co to oznacza dla Kowalskiego? Po zmianie polskiej waluty na europejską osoby z kredytami złotówkowymi zostaną z lepszymi marżami. Te z kredytami w euro, by płacić mniejsze raty, powinny pożyczkę zrefinansować (starą spłacić nową). To będzie wiązało się z dodatkowymi kosztami (dziś nawet 10 tysięcy złotych). Warto to wziąć pod uwagę w swoich wyliczeniach.

Najtańszy byłby zapewne kredyt we frankach szwajcarskich, ale banki wciąż nie obniżyły oprocentowania kredytów w tej walucie. Zdaniem analityków prawdopodobnie nastąpi to po wiosennej bitwie o klientów. Jeśli więc nie straszne ci ryzyko wahań kursowych (biorąc kredyt w euro lub w złotówkach, w końcu się go pozbędziesz, biorąc kredyt we frankach – nie), obserwuj dalsze ruchy na bankowym rynku. □

CO TO JEST MARŻA?

Marża to ta część oprocentowania kredytu, którą ustala bank. Banki wpisują marżę w twoją umowę i jest ona niezmienna do końca spłacania pożyczki. Oprocentowanie składa się również z części zmiennej, którą stanowi wskaźnik WIBOR, LIBOR lub EURIBOR.

Przykład:
marża bankowa (2 procent) + WIBOR (4 procent) = oprocentowanie twojego kredytu (6 procent).

ADRESY INTERNETOWE DLA POSZUKIWACZY DOBRYCH KREDYTÓW

Comperia.pl – porównywarka produktów finansowych, w tym pożyczek. Porządkuje kredyty od najlepszego do najgorszego zarówno pod względem wysokości raty, jak i ogólnych kosztów.

Bgk.com.pl – strona Banku Gospodarstwa Krajowego, który odpowiada za wdrażanie programu „Rodzina na swoim". Znajdziesz tu informacje, kto może ubiegać się o dopłaty i jakie mieszkania są nimi objęte.

Homebroker.pl, Goldfinance.pl, Expander.pl, Openfinance.pl, Domkredytowy.pl, Oppen-kredyt.pl – strony pośredników finansowych z największą ofertą banków na rynku. Nawet jeśli nie masz zaufania do pośredników, warto się do nich wybrać. A nuż ten sam kredyt, który wybrałeś w banku lub przez porównywarkę, będzie u nich tańszy.

Forum-kredytowe.pl – tu dowiesz się, jak spłacanie i zaciąganie kredytów idzie innym.

PRZEKRÓJ

NAJPOPULARNIEJSZE NA PRZEKROJ.PL





1 DUCHY Z OKŁADKI
AGNIESZKA FIEDOROWICZ, ANNA SZULC
Polscy autorzy widmo jak bohater najnowszego filmu Romana Polańskiego „Ghostwriter" też ocierają się o szantaże i brudne tajemnice polane z wierzchu maskującym sosem luksusu

2 HAZARD, CZYLI ZABILI GO I UCIEKŁ
ANNA SZULC, MARCIN CICHOŃSKI
Po dwóch miesiącach działania ustawy hazardowej jest już jasne – zyskało podziemie i zagraniczne firmy bukmacherskie. Traci państwo i zwykli obywatele, którzy bankrutują przez nadgorliwość polityków



3 CZYŚCIEC KOŚCIOŁA, PIEKŁO OFIAR
RENATA KIM
Pedofilia nie będzie już zamiatana pod dywan? Watykan przyznaje, że ma z nią problem i chce go rozwiązać. Podobno chcieć to móc

4 ZIELONE PALIWO DLA TYCH, CO JEŹDZĄ I LATAJĄ
PIOTR KOSSOBUDZKI, PIOTR STANISŁAWSKI
W Polsce biopaliwa kojarzą się z awanturą o dopłaty do rzepaku. A na świecie trwa wyścig, kto łąki i stawy przerobi na złoża paliw. Wygrywają... wielkie koncerny naftowe



5 CHŁOPCY Z WARIATKOWA
OLA SALWA
Ameryka jest tu „Wyspą tajemnic" zbyt łatwo odkrywanych, mimo to Martin Scorsese wciągająco o nich opowiada

KULTURA

W tym tygodniu:
JOANNIE BATOR BRAKUJE ŚWIATŁA, ISABELLE HUPPERT NIE BRAKUJE WYZWAŃ. A MY ZRZUCAMY Z POMNIKA JIMIEGO HENDRIKSA I BUDUJEMY POSĄG HYPATII

KSIĄŻKI MARZEŃ MAŁGORZATA SADOWSKA

NOWA ZIEMIA OBIECANA

„WINNICA W TOSKANII", „MÓJ PIERWSZY ROK W TOSKANII", „BELLA TOSKANIA", „TOSKANIA, UMBRIA I OKOLICE. PRZEWODNIK SUBIEKTYWNY", „TYSIĄC DNI W TOSKANII" – WYSTARCZY RZUCIĆ OKIEM NA PÓŁKI W KSIĘGARNIACH, BY PRZEKONAĆ SIĘ, **GDZIE LEŻY DZIŚ ZIEMSKI RAJ**. I ŻE MY, POLACY, WŁAŚNIE GO DOSTĄPILIŚMY

Siedzę pod Ponte dei Sospiri, dłubię widelcem w schabie Italia. Zacząć od San Casciano czy może Montalcino? Lukki czy Florencji? Tworzyć winnicę z Ferencem Máté? Remontować starą willę z Frances Mayes? A może z Małgorzatą Matyjaszczyk oglądać świat z okien plebanii? („Gdzieś przy drodze gigantycznych rozmiarów ostrokrzew z krwiście czerwonymi owocami. Zdawać by się mogło, że te owoce spijają krew z palców pokłutych na kolcach liści"). – Schabowy z jarzynką! – Ten okrzyk brutalnie budzi mnie ze snu o bella Toskania. Potrącam ramieniem wiszący na ścianie widoczek Wenecji, pakuję do torby stertę książek, odsuwam niedojedzoną Italię i opuszczam bar Niespodzianka. Moda – bo tak bez wątpienia należy nazwać to zjawisko – na Włochy ze szczególnym uwzględnieniem Toskanii narasta w Polsce od kilku lat; wyczuli ją także wydawcy, więc na rynku pojawiają się kolejne opowieści o dolce vita.

Tylko gdzie je właściwie ustawić? W dziale „podróże"? Nic z tego, bo tylko niektóre przynoszą konkretne wskazówki, co zwiedzić, gdzie spać, gdzie zjeść. A może gdzieś obok kulinariów, skoro pełno w nich przepisów? Ale przecież książki umajone informacjami o tym, jak przyrządzić fasolę duszoną w butelce umieszczonej w gorącym popiele, aspirują do miana literatury. Cóż jednak z tych aspiracji, skoro większość ma z literaturą tyle wspólnego, ile pizza hawajska z prawdziwą pizzą (nie mówiąc już o Hawajach)?

No właśnie. Dla opowieści z Toskanii powinno się stworzyć osobny dział – „ziemia obiecana". Bo jest jednak coś, co łączy egzaltowaną Matyjaszczyk, rozsmakowanych w sztuce Lindenberga i Goławską, wyniosłą Mayes, namiętną de Blasi, swawolnego Máté – przekonanie, że ta część świata jest absolutnie wyjątkowa. – Kiedy zbliżasz się do Toskanii, zmienia się światło, kolor ziemi, kolor drzew się zmienia. To magiczne miejsce – tłumaczy mi Amerykanka Marlena de Blasi, autorka „Tysiąca dni w Wenecji", „Tysiąca dni w Toskanii", „Tysiąca dni w Orvieto", książek tak popularnych (w Polsce sprzedały się dotąd w przeszło 80 tysiącach egzemplarzy), że ich autorka spędza teraz tysiące dni w promocyjnych podróżach.

– Toskania jest wyobrażeniem raju zbliżonego do naszej ziemskiej egzystencji, miejscem, gdzie można pięknie i dobrze żyć – dodaje spec od mediów Grzegorz Lindenberg, który wraz z Anną Marią Goławską napisał „Toskanię, →

→ Umbrię i okolice. Przewodnik subiektywny" (wkrótce ukaże się ich książka o południu Włoch).

Toskania odmładzająca

Piękne i dobre życie – oto klucz do Toskanii, słowa, do których pasowałyby jeszcze „prostota" i „harmonia". Tego właśnie wśród łagodnych wzgórz szukali nie tylko Lindenberg z Goławską czy de Blasi, mieszkanka San Casciano, ale także Węgier Ferenc Máté, który kupił i wyremontował stary klasztor i dziś nie tylko w nim pisze („Wzgórza Toskanii", „Winnica w Toskanii"), ale także produkuje wino. Albo Amerykanka Frances Mayes, której „Pod słońcem Toskanii" doczekało się ekranizacji (młodszą i piękniejszą wersję pani Mayes zagrała Diane Lane). Wreszcie Małgorzata Matyjaszczyk, księżowska gospodyni, której blog o życiu na toskańskiej plebanii (z gatunku: przybyłam, zobaczyłam, ugotowałam, kupiłam) cieszył się takim powodzeniem, że ukazała się jego książkowa, pełna wykrzykników wersja „Mój pierwszy rok w Toskanii". Matyjaszczyk dopiero na miejscu odkrywa istnienie karczochów, rukoli i oliwy („Oliwa? Toż to brzydka nazwa dla czegoś tak nieziemsko pachnącego. I to piszę ja, która nie jadłam (jak dotąd) oliwek"). Dla niej i wielu z nas to wciąż egzotyczne przysmaki.

– Mit Włoch, szczególnie Toskanii, w Stanach nie jest nowym zjawiskiem. Tak samo w Wielkiej Brytanii czy Niemczech. Niemcy przyjeżdżają tu przez 10 miesięcy w roku – tłumaczy de Blasi. – Holendrzy wykupili większość Wenecji i zaczęli kupować domy na wsi. Teraz i wy, Polacy, jesteście na ten mit gotowi.

Fenomen narracji o życiu rozpoczętym na nowo w pięknym miejscu, wśród natury i prostych ludzi zaistniał w latach 80., gdy Peter Mayle, Brytyjczyk, porzucił pracę w londyńskiej agencji reklamowej, żeby zamieszkać we Francji, gdzie napisał bestsellerowy „Rok w Prowansji"*. Chwilę później pojawiły się oparte na tym samym schemacie książki o Włoszech. Tak to się zaczęło i szybko zyskało wymiar komercyjny. – W USA do niedawna każdy marzył, żeby przyjechać do Toskanii i napisać książkę – opowiada de Blasi. – Na szczęście ta fascynacja powoli słabnie. Dziś Amerykanie chętniej wyjeżdżają choćby do Indii.

Zanim i Polacy rzucą się w tamtym kierunku, zastanówmy się, na czym polega wyjątkowość i magia Toskanii. Chodzi o krajobraz, o klimat, o kuchnię? O sztukę i historię? A może o wszystko po trochu? „Nawet najmłodsi pośród nich potrafią czerpać zadowolenie ze skromnego życia, które wiodą" – pisze o mieszkańcach Toskanii Máté. „Jeśli Włochy są ogrodem Europy, to Toskania jest ogrodem Włoch" – przytacza cytat z Carla Goldoniego Vito Casetti, autor przewodnikowej „Mojej Toskanii".

– Najwięcej nauczyło mnie obserwowanie, jak Toskańczycy są szczęśliwi, zbierając kasztany czy migdały, jak są podekscytowani drobnymi sprawami, jak umieją się nimi cieszyć. Być dziećmi przez całe życie. Rodzimy się starzy i stajemy się młodzi. To zrozumiałam we Włoszech – opowiada de Blasi, która w klimatyzowanym hotelowym pokoju wygląda jak ścięty i upchnięty do szklanego wazonu egzotyczny kwiat. Głosik kilkuletniej dziewczynki, zupełnie niepasujący do tej dojrzałej, obfitych kształtów kobiety sprawia, że zaczynam wierzyć w wersję o odmładzających właściwościach Toskanii.

– To jest archetyp naszej śródziemnomorskiej kultury. Właśnie tam jest zachowana, nie w Grecji, gdzie pozostały jedynie szacowne ruiny, z którymi nie ma żadnej łączności duchowej – tłumaczy swoją fascynację Grzegorz Lindenberg. – W Toskanii mam poczucie sensowności ludzkich wysiłków, że jak się zrobi coś pięknego, to to nie ginie, nie przepada. Jak pochodzące z czasów etruskich mury, przez wieki rozbudowywane w domy, w których niezmiennie od setek lat żyją ludzie. Tamtejszy krajobraz jest właściwie identyczny z tym na renesansowych obrazach. Dwa lata temu pojechaliśmy zrobić zdjęcie mostu z bodaj XIV wieku, który istnieje i jest użytkowany po dziś dzień. Stoi sobie w niezbyt ciekawej miejscowości i wyróżnia go tylko jedno – jest w tle na portrecie Mony Lisy.

– Przepraszam, czy mógłbym poprosić o tytuł tego przewodnika? – przerywa opowieść Grzegorza Lindenberga mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku, który najwyraźniej tylko udawał, że czyta gazetę.

– Wiele osób nie ma odwagi zmienić swojego życia – mówi de Blasi. – Chcą więc podążyć cudzym śladem, wierząc, że gdy kupią mapę, to znajdą skarb. To dziecinne!

Nie ma już dolce vita

Fascynacja Włochami nie jest oczywiście żadnym nowym zjawiskiem – pielgrzymowali tu już od dawna także Polacy, głównie jednak pisarze i artyści zafascynowani tutejszą kulturą, jak Jarosław Iwaszkiewicz, w którego wydanych właśnie „Podróżach do Włoch" znajdziecie opis biednej chłopskiej „Toscany" lat 30. i przebogatej sztuki regionu. O ile jednak Iwaszkiewicza interesował głównie pejzaż emocjonalny, o tyle pielgrzymi czasów konsumpcji dużo mocniej stąpają po ziemi w kolorze sieny palonej. Nie tylko chcą zobaczyć i poczuć, ale też mieć jej kawałek na własność. Dyskretnie przy tym pomijając lub spychając gdzieś na margines wątek pieniędzy, za które kupują swoje piękne ruiny, remontują je i w ogóle egzystują w „bella Italia". „Los i szczęście miały nas rzucić na dwuletnie rzymskie wakacje" – beztrosko wyznaje na przykład w „Winnicy..." Ferenc Máté. I on, i wszyscy inni chętnie opisują swoje przejścia z budowaniem, odnawianiem, legendarną włoską biurokracją, całe strony poświęcają opisom przygód z ekipami remontowymi, doprowadzaniem wody, wywożeniem gruzu itp. Doprawdy, proste życie, którego pochwałę głoszą, nigdy jeszcze nie było równie kosztowne i skomplikowane! Takiej refleksji na próżno jednak szukać w toskańskich książkach. Dominuje w nich mit pięknego życia i przyjemności: suto zastawiony stół, przednie wino, zapach bazylii i kapryfolium. Nic dziwnego, że czytelnicy chłonący opowieści o nowym życiu w Toskanii sami skłonni są zdać się na „los i szczęście". Poczekajcie jednak chwilę z pakowaniem.

– Proste nie znaczy łatwe – uprzedza Marlena de Blasi, która niejednokrotnie musiała studzić zapał czytelników, a przede wszystkim czytelniczek, które jej książki chciały traktować jak receptę na życie. – Każdy mit, każde Shangri-La ma swoją drugą stronę.

Opowiada mi o spotkaniu z czytelniczką, młodziutką dziewczyną. – Powiedziała, że jej chłopak jest Brytyjczykiem, ale „gdyby był Włochem, byłabym naprawdę szczęśliwa". Nie, kochanie, nic z tego. Akurat mit o Włochach nie ma swojej żadnej „drugiej strony". Cały jest kłamstwem.

De Blasi, jedna z głównych kreatorek toskańskiej legendy, autorka opowieści o późnej miłości przeżywanej we Włoszech pośród skrupulatnie opisywanych nieziemskich potraw i wina, uważa, że jestem zbyt racjonalna, i namawia, bym „zaprzyjaźniła się z przeznaczeniem". Wbrew pozorom sama też nie buja w obłokach: – Moje książki wzbudzają różne reakcje, szczególnie gwałtowne wśród kobiet fantazjujących przy sprzątaniu o porzuceniu domu, dzieci i chrapiącego męża; wierzą, że w Toskanii ich życie stanie się lepsze. Tak, możesz tu przyjechać, kupić dom. Ale razem z tobą przyjadą twoje problemy.

– Nie ma już dolce vita we Włoszech. Na pewno nie ma go tu więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu – te słowa w ustach Marleny de Blasi brzmią jak zapowiedź apokalipsy, szczególnie gdy dodaje, iż rozważa wyprowadzkę z kraju, bo cierpi, kiedy patrzy, jak umierają „jej" Włochy, dziś zdemoralizowane, z dorastającym właśnie oderwanym od tradycji „straconym pokoleniem".

Ale kto by się przejmował chmurami nadciągającymi nad słoneczną Italię, skoro mit umierać nie zamierza? Już za kilka miesięcy w Polsce ukażą się „Smaki południowej Italii" autorstwa de Blasi, a w okolicach wakacji do księgarń trafią choćby „Dom w Italii" i „Kuchnia Franceski" Petera Pezzelliego (kolejny Amerykanin, który postanowił zamieszkać we Włoszech), nowe książki Frances Mayes („Every Day in Tuscany") i Ferenca Máté („Mądrość Toskanii"). Ci, którym pozwoli na to zawartość portfela, podążą ich śladem. Omdlewając w lipcowym upale, będą gonić mit wśród hord turystów i rozpalonych murów Sieny, Lukki czy Montalcino. Reszta nie przestanie marzyć, jak Marianna, która wpisała w blogu Małgorzaty Matyjaszczyk: „A kiedy oglądam zdjęcia ze spacerów Małgosi z jej podopiecznymi czworonogami, łapię się na tym, że zazdroszczę nawet tym ostatnim. Ci to mają dopiero »pieskie życie« w tych »tak pięknych okolicznościach przyrody«... Bo w Toskanii to nawet psy wydają się szczęśliwsze...". □

Słodkiego, miłego życia

Szukacie przewodników po raju „pachnącym rozmarynem"? Oto sześć książek, których autorzy chętnie was tam zabiorą. Oprowadzą, napoją, nakarmią i narobią apetytu na jeszcze więcej



1. Frances Mayes *„Bella Toskania", Prószyński Media*



2. Małgorzata Matyjaszczyk *„Mój pierwszy rok w Toskanii", Feeria*



3. Vito Casetti, Agata Jakóbczak *„Moja Toskania!", Pascal*



4. Anna Maria Goławska i Grzegorz Lindenberg *„Toskania, Umbria i okolice", Nowy Świat*



5. Marlena de Blasi *„Tysiąc dni w Toskanii", Wydawnictwo Literackie*



6. Ferenc Máté *„Winnica w Toskanii", Prószyński Media*

FOT. FANTUZ OLIMPIO/SIME/FREE, CORNELIA DOERR/GETTY/FPM



A MOŻE ROK W PROWANSJI?

W KATEGORII „NAJPRZYJEMNIEJSZE miejsce na ziemi" Toskania ma poważną konkurentkę – Prowansję, na którą modę zapoczątkował Brytyjczyk Peter Mayle cyklem swoich opowieści o nowym życiu wśród winnic i lawendowych pól („Rok w Prowansji", „Wyznania francuskiego piekarza"). Jeszcze w kwietniu ukaże się kolejna jego książka „Wytrawny przekręt" (Prószyński Media), kryminał z Prowansją w tle. Na przeprowadzkę w tę okolicę zdecydowała się także irlandzka aktorka Carol Drinkwater, której „Oliwna farma", a po niej „Pora oliwek" (WL) także pojawią się lada moment. No i mamy jeszcze „Świnię w Prowansji. Dobre jedzenie i proste przyjemności w południowej Francji" autorstwa Amerykanki Georgeanne Brennan, która oczywiście „kupiła domek ze skrawkiem ziemi, kilka kóz i tytułową świnię i rozpoczęła swą przygodę z celebrowaniem przyjemności życia", jak informuje wydawca. Ta książka otwiera cykl Czarnego – „Dolce vita". Tej wiosny będziemy więc kuszeni na wiele sposobów. □

REKLAMA



PRZESŁUCHANIE LEGENDY JAREK SZUBRYCHT

Hej, Jimi, złaź z pomnika!

Zamiast poddać się nowej fali zachwytów nad geniuszem Jimiego Hendriksa, westchnijmy nad tym, jak wielkim gitarzystą nie został, choć mógł

Premiera „Valleys of Neptune" to kolejna próba rewitalizacji blaknącego nieco mitu herosa gitary. Było już takich akcji wiele i sporo podobnych jest przed nami, gra idzie o nawet kilka milionów sprzedanych płyt rocznie. Warto się więc otworzyć na muzykę, a na marketingowy szum nieco uodpornić. Tym bardziej że jak na reklamę przystało, obraz Jimiego Hendriksa w niej przedstawiony znacznie odbiega od rzeczywistości.

Ostatni z królewskiego rodu

Jimiego Hendriksa zwykle wspomina się jako artystę, który coś zaczął – wymyślił nowy sposób gry na gitarze, otworzył tradycjonalistom głowy na eksperymenty, wydobył z instrumentu brzmienia, o których wcześniej rockmanom się nie śniło. Tymczasem Hendrix nie tyle zaczął, ile skończył. Był ostatnim z dynastii wielkich czarnych bluesowych gitarzystów, którą można wywieść od Roberta Johnsona i jego anonimowych, tonących w mrokach historii artystycznych przodków. Jimi abdykował, zanim zdążył namaścić następcę, a chaos bezkrólewia wykorzystali biali chłopcy, którzy na dekady – może już na zawsze – przywłaszczyli sobie rocka. Udał im się ten przewrót tak dalece, że kiedy kilkanaście lat po śmierci Hendriksa debiutowała grupa Living Colour, z mistrzem gitary Vernonem Reidem na pokładzie, wszyscy głośno się dziwili, że czarnoskórzy muzycy grają tak bardzo „białą" muzykę.

Kult Jimiego zawdzięczamy w równej mierze jego talentowi, co pogmatwanej artystycznej biografii. Urodzony w 1942 roku w Seattle młodzieniec gry na gitarze uczył się, podglądając Muddy'ego Watersa i B.B. Kinga, a pierwsze kroki na scenie stawiał – jak Pan Bóg przykazał – w rhythmandbluesowych składach, jakich w połowie lat 60. były w Ameryce tysiące. Nic dziwnego, że w takim tłumie trudno było się przebić. Dostrzegł go i docenił dopiero Chas Chandler, basista grupy The Animals, który został menedżerem Hendriksa i ściągnął go do Wielkiej Brytanii. Tam wspólnie sklecili Jimiemu zespół – The Jimi Hendrix Experience – w którym czarnoskóremu gitarzyście akompaniowali biali muzycy. Cały jego brytyjski dwór był biały, publiczność również, bladoskórzy byli też dziennikarze angielskich gazet, którzy po śmierci Hendriksa nakreślili i na wieki wieków utrwalili mityczny obraz gitarzysty. Zresztą Amerykanie, również Afroamerykanie, nie pozostawali w tyle i szybko sami zaczęli budować mu ołtarze – jakby chcieli nadrobić stracony czas albo wręcz odbić Brytyjczykom swojego Hendriksa. Nie twierdzę, że Jimi nie zasłużył na te wszystkie honory, ale dysproporcja między marketingowym szumem wokół niego a zainteresowaniem postacią i twórczością takiego na przykład B.B. Kinga jest dla tego drugiego artysty zdecydowanie krzywdząca. Cóż, ale B.B. King nie dał z siebie zrobić maskotki dla znudzonych Anglików, nie wciągnął swojego talentu nosem i – to już zupełnie karygodne – w dobrym zdrowiu dożył starości. Ba, on ciągle żyje i gra! Co za nudy...



Po odejściu Hendriksa **chaos bezkrólewia** *wykorzystali biali chłopcy – i zawładnęli rockiem*

Dobry interes

Rzadko myślimy o Hendriksie, często o pomniku Hendriksa. Dobrze wytresowani przez media i speców od promocji z wytwórni płytowych powtarzamy z namaszczeniem, że Hendrix wielkim gitarzystą był – bo w istocie był – i z przyzwyczajenia uznajemy go za geniusza zrealizowanego, artystę w pełni uformowanego, skończonego. Ba, może nawet spełnionego... Nic jednak takiego podejścia nie usprawiedliwia. Jimi pożegnał się przecież ze światem, mając niespełna 28 lat i pstro w głowie. Interesował się głównie balangami i dziewczętami. Jego kariera nabierała rozpędu, ale wciąż jeszcze przecież kulała, szczególnie od strony finansowej.

FOT. INTERFOTO/FORUM, RUE DES ARCHIVES/FORUM



Barbarzyńcy w sypialni, czyli Hendrix z kolegami z zespołu w **Woburn Abbey,** *posiadłości Diuka Bedfordu*

Hendrix nie miał ani odpowiedniego doświadczenia, ani dystansu do siebie, a już szczególnie czasu i środków, by stworzyć dzieło życia. Dla porównania – gdyby w wieku 28 lat zmarł Miles Davis, nie poznalibyśmy „Bitches Brew" ani „Kind of Blue", ani nawet „Miles Ahead". Zapewne tylko nieliczni koneserzy odnotowaliby niespełnioną obietnicę „Birth of the Cool". Gdyby w takim samym wieku odszedł Michael Jackson, pamiętalibyśmy go tylko za znakomitego „Thrillera" – a przecież do dziś jeszcze nie ucichł lament, że 50-letni Michael zmarł przedwcześnie, że tyle jeszcze mógł zrobić, że na pewno nie powiedział ostatniego słowa.

Jimi Hendrix pozostawił po sobie właściwie tylko trzy płyty studyjne i jedną koncertową. Mało. Nic dziwnego, że w jego przypadku pokusa wynajdywania niepublikowanych nagrań i klecenia albumów, które „najprawdopodobniej by nagrał, gdyby zdążył", jest wielka. „Firmy nagraniowe wolą, gdy gwiazda umrze, niż się wypali. Podczas naturalnego zamierania kariery artysty wydanie albumu, który nie odnosi sukcesu, może tylko zaszkodzić starszym tytułom. Śmierć natomiast zwiększa sprzedaż i umożliwia pozbycie się starych, zalegających w magazynach płyt. Klienci w panice reagują na hasła typu »To jest wszystko, co zostało. Lepiej to kup«. Za życia Jimiego rynek zajmujący się rozprowadzaniem jego produktów był dobrze zorganizowany, a jego śmierć nie tylko go usprawniła, ale także spowodowała ukazanie się artykułów, których nie można było dostać, kiedy Jimi żył" – czytamy we wspomnieniowej książce „Czy jesteś doświadczony?" autorstwa Noela Reddinga, basisty Hendriksa. I rzeczywiście, większość prestiżowych nagród Jimi otrzymał pośmiertnie, a stosunek płyt, które ukazały się za życia gitarzysty, do tych „pogrobowych" wynosi, jak ktoś skrupulatnie wyliczył, mniej więcej 1:70.

Uznajemy go za artystę w pełni uformowanego. A przecież Jimi pożegnał się ze światem, mając niespełna 28 lat i pstro w głowie. Jego kariera dopiero nabierała rozpędu

Niektóre z tych wydawnictw warte są uwagi, inne nie, ale żadne na pewno nie odpowie nam na pytanie, jakim artystą byłby Hendrix, gdyby nie zadławił się wymiocinami 18 września 1970 roku. Z żadnego z nich, nawet najlepiej cyfrowo odkurzonego, nawet najpiękniej opakowanego, nie dowiemy się, jaka byłaby dziś muzyka rockowa. Kto wie, może „Purple Haze" i „Spanish Castle Magic" wywoływałyby na naszych twarzach uśmiech życzliwego politowania jako młodzieńcze wprawki instrumentalisty i kompozytora, który dopiero pod koniec lat 70. rozwinął skrzydła. Owszem, całkiem to zgrabne i sympatyczne, ale gdzie im tam do dzieł dojrzałego Hendriksa... Kto wie, czy mówiąc o czarnej muzyce, myślelibyśmy nie tyle o soulu i hip-hopie, ile przede wszystkim o mocnym gitarowym graniu, rocku i metalu. Może ABBA, Erasure i The Black Eyed Peas łoiliby rocka. Może nawet Grzegorz Skawiński nie ośmieliłby się reaktywować Kombi...

Pomnik

Słuchajmy muzyki Hendriksa, ale nie próbujmy na siłę beatyfikować jej autora, nie pchajmy go na cokoły. Jimi był prawdziwym rockandrollowcem i jedynym pomnikiem, na jaki wyraził zgodę, był gipsowy odlew jego członka wykonany przez słynną *groupie* Cynthię Plaster Caster. Ponoć i w tej dziedzinie był gigantem. □

Godzina z Hendriksem

Ten album dowodzi, że muzyka Jimiego wciąż żyje

W ODRÓŻNIENIU OD INNYCH wydanych po śmierci gitarzysty płyt ta jest w pełni autoryzowana przez Janie, przyrodnią siostrę Hendriksa zarządzającą prawami do jego dorobku. „Valleys of Neptune" inicjuje przy tym serię „The Jimi Hendrix Catalogue" – długo wyczekiwanych reedycji klasycznych albumów muzyka – która uświetni smutną rocznicę. Premierze wydawnictwa towarzyszy reklama informująca, że poznamy 12 niepublikowanych utworów mistrza. Zgodnie z prawdą należałoby raczej mówić o „12 utworach, z których część nie została dotychczas oficjalnie opublikowana, a pozostałe znamy z innych wykonań", ale kto by wtedy – poza zatwardziałymi hendriksofilami – wysupłał grosz na płytę? Owszem, okładka ma sporą wartość historyczną, bo stworzona została z kolażu akwareli namalowanej przez samego muzyka i zdjęcia, które pstryknęła Linda McCartney, jednak najważniejsza jest muzyka. Godzinny album oprócz alternatywnych podejść do słynnych kompozycji gitarzysty zawiera kilka coverów (w tym doskonałą wersję „Sunshine of Your Love" Cream) i utwory znane tylko wąskiemu gronu kolekcjonerów bootlegów, z których dowiecie się, że Hendrix jednak wyprzedzał swój czas. To właściwie truizm, ale wciąż warto go sobie przypominać. Psychodeliczne pejzaże malowane przez Jimiego za pomocą legendarnego fendera stratocastera do dzisiaj potrafią wprawić w stan osłupienia.



Jimi Hendrix „Valleys of Neptune", Sony

Mówi się, że geniusz artysty poznaje się po tym, jak z jego twórczością obszedł się czas. Muzykę Hendriksa obszedł bardzo szerokim łukiem. – *ład*

FOT. SONY, EMI, ANDRZEJ ŚWIETLIK/4EVER MUSIC

ROZMOWA

Ania filmom się kłania

„Kill Bill", „Nocny kowboj" czy serial „MASH" – to w filmach **Ania Dąbrowska** *znalazła piosenki na swoją czwartą płytę „Ania Movie". Przy tej okazji opowiedziała Mariuszowi Hermie...*

...o znudzeniu sobą

– Pomysł nagrania płyty z coverami chodził za mną od wydania „W spodniach czy w sukience?". Poczułam, że wyczerpałam pewną formułę komponowania, zapętliłam się. Sięgając po cudze utwory, chciałam zmienić moje postrzeganie muzyki. Potem zdałam sobie sprawę, że wiele moich ulubionych piosenek ma rodowód kinowy. A że estetyka filmowa jest mi niezwykle bliska, skręciłam w tę stronę.

...o kalaniu świętości

– „Strawberry Fields Forever" było największym wyzwaniem. Na szczęście smyki zaaranżował Adam Sztaba, którego ominęła beatlemania i nie miał poczucia, że kala jakąś świętość. Z kolei „Sound of Silence" Simona & Garfunkela z „Absolwenta" w oryginale ma bardzo zwartą konstrukcję, którą postanowiłam trochę poluzować. Najłatwiej poszło z „Give Me Your Love" z filmu „Super Fly", bo to gatunek mi najbliższy.

...o odrzuconych

– Początkowo miałam zupełnie inne typy na tę płytę. Myślałam o szlagierach z „Dirty Dancing" czy „Top Gun", bo mam do nich ogromny sentyment. Okazało się jednak, że nie chcę w nich nic zmieniać. Przez moment myślałam o piosence „Uciekaj moje serce" z serialu „Jan Serce", ale uznałam, że jest wyeksploatowana. Wolałam wybrać utwory, do których mogłam wnieść coś swojego.

...o powrocie do lustra

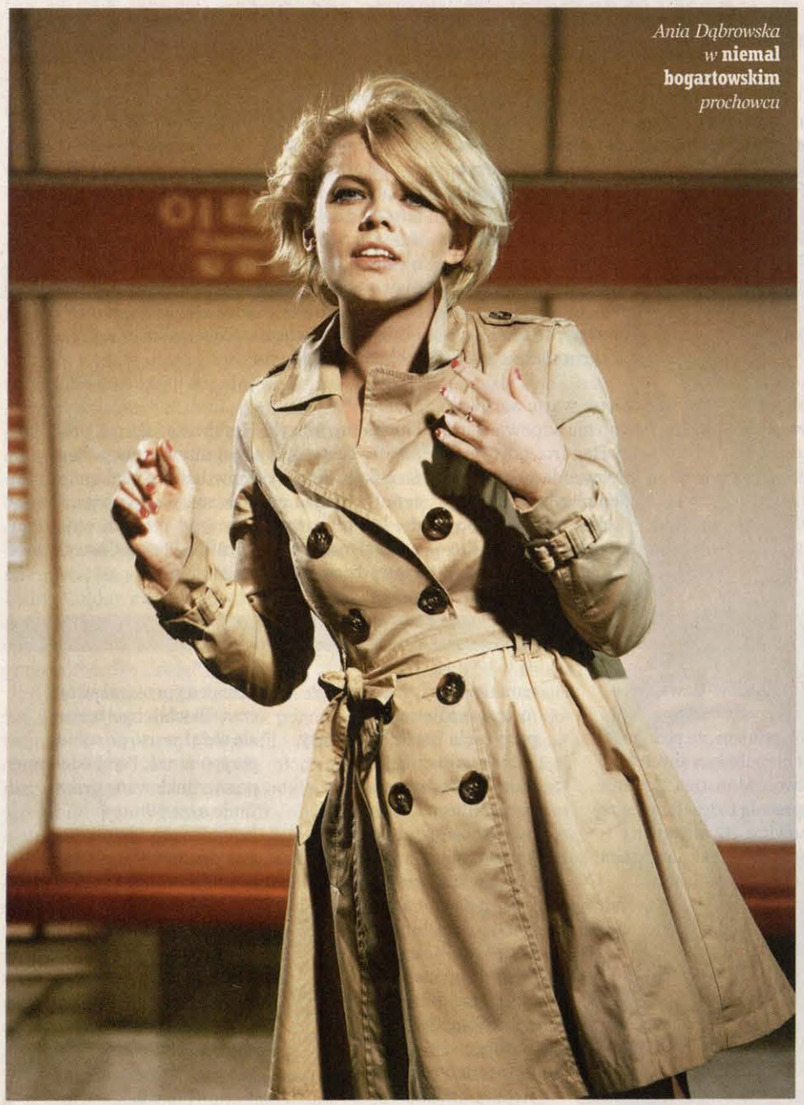
– W sferze wokalnej i produkcyjnej nagrywanie tej płyty było dla mnie wielką przyjemnością, swoistym powrotem do lat młodości, kiedy śpiewałam do lustra cudze piosenki. Przypomniałam sobie, co to znaczy być bardziej wokalistką niż autorką tekstów i kompozycji – były już słowa, były nuty, musiałam je tylko właściwie zinterpretować.

...o „Głębokim gardle"

– Kiedyś Józek [Paweł Jóźwicki, menedżer artystki – przyp. mh] przyniósł stertę soundtracków z filmów dla dorosłych. Wśród nich była muzyka z „Głębokiego gardła" z piękną piosenką „Deeper and Deeper". To, że pochodzi z takiego źródła, tylko dodaje jej kolorytu. Filmu nie widziałam, ale podobno aktorzy mieli za zadanie wczuwać się w tę muzykę, bo reżyser puszczał ją na planie filmowym.

...o pożegnaniu z retro

– Chcę zamknąć rozdział retro i znowu pobawić się muzyką. Nie lubię stać w miejscu i szybko się nudzę. Co dalej? Ostatnio zasłuchuję się w latach 90. Zaczęło się od płyty „Dangerous" Michaela Jacksona, dzięki której jako nastolatka w ogóle pokochałam muzykę. Potem przyszedł czas na dyskografię Whitney Houston. Nie mogę udawać, że nadal kocham lata 60., skoro ciągnie mnie w innym kierunku. □



Ania Dąbrowska w **niemal bogartowskim** *prochowcu*

+++

Przypomniała niezapomniane

Szkoda, że zabrakło odrobiny szaleństwa

PODOBNIE JAK AUTORSKIM PŁYTOM ANI Dąbrowskiej, tej również gracji i czaru odmówić nie sposób. Tu jednak wygładzone brzmienie i subtelna ekspresja wokalna Ani oznaczają zbytnią zachowawczość. W świecie coverów liczą się wszak tylko te, które każą nam zapomnieć o oryginalnych wykonaniach. A poza nielicznymi wyjątkami („Silent Sigh" z filmu „Był sobie chłopiec"), słuchając „Ania Movie", zechcecie raczej powrócić do autentyków. Rzecz można by usprawiedliwić chęcią przybliżenia publiczności utworów zagubionych, ale to przecież kolekcja tematów w większości niezapomnianych. – *mh*



Ania Dąbrowska „Ania Movie", *Sony Music Poland*



Goldfrapp, czyli wokalistka **Alison Goldfrapp** *(oraz nieobecny na zdjęciu Will Gregory) z sielskiej prowincji wrócili do dyskoteki*

+++ BARTEK WINCZEWSKI

Goldfrapp gubi cudzysłów

Dobrze, że brytyjski duet Goldfrapp znowu tańczy, ale mógłby zmienić płytę

Na ostatnim albumie „Seventh Tree" osiedli w inspirowanej folkiem i psychodelią lat 60. krainie łagodności. Szkoda, że długo tam nie zabawili. Okazało się, iż na skąpanej w wiosennym słońcu i osnutej marzycielską aurą angielskiej prowincji Goldfrapp tylko zbierali siły, by ponownie ruszyć na parkiety. Na „Head First" nie idą już więc śladami Kate Bush, ale stęsknieni za blaskiem lustrzanej kuli wracają do dyskoteki. Tym razem jednak zamiast zadziornie, intrygująco i z przymrużeniem oka brać, co najlepsze, ze złotej ery disco i glam, kłaniają się tandetnym latom 80. spod znaku „Flashdance", italo disco i... Van Halen. Owszem, jest tanecznie, euforycznie i przebojowo jak przed laty, lecz zapodział się gdzieś cudzysłów, w który Goldfrapp dotychczas brali swoje wycieczki retro. Kiedy pod koniec płyty odnajdują wreszcie właściwy kierunek, na zachwyty jest już za późno. □



Goldfrapp „Head First", *Mute*

+++

Eschatologia śpiewana

Ambicje jak stąd do wieczności, realizacja na pół gwizdka. Raz, Dwa, Trzy są za dobrzy, by tak nudzić



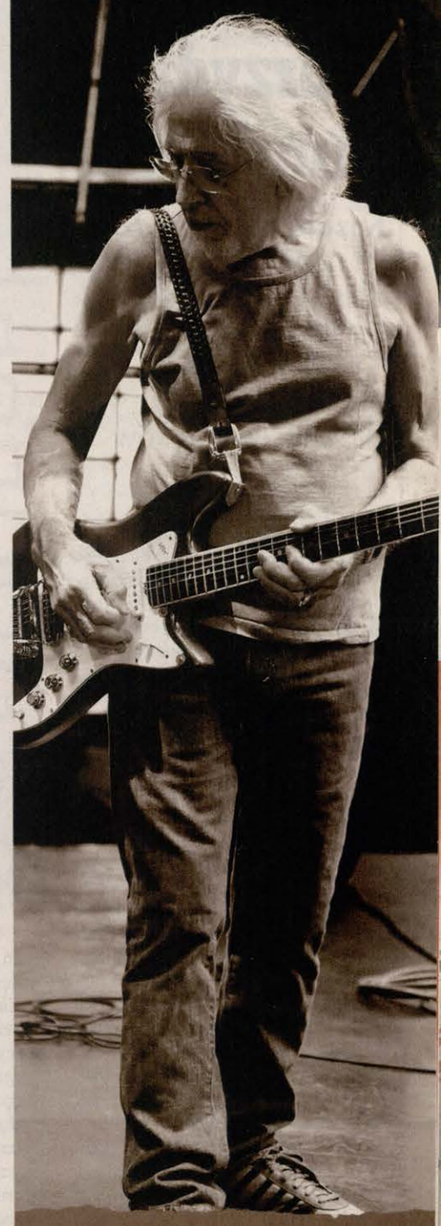
ROZUMIEM, ŻE BYLI JUŻ ZMĘczeni cyzelowaną przez lata formułą, ale szkoda, że nie zaproponowali w zamian niczego równie frapującego. Lekceważące machnięcie ręką na młodzieńczą zapalczywość to jeszcze nie dojrzałość. Rockową energię, która ten nierockowy skład często rozsadzała, zastąpił hipnotyzujący, minimalistyczny trans (co wyszło nieźle) lub plażowy puls reggae (czego zupełnie nie kupuję). Teksty świetnie łączące to, co ulotne, z tym, co brutalnie rzeczywiste, wyparły wydumane wiersze, których patronem jest, zdaje się, Jerzy Harasymowicz. Wiatry wieją, morza chlupią, ptaki spełniają swe ptasie zadania, Adam Nowak buja z nimi w obłokach i pod rękę się ze Stwórcą przechadza, ale nam, maluczkim, trudno to wszystko ogarnąć. Znakomite wyjątki – „Oto papieros w dłoni", a szczególnie „Upał roztapia granice miasta" będący wariacją na temat „Piosenki o końcu świata" Miłosza – tylko uświadamiają, jak dobrze być mogło. – *js*



Raz, Dwa, Trzy „SkądOkąd", *4ever Music*

REKLAMA

An evening with
JOHN MAYALL



18 czerwca 2010
Warszawa, Klub Stodoła
KUP NA LIVENATION.PL
Informacje o koncercie: 022 646 06 49

LIVE NATION · echo · INTERIA.PL · STODOŁA · Gitarzysta · PRZEKRÓJ

Piękni z brzydkich familoków

Kazimierz Kutz to od lat największy piewca Śląska. Teraz doczekał się następców – układających miejskie legendy śląskich dzieciaków

JAN STRZAŁKA



Ilustracja do opowiastki **Sławka Skiby i Radka Kopka** *z „Nowych legend miejskich. Śląsk"*

Józef Piłsudski powiadał, że Polska jest niczym obwarzanek, bo wszystko, co w niej najlepsze, znajduje się na obrzeżach. Kresy, a więc to, co bodaj najcenniejsze, straciliśmy dawno i na zawsze, ale Polska wciąż pozostaje wielkim obwarzankiem. Gdzie dziś jednak szukać tego, co w nim najlepsze? W Gdańsku? W Krasnogrudzie? We Wrocławiu?

A może na Górnym Śląsku, gdzieś pomiędzy Szopienicami a Roździeniem, w starych familokach i hinterhauzach, nieopodal ziejącej zabójczymi fetorami kopalni Mortimer i huty Utheman? Krajobraz wprawdzie tu i ówdzie przypomina Saharę po katastrofie atomowej, a ziemia od dawna jest bezpłodna, lecz Śląsk wciąż kryje w sobie nieprzebrane skarby. I nie o węglu, cynku i co tam jeszcze znajduje się na tablicy Mendelejewa mowa. Prawdziwym bogactwem tej ziemi są ludzie – pracowici, wierni swoim tradycjom, twardzi jak skała i czyści jak łza dziecka.

Znamy ich zresztą nie od dziś, głównie za sprawą filmów Kazimierza Kutza, który sam jest Ślązakiem. I to rogatym Ślązakiem, skoro przekroczywszy niedawno osiemdziesiątkę, chwycił za pióro i wydał powieść „Piąta strona świata". Ale nie obawiajmy się: Kutz na stare lata nie zwariował, czyli „nie odbiył mu dekel". Nie wierzmy też, że 80-letni debiutant „nie wiy, jak pisza się książka", o czym skromnie, kryjąc się za bohaterem i zarazem narratorem, powiadamia nas w pierwszym zdaniu tej barwnej powieści o losach kilku śląskich pokoleń. Wie to dobrze, lepiej, niż można by się spodziewać.

Kutz wnika w to, co jest istotą śląskości, dramatem ludzi przez stulecia żyjących na pograniczu żywiołu polskiego i niemieckiego, na styku kultury agrarnej i wielkoprzemysłowej, bezwzględnego kapitalizmu i komunistycznej urawniłowki. Opowiada – bogatym i soczystym językiem, zręcznie lawirując pomiędzy gwarą a literacką polszczyzną – o ludziach znanych mu od dziecka, których nieraz pewno spotykał w rodzinnych Szopienicach, ludziach zniewalanych, na przemian germanizowanych lub polonizowanych, nieludzko wyzyskiwanych przez zachłannych właścicieli hut i kopalń, gnanych na śmierć pod Verdun czy pod Stalingrad. Niekiedy nazywano ich – a zdarzało się to nawet „prawdziwym Polakom" – nacjonalistami lub dla odmiany niemieckimi burasami, nawet jeśli owe burasy walczyły w trzech powstaniach o powrót do Macierzy albo dezerterowały z Wehrmachtu, by służyć w armii Andersa. Niejeden z nich trafił po wojnie do polskiego obozu koncentracyjnego w Mysłowicach, Siemianowicach albo w Świętochłowicach. Powieść Kutza jest przesycona bolesną i gorzką historią. Jej autor przyrzekł wprawdzie „nie fanzolić za dużo o złym losie", ale nikomu nie obiecywał strzec się jak ognia tego, co go boli i co mu leży na sercu. I co powinno zawstydzać i boleć nas wszystkich. Bolały i zawstydzały nas jego filmy – od „Soli ziemi czarnej" poczynając, na „Śmierci jak kromka chleba" kończąc – i to samo czujemy przy lekturze tej powieści.

Ciul bez omasty

Ktokolwiek przeczyta „Piątą stronę świata" – piątą, a więc mało komu znaną, może nawet nieistniejącą – uwierzy, że Śląsk zasługuje na miano najlepszego, co dziś mamy w polskim obwarzanku. Wszystko bowiem, co się z nim kojarzy, pozwala, parafrazując słowa Kutza, podreperować umysł i serce, ocknąć się do życia i oczyścić sumienie z wszelakiego świństwa. Wszystko – a więc piękna gwara, kultura, etos pracy, hart ducha, humor. Moglibyśmy więc się radować smakiem śląskiego obwarzanka, gdyby nie to, że Kutz żegna się w tej powieści ze swoim krajem lat dziecinnych i młodości, bo świat ten nieuchronnie ginie na naszych oczach. A jeśli jego diagnoza jest słuszna, kto wie, czy nie czeka nas smutek równy temu, z jakim opłakujemy Kresy.



„Nowe legendy miejskie. Śląsk" *pod redakcją Joanny Pawluśkiewicz i Marzeny Popławskiej wydał Ha!art*

Ale Kresy ocalały w naszej zbiorowej pamięci. Pewną pociechą jest więc myśl – jeśli nie dziś, to z pewnością w przyszłości z rozrzewnieniem wspominać będziemy niekiedy grzesznych, niekiedy świętych, ale zawsze pięknych ludzi z brzydkich familoków, których Kutz sportretował serdecznie i z humorem. Takich jak Albin Lompa, górnik i powstaniec, który pewnego dnia, jedząc chleb „z marmeladą", stanął przed wielką zagadką: „skąd wszystko się wziyno". Albo Zygmunt Pniok, który podczas wojny wybrał się w misję partyjną do Rosji, żegnając się z bliskimi liścikiem: „Jada zwiedzać Kreml! Poczytajcie się, kaj to jest", a potem wszelki słuch o nim zaginął. Czy Frydek zwany Remizą, bo bulgotało mu w brzuchu jak w zajezdni tramwajowej, a po wojnie został zastępcą sekretarza KC, czyli „ciulem bez omasty". Czy też Filomena, która zarobkując w burdelu w Buenos Aires, zakochała się w Indianinie, po którym jej wnuk Jorg odziedziczył cygańską gębę i nos jak lujtkolba, czyli lutownica.

A jak można zapomnieć spragnionego wolności Wawrzka Basistę, zabójcę karcianego szulera i donoszącego na strajkujących żandarma? Jak nie podziwiać jego żony Halżbiyty za to, że sześciu swoich synów zapisała do towarzystwa gimnastycznego Sokół, nie podejrzewając, że tym samym szykuje ich do powstań śląskich? Wszyscy oni są postaciami epizodycznymi, ale kto wie, czy nie bardziej nawet fascynującymi niż główni bohaterowie. Lucjan i Alojz są uosobieniem tragicznego śląskiego przeznaczenia: „Ślązak od wieków – pisze Kutz – nikay niy jest u siebie i ma dwie drogi do wyboru: albo siedzieć cicho, albo szykować się na Ausflug". Ausflug oznacza emigrację, ale jest też metaforą śmierci.

Włosy falowane blondem

Smutna więc to powieść, ale przecież tam, gdzie coś umiera, zwykle rodzą się nowe mity, nowe marzenia i nadzieje. Z ciekawością więc, skończywszy „Piątą stronę świata", sięgnąłem po zupełnie inną książkę. Nosi ona tytuł „Nowe legendy miejskie. Śląsk". Joanna Paluśkiewicz, bo to ona jest *spiritus movens* projektu, wraz z kilkoma współpracownikami przed paroma laty rozpoczęła pracę z dziećmi z warszawskiej Pragi, potem z Nowej Huty, a ostatnio z Górnego Śląska, analizując z nimi stare baśnie i wymyślając nowe legendy o ich miastach i dzielnicach. Jest to projekt łączący literaturę z plastyką, filmem fabularnym i animowanym. Najciekawsze legendy stają się podstawą scenariusza filmu realizowanego wspólnie przez dorosłych i dzieci. A już dziś podziwiać możemy reprodukowane w „Nowych legendach miejskich" rysunki dziewięcioletnich artystów.

Dzieci jak to dzieci – ich wyobraźnia nie zna granic i nie lękają się w odróżnieniu od dorosłych nazywać rzeczy po imieniu albo pytać – idąc tropem Albina Lompy – skąd to się wszystko wzięło. Nic więc dziwnego, że dzięki ich fantazjom poznajemy świat inny niż ten, z którym jesteśmy zżyci. Uczniowie szkół podstawowych z Katowic, Rudy Śląskiej, Bytomia, ze Świętochłowic, z Chorzowa, Zabrza i Piekar Śląskich snują baśnie o zielonych śląskich lasach i barwnych ptakach, o duchach mieszkających w kopalniach i w blokach, o Marsjanach pragnących zwiedzić Śląsk i ich latającym spodku pozostawionym w centrum Katowic. Okazują się też bystrymi obserwatorami. Na przykład Dorota Kaszubska i Jakub Franiak w „Kwiecie życia" opowiadają, jak w ich rodzinnych Lipinach „ludzie zabijali się, wieszali się, dźgali się nożem" i o pani Kazi, która „szła się powiesić". Na szczęście znalazła piękny kwiat, gdy zaś go powąchała, „to się zarumieniła, a jej włosy z czarnych zrobiły się falowane blondem". Pani Kazia zaczęła więc rozsiewać wszędzie pyłki czarodziejskiego kwiatu i odtąd nikt już w Lipinach nie popełnił samobójstwa, a „ludzie czuli sens".

Na brawa zasługuje też Artur Przybysławski w „Nowych skarbach starych skarbników", opowiadając o dobrym duchu ze starej kopalni, który stracił pracę, ale zatrudnił się w banku i „może uda mu się obronić swoje miejsce pracy przed kryzysem". Artur jest także autorem wartego co najmniej Grand Press „Wywiadu z kryzysem":

„Dzień dobry, co słychać, panie Kryzysie?
K. Oj, nie nudzi mi się. Mam dużo pracy na świecie.

A. Na czym ona polega?
K. Robię krach na giełdzie, zamykam fabryki, zabieram ludziom pracę. Tnę zarobki i dźwigam ceny.

A. Skąd ma pan na to tyle siły?
K. Dobrze się odżywiam, pożeram oszczędności.

A. Słyszałem, że przyszedł pan z Ameryki.
K. Tak, to prawda, ale moim marzeniem jest zwiedzić cały świat.

A. Co z pańską rodziną?
K. Mój tata głód i mama nędza mają do mnie wkrótce dołączyć.

A. A czego pan się obawia najbardziej?
K. Słyszałem, że na Śląsku ludzie słyną z zaradności i pracowitości, a to najgorszy wróg...".

Takie to dziś legendy snują się po młodych śląskich głowach. Ciekawe, co o ich autorach pomyślałby Kazimierz Kutz? Czy nie przypomnieliby mu podrostków zapamiętanych z ubogiego, a jednak bogatego dzieciństwa? A jeśli tak, to znaczy, że Śląsk wciąż rodzi ludzi pięknych i czystych, którzy zawsze będą „czuli sens". □

RYS. HA!ART

REKLAMA

FUNDACJA IM. STEFANA BATOREGO

Są zdolne i chcą się uczyć. Ale niektóre mają naprawdę pod górkę. Pomóż im pokonać przeciwności losu!

Przekaż 1% podatku na program

Równe Szanse

Fundacji Batorego

Nr KRS | 0000 101194



www.batory.org.pl



Joanna Bator jest **pisarką i antropolożką kultury**. *Wkrótce ukaże się jej nowa powieść*

Reportażu nie robi się w gabinecie

Reporter to łowca – mówi **Joanna Bator**, jurorka Nagrody imienia Ryszarda Kapuścińskiego

MARCIN SENDECKI

Regulamin nagrody przewiduje, że mogą do niej kandydować „książki reporterskie", natomiast wśród 50 zgłoszonych do niej pozycji są na przykład klasyczne biografie. Co państwo będą właściwie nagradzać?

– Reportaż ewoluuje i zmieniają się sposoby jego definiowania. Myślę więc, że jednym z zadań jury będzie doprecyzowanie reguł konkursu i określenie, czym jest reportaż literacki. W moim pojęciu praca reportera ma wiele wspólnego z pracą antropologa kultury. Podstawą jest naoczność doświadczenia – reportaż nie jest dziedziną gabinetową. Jak mawiał Bronisław Malinowski, skądinąd mistrz Kapuścińskiego, badacz kultury to „aktywny łowca". Jedzie w teren i wszystkimi zmysłami uczestniczy w rzeczywistości.

A jak oceniać zapis takich łowów?

– Dla mnie istotna jest waga opisywanych wydarzeń, kulturowa lub polityczna. Dobry reportaż daje szansę na wzniecenie publicznej debaty i poszerzenie społecznej wiedzy. Pokazuje nam coś nowego lub ukazuje rzeczy znane z odkrywczej perspektywy. Po drugie, biorę pod uwagę stosunek autora do świata, który opisuje. Reporter musi zdawać sobie sprawę, że absolutna obiektywność jest mitem, że pisząc, w istocie stwarzamy obrazy świata. Konieczna jest więc samoświadomość, stałe tropienie własnych ograniczeń poznawczych, stereotypów, nawyków myślowych.

Po trzecie, liczą się oczywiście literackie walory reportażu. Obraz świata stworzony przez reportera musi angażować odbiorcę. Zachwycać, wstrząsać. „Stylem dokonujemy naszych podbojów" – pisał Kapuściński.

Do nagrody kandydują książki polskie i przekłady. Widzi pani jakieś zasadnicze różnice między nimi? Czy naprawdę istnieje „polska szkoła reportażu"?

– Myślę, że reportaż literacki to zjawisko uniwersalne. Widzę więc raczej podobieństwa. Dostrzegam natomiast wyraźnie gigantyczny wpływ Ryszarda Kapuścińskiego na reportaż światowy. Nie da się dziś pisać na przykład o Afryce bez jego książek, bez dyskusji z nimi. Może należałoby mówić nawet o międzynarodowej szkole reportażu wyrosłej z pisarstwa Kapuścińskiego.

Nagroda imienia Ryszarda Kapuścińskiego, chcąc nie chcąc, wpisuje się w batalię wokół jego biografii, którą napisał Artur Domosławski. Czytała ją pani?

– W związku z tegoroczną edycją konkursu ta książka mnie nie interesuje. Jeśli zaś w przyszłym roku także będę uczestniczyć w jury, a książka Domosławskiego zostanie do nagrody zgłoszona, przeczytam ją z nową uwagą. Mam jednak nadzieję, że tak się nie stanie, bo chciałabym, by w przyszłym roku kryteria konkursu były już precyzyjniej sformułowane, co wykluczałoby z niego właśnie biografie.

A jeżeli całe jury nie zgodzi się na takie określenie kryteriów i „Kapuściński non-fiction" będzie jednak kandydować do nagrody?

– Za wcześnie o tym mówić.

Ale ma pani chyba jakąś opinię o pracy Domosławskiego?

– Ujmę to następująco: nie zdarzyło się nic, co zmieniłoby moją opinię o książkach Ryszarda Kapuścińskiego.

Jaki reportaż chciałaby pani sama dziś przeczytać? Czy czegoś pani zabrakło wśród tegorocznych książek kandydujących do nagrody?

– Po lekturze kolejnej książki o wojnie, ludobójstwie, o ciemnej stronie człowieka i zapijaniu się na śmierć bardzo chciałabym przeczytać o tym, że komuś coś się udało, stworzył coś pięknego, zaczął coś zmieniać na lepsze. Wiem, że lepiej się pisze o rzeczach strasznych i być może jest ich po prostu więcej w naszym świecie, ale brakuje mi odrobiny światła. □

Warszawa Kapuścińskiemu

NAGRODĘ IMIENIA RYSZARDA Kapuścińskiego ufundowały władze Warszawy, a honorowy patronat nad wyróżnieniem objęła żona reportera Alicja Kapuścińska. W konkursie biorą udział książki wydane w zeszłym roku – zarówno polskie, jak i przełożone z obcych języków. Zwycięzca otrzyma 50 tysięcy złotych. W przypadku nagrodzenia przekładu dodatkowe 15 tysięcy złotych powędruje do tłumacza. Jury nagrody (tegoroczne, bo grono jurorów ma się stopniowo zmieniać) stanowią Małgorzata Szejnert (przewodnicząca), Joanna Bator, Iwona Smolka, Anders Bodegård i Maciej Drygas. 31 marca jurorzy wybiorą 10 najlepszych książek spośród kandydujących do nagrody (długa lista), pod koniec kwietnia zaś nominują pięć z nich do finału. Laureata lub laureatkę pierwszej edycji poznamy w połowie maja. „Przekrój" objął patronat nad konkursem. – *ms*

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI/AG, MAREK SZCZEPAŃSKI

PO STRONACH MARCIN SENDECKI

Rozjaśnianie mroków

Zalecane lektury przed-, śród- i poświąteczne

Warto się na Wielkanoc oddać w opiekę książkom wielorazowego użytku. Szczęśliwie sporo się ich w ostatnich miesiącach ukazało i jest w czym wybierać. Na początek wiekopomne dzieło sprzed lat, które trafiło wreszcie do polszczyzny. „Saturn i melancholia" imponuje rozległością ujęcia tematu, a podtytuł „Studia z historii, filozofii, przyrody, medycyny, religii oraz sztuki" dobrze rzecz oddaje. Można tę anatomię melancholii czytać na wyrywki – zaczynając na przykład od części poświęconej drobiazgowemu rozbiorowi sławnego miedziorytu Albrechta Dürera „Melencolia I", popadając w coraz większy entuzjazm i wdzięczność dla rozjaśniających jego mroki badaczy.

Druga z ksiąg budzi raczej zgrozę, ale sięgnąć po nią bezwzględnie warto. „Światło wiedzy zdeprawowanej" to doktorat socjologa Stanisława Tyrowicza (z 1968 roku, szerzej dostępny dopiero dzięki obecnemu wydaniu) traktujący o „ideach niemieckiej socjologii i filozofii (1933–1945)". Tyrowicz rzeczowo przedstawia w nim stopniową hitleryzację oficjalnej nauki. Styl jego tekstu jest dysertacyjny, więc niezbyt może porywający, lecz cytaty z wyznających narodowosocjalistyczną wiarę szacownych profesorów na długo zapadają w pamięć.

Nieco rozrywki może natomiast przynieść ostatni numer wydawanego przez fundację Bęc Zmiana kwartalnika „Format P" będący antologią manifestów rozmaitego rodzaju. Mamy tu i architektów futurystów, i DOGMĘ, i anarchofeministki, i tak dalej. Raz jest ciekawie, raz nie (jak kiedyś powiedział John Cage po koncercie młodych kalifornijskich zespołów rockowych), ale każdy znajdzie coś dla siebie. Dziwne tylko, że redaktorzy zbioru przypominają takie głupoty jak „Manifest protodupistyczny" autorstwa panów Jasia Kapeli i Kuby Głuszaka, a zdają się nie wiedzieć na przykład o istnieniu ożywczego i ważnego na początku lat 90. „Caratu mentalnego" osławionego totartowca Zbigniewa Sajnóga. Niedoróbka.

A na koniec książka wzruszająca. Pięknie opracowany przez Barbarę Toruńczyk tom korespondencji Oli Watowej i Czesława Miłosza przynosi nie tylko ich listy, ale także małą antologię wierszy Aleksandra Wata, plik fotografii, wyczerpujące przypisy oraz między innymi „List ostatni" zmarłego w 1967 roku poety. Jednak „Listy..." to nie tylko przypomnienie przyjaźni sprzed lat. Dotycząc w wielkiej mierze starań o upowszechnienie poezji Wata, stanowią intrygujące źródło wiedzy o tym, jak działa instytucja zwana historią literatury. □



Raymond Klibansky, Erwin Panofsky, Fritz Saxl „Saturn i melancholia", *przeł. Anna Kryczyńska, Universitas, Kraków 2009, s. 484, 85 zł*

Czesław Miłosz/Ola Watowa „Listy o tym, co najważniejsze", *Zeszyty Literackie, Warszawa 2009, s. 260, 30 zł*

„Format P. Nr 3. Manifesty", *Bęc Zmiana, Warszawa 2009, s. 336, 15 zł*

Stanisław Tyrowicz „Światło wiedzy zdeprawowanej", *Universitas, Kraków 2009, s. 254, 29 zł*

REKLAMA

Teatr Polski w Poznaniu
BLISCY NIEZNAJOMI
Europejskie Spotkania Teatralne
8-11 kwietnia 2010 www.bliscynieznajomi.pl
CLOSE STRANGERS
European Theatre Encounters



BARTOSZ ŻURAWIECKI

Śmiechem w oszołomów

Woody Allen, choć nie jest młodzikiem, wciąż nas kręci



Melody (po lewej) przed zaborczą matką (po prawej) **uciekła do Nowego Jorku.** *Bezskutecznie*

Woody Allen rzadko ostatnio obsadza samego siebie w swoich filmach, co oznacza, że wziął sobie do serca narzekania krytyków nieco już znudzonych (a niekiedy i zniesmaczonych) widokiem starego neurotyka, którego kręcą coraz młodsze kobiety. W najnowszej produkcji rolę idealnie wpisującą się w ten wizerunek reżyser powierzył amerykańskiemu komikowi telewizyjnemu Larry'emu Davidowi. Grany przez niego Boris Yellnikoff to mizantrop, pesymista i zgred. Zanudza wszystkich (w tym i widownię, gdyż zwraca się kilkakrotnie bezpośrednio do kamery) wykładami o tym, jak to nic nie ma sensu. Kiedyś prawie dostał Nagrodę Nobla z fizyki, dzisiaj zabija czas grą w szachy. Ma też na swoim koncie próby samobójcze. Nieudane oczywiście. Jak wszystko w jego życiu.

Życie to jednak się zmieni, gdy pewnej nocy Boris znajdzie na progu swojego domu Melody St. Ann Celestine (Evan Rachel Wood). Dziewczyna uciekła do Nowego Jorku z Missisipi od dotkniętej religijnym fanatyzmem rodzinki. Nasz tetryk będzie próbował pozbyć się intruza, ale Melody nie da się spławić. Toteż – od łyczka do rzemyczka – Boris stanie się najpierw mentorem niezbyt rozgarniętej i słabo wyedukowanej nastolatki, a potem także... jej kochankiem i mężem. Sytuacja jednak się skomplikuje, gdy do miasta śladem córki przybędą rodzice dziewczyny (Patricia Clarkson i Ed Begley Jr.), którzy w swobodnej atmosferze Nowego Jorku dopuszczą do głosu swoją prawdziwą naturę.

Nowy film Allena nie jest więc wyłącznie kolejną opowieścią o przypadkach zgorzkniałego intelektualisty, ale komediowym wariantem wojen kulturowych, które wstrząsają (nie tylko) Stanami Zjednoczonymi. Po jednej stronie barykady mamy ciemnogród religijny, po drugiej – ludzi o liberalnych poglądach i obyczajach. Nie muszę chyba mówić, po której stronie stoi Allen. Ani też, że celnie strzela w oszołomów.

Owszem, można – wzorem Borisa – marudzić, że to już nie to, że ostatnie filmy Woody'ego są właściwie serią rozbudowanych skeczy, że scenariusz mógłby być bardziej dopracowany, podobnie oświetlenie, inscenizacja i praca kamery. Cóż jednak z tego, skoro Allen wciąż nas kręci, podnieca, bawi... I w dodatku pozwala poczuć się częścią ideowej wspólnoty.

Jedyne, co mnie w tym wszystkim martwi, to polski tytuł, który pokazuje, jak ociężały jest nasz język w porównaniu z ekonomiczną zwięzłością angielskiego. Oryginalnym *whatever works* bohaterowie kwitują sytuacje, które dają im radość i zadowolenie. A w Polsce nawet ojczysta mowa nie pozwala cieszyć się z życia. □

„Co nas kręci, co nas podnieca", reż. Woody Allen, *USA/Francja 2009, Kino Świat, 93', premiera 9 kwietnia*

Siedź i patrz

NA BAJKĘ

Siła ignorancji

Japoński mistrz animacji na starość znów myśli o dzieciach

HAYAO MIYAZAKI JEST trochę jak Luc Besson. Zarówno Japończyk, jak i Francuz od lat marzyli o nakręceniu filmu dziecięcego – to jest widzianego oczyma dziecka, nie mylić z dziecinnym. Obaj z realizacją tych planów czekali, aż siwizna na brodach rozwieje wątpliwości co do ich dorosłości. Tyle że gdy dla Bessona „Artur i Minimki" były wyprawą w nieznane, „Ponyo" jest dla Miyazakiego powrotem do początków kariery. Przyjaźń pięciolatka ze złotą rybką, którą pierwsze zakochanie popycha do buntu przeciw podwodnemu ojcu i podjęcia próby uczłowieczenia, to wciąż ta sama opowieść 69-letniego już reżysera o dziecięcej ignorancji pozwalającej dwa odseparowane światy scalić w jeden. Swoim uporem i zaraźliwymi wybuchami radości tytułowa Ponyo przypomina nawet Mei z filmu „Mój sąsiad Totoro" (1988). I tak jak wcześniej Miyazaki szybko wybija nam z głowy pytanie, co się dzieje naprawdę, a co jest tylko (aż!) fantazją dziecka.



DVD „Ponyo", reż. Hayao Miyazaki, *Japonia 2008, Studio Ghibli/ Monolith, premiera 17 marca*

„Ponyo" to animacja, która świetnie radzi sobie bez wielkiego ekranu. Zamiast więc marudzić, że film ukazuje się na DVD z pominięciem kin, skorzystajcie z okazji i zaproście na seans gromadkę kilkulatków. Koniecznie wraz z rodzicami. *– mh*



MISTRZOSTWO NA PIĄTKĘ WARTO MOŻE BYĆ ŚLĄSKI DNO więcej recenzji na film.przekroj.pl

Sama pośród hord

Czy można połączyć komercję z głęboką myślą krytyczną? Czy można zrobić film nachalnie piękny i nachalnie mądry zarazem? Oto głos w dyskusji o kontrowersyjnej „Agorze", którą można oglądać w kinach

OKIEM FEMINISTKI KAZIMIERA SZCZUKA*



Krytyczka literatury, feministka. Wykłada Gender Studies na UW, pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN, współpracuje z Uniwersytetem „Krytyki Politycznej". Członkini Porozumienia Kobiet 8 Marca. Prowadzi audycję w Radiu Roxy

„AGORA", ALEJANDRA AMENÁBARA, to film niepodobny do jego poprzednich dokonań. Z drugiej strony jakie podobieństwo łączyło „Innych", stylizowany gotycki horror, z psychologicznym dramatem o eutanazji „W stronę morza"?

Bohaterką burzliwej historii przejmowania przez chrześcijan władzy nad światem rzymskiego cesarstwa jest w filmie Amenábara kobieta (zjawiskowa Rachel Weisz). Żyjąca na przełomie IV i V wieku w Aleksandrii córka matematyka Teona Aleksandryjskiego przeszła do historii jako Hypatia, na poły legendarna uczona kobieta mająca wpływ na sprawy publiczne i żyjąca w cnocie. Historycy nie wątpią, że Hypatia istniała, że zajmowała się nauczaniem matematyki i filozofii, że cieszyła się czcią, nie przyjęła chrztu i że... została bestialsko zamordowana przez chrześcijan.

Inspiratorem mordu był ówczesny biskup Aleksandrii Cyryl. Ogłoszony świętym, przeszedł do historii jako jeden z ojców Kościoła, podczas gdy Hypatia została zapomniana. Jej imię we współczesnej humanistyce i matematyce sygnuje świadomość utraty, jaką spowodowało trwające przez długie stulecia wykluczenie kobiet z nauki, kultury i całej sfery publicznej. Jest ikoną feministycznej filozofii, skoro jej imię noszą co najmniej dwa fachowe akademickie periodyki, ale sama, jak wynika z filmu, wyznając neoplatonizm, uznawała fakt bycia kobietą za nieszczęście i skazę.

W „Agorze" Hypatia to astronomka pośród hord wyrzynających się mężczyzn skupiona na zgłębianiu niebezpiecznej wiedzy. Jako filozofka i samozwańcza (jest kobietą!) obywatelka bezskutecznie usiłuje zaprowadzić w niespokojnym mieście ład i tolerancję, które wywodzi z doskonałości rozumu przeciwstawianego zwierzęcej naturze.

Efektowne kostiumowe widowisko jest więc jednocześnie filmem krytycznohistorycznym, politycznie zaangażowanym i jawnie nawiązującym do feministycznych strategii rewidujących uniwersalistyczny kanon kultury. Czy można jednak połączyć komercję, choćby najbardziej wysmakowaną, z głęboką myślą krytyczną? Czy można zrobić film nachalnie piękny i nachalnie mądry zarazem? Najwyraźniej tak. „Co do mnie, dostałam od tego filmu to, czego chciałam – namiętności, aurę, koloryt świata, który właśnie zmienił swoją duszę" – pisze Bożena Keff w portalu Ha!art. Co do mnie także.

„Agora" zyskała przychylność starożytników, przede wszystkim za drobiazgową rekonstrukcję Biblioteki Aleksandryjskiej. Warto tu przypomnieć, że podstawowa monografia „Hypatia z Aleksandrii" powstała w Polsce, stworzona przez profesor Marię Dzielską. Czytelnicy tej pracy mogą potwierdzić historyczną pieczołowitość twórców „Agory". Nie zmienia to faktu, że wielu badaczy antyku razić może wyraziste, symboliczne uprzywilejowanie głównej bohaterki, a zarazem jednoznaczne opowiedzenie się twórców po stronie pogaństwa, przeciwko chrześcijaństwu. O samych zaangażowanych współczesnych chrześcijanach nie wspominam, bo ukazanie ich praszczurów jako islamskich fanatyków, ale i manipulowanej biedoty plądrującej największe zabytki cywilizacji... to obraz w istocie niepiękny. Z kolei niektórym feministkom spodziewającym się politycznej ekstazy nie w smak może być idea „wielkiej kobiety" osamotnionej wśród mężczyzn, gardzącej własnym ciałem i poświęconej nauce niczym zakonnica.

Uwodzicielska komercyjna uroda filmu zdaje się momentami nie mieścić tych wszystkich dylematów, podobnie jak sama postać Hypatii zdaje nam się zbyt młoda i piękna, niczym fetysz postpatriarchalnego poczucia winy. A jednak zachwyca ta wysmakowana kobieca alegoria racjonalności, harmonii i wątpiącego intelektu.

Podobnie jak Matka Boska, która jako bezkrwisty symbol macierzyństwa nosi na sobie ślady historycznego powinowactwa z pogańskimi bóstwami żeńskimi, z Wielką Boginią, tak samo Hypatia, symbolicznie okaleczona, pozbawiona seksualności, wciąż naznaczona jest niezwykłą aurą Bogini Rozumu. Stojąca wobec rozgwieżdżonego nieboskłonu, otoczona księgami i geometrycznymi przyrządami staje się Hypatia Weisz ujmującą figurą współczesnej wyobraźni ustanowioną na przekór męskim głowom zdobiącym wszelkie naukowe panteony świata. Kiedy niepiśmienni mnisi przeklinają ją jako czarownicę i rozpustnicę, mamy wrażenie, że oto dokonuje się długo przygotowywany przez starożytnych i zadekretowany przez Pawła rytualny mord założycielski patriarchatu, który dopiero zapowiada ponure czasy, jakie potem nadeszły. To robi wrażenie. □

FOT. EVERETT/EAST NEWS, MONOLITH; RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA VIPHOTO/EAST NEWS

REKLAMA

Film z cyklu
Wiesz co dobre



PRZERWANA LEKCJA MUZYKI

wtorek 6 kwietnia **20:20** TVP1

„Wygląda pani normalnie" – stwierdza ze zdziwieniem taksówkarz odwożący Susannę Kaysen do szpitala psychiatrycznego, do którego dziewczyna trafia po nieudanej próbie samobójczej. Korytarze szpitala niejednokrotnie wypełni pytanie o to, czym jest szaleństwo, a czym norma, gdyż niepewność co do tego, gdzie przebiega cienka granica, staje się jednym z przewodnich motywów filmu wyreżyserowanego przez Jamesa Mangolda („Spacer po linie"). Czy szaleństwem jest smutek i nadwrażliwość? Mamy lata 60., może więc to cały świat stanął na głowie? W ekranizacji bestsellerowej autobiografii Susanny Kaysen na te pytania nie znajdziemy jednoznacznych odpowiedzi. Bez wątpienia jednak znajdziemy tu za to świetne kreacje kobiece: Winony Ryder (Susanna), Angeliny Jolie (za rolę socjopatki Lisy została nagrodzona Oscarem)-oraz Whoopi Goldberg.

A JUŻ 13 KWIETNIA

za sprawą reżysera Stevena Zailliana („Wszyscy ludzie króla") i jego filmu „Adwokat" przeniesiecie się na ławę sądową. Tu wzięty tytułowy adwokat (John Travolta) będzie walczył z dużo groźniejszymi szaleńcami – korporacjami zatruwającymi środowisko.

Wiesz co dobre

Program **Wiesz co dobre** to system rekomendacji Škody. W telewizjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...

ROZMOWA

Żyję w cudzym szaleństwie

Isabelle Huppert, słynna francuska aktorka, gwiazda „Un Tramway. Creation”* Krzysztofa Warlikowskiego, opowiada Łukaszowi Drewniakowi o sobie, filmie i teatrze



Wielka gwiazda **Isabelle Huppert** *ciągle świeci*

Chyba nie tylko ja głowię się, jak określić pani status w europejskiej kinematografii i teatrze. Będąc „gwiazdą”, jest pani równocześnie „aktorką do zadań specjalnych”. Czy taka pozycja narzuca artyście jakieś szczególne zobowiązania? Na przykład przymus angażowania się tylko w ambitne projekty, konieczność funkcjonowania jako wzór intelektualistki kina i teatru?

– Aktorstwo oznacza przecież pewien styl życia i przeżycia. Latami zdobywa się umiejętność zachowywania równowagi między tym, co ci oferuje, a tym, czego nie zapewnia. Moim jedynym „obowiązkiem” jest grać dobre role u wybitnych reżyserów. Odpowiadanie na ich propozycje, mierzenie się z wyzwaniami, jakie stawiają przede mną. To cały sens mojego zawodu. Nie do mnie należy kształtowanie repertuaru teatru czy pomaganie młodym w pisaniu scenariuszy. Nie muszę służyć za wzór moralny. Wysyłam reżyserom sygnał – już jestem gotowa. I oni przychodzą na spotkanie z moją gotowością. Robimy coś, co obojgu daje satysfakcję.

Jak unikać kompromisów w sztuce?

– Każdy musi sam odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jeśli idziesz na kompromis, to najwyraźniej nie jesteś pewien swego. Lawirujesz, szukasz. Jeśli wiesz, którędy iść, żadna przeszkoda nie sprowadzi cię z drogi. Myślę, że dla kogoś takiego jak ja wciąż istnieje duży obszar wolności między Hollywood a bulwarem. Na przykład Krzysztofowi Warlikowskiemu udaje się unikać kompromisów. Nie czuję, żeby kiedykolwiek oszukiwał ludzi i siebie na temat swojej niezależności. To też kwestia skali. Można iść na ustępstwa w sprawie przyspieszenia prac nad jakimś projektem, ale nie ma zgody, żeby zrobić coś gorszego zamiast lepszego.

* Premiera paryska odbyła się 4 lutego, warszawska została zaplanowana na **11 kwietnia w Teatrze Polskim**

Kilka filmów z pani udziałem zawierało bardzo odważne sceny – fizycznie, psychicznie, seksualnie. Czy wierzy pani, że istnieje jeszcze jakieś tabu w kinie i teatrze?

– Dopóki fizyczna integralność aktora pozostanie nienaruszona, nie ma powodu do żadnych ograniczeń. Przecież gwałt na scenie nigdy nie będzie prawdziwy, zadanie śmierci jest niemożliwe. I choć czasem czujemy, że nie ma powodu iść aż tak daleko, trzeba zaakceptować, iż artyści realizują poprzez sztukę swoje najdziwniejsze fantazje, a nie tylko pokazują to, jacy są na co dzień. Mam zasadę: rób to, czego pragniesz, tylko nie krzywdź tym innych.

W „Tramwaju” Warlikowskiego pani aktorstwo zostaje zderzone z wykonywaną na żywo muzyką i kamerami transmitującymi na ekrany obraz pani twarzy. Zresztą nie tylko Warlikowski stosuje ekranowe zbliżenia. Jak się z tym gra? To pomaga czy przeszkadza aktorowi?

– To na pewno nowy rodzaj partnera na scenie. Można mówić, że ekrany mnie szpiegują, wyłuskują niechciane detale. Naprawdę jednak one są ważne tylko dla pana jako widza, nie dla mnie. Nie zawsze jestem świadoma ich obecności. Nie znam obrazów za moimi plecami, panuje nad nimi reżyser. Ja mam po prostu komfort, że nic nie zostanie przegapione, że sprawują nade mną rodzaj totalnej kontroli. Nie boję się ich, bo wiem, że funkcjonują w przedstawieniu organicznie, ubezpieczają mnie w trudnych chwilach. Poza tym przekazują publiczności całość wizji spektaklu. Ja jestem odpowiedzialna tylko za pewną jej część. Co ważne, wcale mnie nie zmuszają do mieszania technik gry filmowej z teatralną. Nie muszę przestawiać się, grać mniej intensywnie, bo akurat patrzy na mnie kamera. Wystarczy wyobrażenie, że wtedy pan jako widz jakby podchodzi bliżej.

Praca z Warlikowskim była dla pani zaskoczeniem?

– Dla niego improwizacja jest ważniejsza niż analizy roli. Raczej czeka na to, co się zdarzy podczas prób. Bardzo lubię tak pracować. Każda taka wariacja oświetla postać z nowej strony. Podczas prób badamy wszystkie możliwości roli: psychiczne, fizyczne, emocjonalne. I wybieramy to, co najbardziej wiarygodne, co lepsze, prawdziwsze w danej sytuacji dla bohatera. Warlikowski stara się ofiarować aktorowi stan wewnętrznej wolności. Trzeba jej szukać między ograniczeniami, tylko wtedy osiągnie się ten wyjątkowy punkt kreacji.

Czy podczas prób aktor powinien mieć komfort bezpieczeństwa? Poczucie, że jest w dobrych rękach? Czy odwrotnie – woli wystawiać się na rany?

– Nie lubię czuć się bezpiecznie. Ale w ogóle scena to nie jest przestrzeń, w której mamy czuć się pewnie i bezpiecznie. Próby mają przygotować aktora na doświadczenie spektaklu. Jeśli później ma boleć, musi też na próbach. Zresztą w teatrze nikt nie jest w stanie mnie zranić. A Warlikowski jest bardzo delikatny, dyskretny. Idzie daleko, ale nigdy agresywnie. Dobrzy reżyserzy mają intuicję, wiedzą, kim jesteś, czytają cię na wskroś. Nie muszą znać detali z mojego dzieciństwa, jakichś zawirowań życiowych. Jestem instrumentem, na którym się gra. Reżyser tylko sprawdza, jak w mojej roli będę na przykład kogoś kochać, patrzy, jak to zrobię.

Żaden reżyser nigdy pani nie zranił? Nawet Michael Haneke w „Pianistce”? Nie bała się pani, że pokazała za dużo? Weszła w siebie za głęboko?

– Nie miałam i nie mam takich obaw. Nie ma żadnych granic aktorskiej otwartości. Przecież wszyscy wiemy, że to jest gra. Ani film, ani teatr nie są realnością, bawimy się w nią. Owszem, idziemy daleko, ale wiemy, że to jest odwracalne.

Podziwiając pani Blanche w „Tramwaju”, miałem wrażenie, że traktuje pani swoje ciało jak ruchomą rzeźbę – w każdej scenie wyłania się z niej inny kształt. Stosowała pani kiedykolwiek jakąś formę aktorskiego treningu?



Blanche **(Isabelle Huppert)** *w dwuznacznym tańcu z Mitchem* **(Yann Collette)** *w „Tramwaju” Warlikowskiego*

– Nigdy. Może powinnam, ale nie zetknęłam się w życiu z tą linią myślenia o aktorstwie, które wychodzi od ćwiczeń. Ja z natury jestem mała, elastyczna, poręczna.

Blanche potrafi używać swojego ciała jak straszliwej broni. Może wcale nie jest ofiarą tego świata, lecz jego opresorką?

– Na pewno nie jest tylko ofiarą. W pewnych sytuacjach jest normalna, w innych szalona. Jej dobra energia spotyka się ze złą. Ma niszczące poczucie humoru. Demony i anioły są z nią w każdej chwili. Mówi się, że stworzyłam pewien model neurotycznej kobiecości. Sama nie wiem, co jest bardziej znaczące dla kobiet, które gram. Przecież spotyka je różny los, nie tylko destrukcja. W pierwszej scenie „Tramwaju” ciało Blanche buntuje się przeciwko niej. Bo jest chora. Ciało zawsze coś wyraża. Dewastuje i bywa dewastowane.

Powiedziała pani kiedyś, że lubi obserwować ludzi. Czy te szalone, rozstrojone kobiety, które pani grywa, są z życia wzięte, czy wyciąga je pani z siebie jak ze studni bez dna?

– Stosuję obie taktyki. W filmie Claude'a Chabrola „Violette Nozière” zagrałam młodą kobietę, która naprawdę zamordowała swoich rodziców. Jeśli jednak filtruję te postacie przez swoją osobowość, to staram się, by ludzie mogli rozpoznawać się nawet w ich nienormalności. Nigdy nie jest tak, że po jednej stronie są sami wariaci, a ci normalni po drugiej. Jesteśmy mieszaniną szaleństwa i rozsądku, więc i w sztuce nie róbmy między nimi granic. Wszystkie metody kreacji są dobre, o ile są skuteczne.

Nie boi się pani, że po tych trudnych rolach zawsze zostaje coś w głowie? Ten gest to nie ja, to jeszcze postać?

– Mam wrażenie, że negatywne aspekty ról raczej nie przechodzą do zwyczajnego życia, ale te pozytywne tak. To dzięki nim właśnie często zadaje się pytanie: kim jestem?

Wielu krytyków napisało po premierze „Tramwaju”, że ten spektakl to pani popis. To chyba komplement. Bo jaki jest cel aktorskiego popisu? Udowodnić potęgę teatru.

– W teatrze prowadzi się jednych ludzi przed oblicze innych ludzi. Aktor dociera tak daleko, jak tylko chcesz – w kłamstwo, w prawdę. Potem demonstruje rezultaty swoich badań. Stuka palcem w głowę, dobija się do jej wnętrza. Kino jest jak spacer po plaży w nadmorskiej okolicy. W teatrze wchodzisz na górę. Wysiłek wspinaczki jest ważniejszy niż miejsce, które zajmiesz na szczycie. Aktor nie napawa się tym, że tam wlazł, nie rozgląda się za widokami, tylko już myśli, jak stamtąd zejść. Próby to bolesny proces, nie mówię, że trudny, tylko bolesny. Cały czas kopiesz w czyimś smutku, w czarnych dziurach innych ludzi, których sobie wyobrażamy. Ale za każdym razem szukamy tam jakiegoś światła.

Co to za światło?

– Takie, które nada sens postaci. Zaczynasz jak ślepiec i powoli odzyskujesz wzrok. To tak samo jak z rzeźbą: bierzesz bryłę i odkuwasz to, co zbędne, krok po kroku formujesz postać. Wielu rzeczy jeszcze wciąż nie wiem o teatrze. Często powtarzam, że granie takich ról, jakie najczęściej dostaję, to jest życie w cudzym szaleństwie. □

Isabelle Huppert, 57 lat, urodzona w Paryżu wybitna aktorka teatralna i filmowa. Debiutowała na scenie, ale od pierwszego filmu („Faustine et le bel été” Niny Companéez), gdzie zagrała między innymi z Isabelle Adjani, uznano ją za aktorkę przede wszystkim filmową. Zagrała w ponad stu obrazach u reżyserów takich jak Claude Chabrol („Violette Nozière”, 1978, także wiele innych), Jean-Luc Godard („Pasja”, 1982), Andrzej Wajda („Biesy”, między innymi z Jerzym Radziwiłowiczem), Michael Haneke („Pianistka”, 2001), Patrice Chéreau, Bertrand Tavernier. **12 razy nominowana do filmowego Cezara, dostała go w 1995 roku za rolę w „Ceremonii” Chabrola**. Inne głośne jej filmy to: „Koronczarka” (1977), „Madame Bovary” (1991), „Gorzka czekolada” (2000), „8 kobiet” (2002). W teatrze grała u Roberta Wilsona („Orlando”, 1994, „Quartett”, 2006), Petera Zadka („Miarka za miarkę”, 1991), Jacques'a Lassalle'a („Medea”, 2000), Claude'a Régy („4.48 Psychosis”, 2002), Erica Lacastade'a („Hedda Gabler”, 2005). Uważana za jedną z największych aktorek europejskich naszych czasów.

ILUSTRACJA KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA TOMASZA WAWRA/AGENCJA GAZETA; FOT. MATEUSZ NASTERNAK/TEATR IMKA

Nie uratuje nas bulwar

Anachroniczny język starego teatru nie zbuduje głębokiego dialogu z widownią



POLEMICZNIE **JACEK KOPCIŃSKI***

UWAGI JACKA SIERADZKIEGO* wydają mi się słuszne, wątpię jednak w zasadnicze przesłanie jego błyskotliwego „Pamfleciku".

Sieradzki ma rację, pisząc, że zagraniczna kariera niektórych reżyserów i rosnąca frekwencja w salach teatralnych nie przesądzają jeszcze o sukcesie polskiego teatru. Do pracy za granicą nie są przecież zapraszani artyści najzdolniejsi, ale najlepiej pasujący do politycznie poprawnego profilu projektów realizowanych za unijną kasę. Pewnie dlatego w Awinionie raz po raz reżyseruje Krzysztof Warlikowski, a Piotr Cieplak, któremu nie sposób przecież odmówić oryginalności i ogromnego talentu, nigdy tam się nie pojawił. Natomiast o wysokiej frekwencji, zdaniem Sieradzkiego, decyduje dziś działalność teatrów rozrywkowych, a nie awangardowych. Owszem, na przedstawienia Warlikowskiego, Jarzyny czy Lupy dostać się trudno, ale tylko dlatego, że grane są rzadko i przy niewielkiej widowni. Ograniczając podaż, zwiększa się popyt. Racja, trzeba jednak dodać, że na taki pomysł wpadły nie tylko TR Warszawa i nowy Dramatyczny, ale także Teatr Narodowy. Znakomite „Tango" w reżyserii Jerzego Jarockiego grane jest tam na małej scenie kilka razy w miesiącu dla 70 osób.

Jednak Sieradzki o Narodowym nie wspomina, chłopcem do bicia czyniąc Dramatyczny – za dyrekcji Miśkiewicza przybytek awangardy, która autorowi „Pamfleciku" wyraźnie nie leży. Nie dziwię się, bo szkicowane tam „eseje teatralne" (w rodzaju „Peera Gynta") udają się rzadko, normę zaś stanowią sceniczne gnioty w stylu „Fragmentów dyskursu miłosnego". To na takich przedstawieniach Sieradzki zaobserwował w Dramatycznym pustki. Natomiast w maleńkim Kwadracie, gdzie od lat króluje dość szmirowata komedia, ujrzał nadkomplety i doszedł do wniosku, że oba teatry powinny zamienić się miejscami...

Pomysł jest oczywiście czystą (i pyszną!) prowokacją. Zastanawiam się jednak, dlaczego naprzeciwko awangardowców z Dramatycznego Sieradzki ustawił rozrywkowych luzaków z Kwadratu, a zapomniał o artystach z Powszechnego, Ateneum czy Współczesnego (że ograniczę się do Warszawy)? Czy wielką widownię w Pałacu Kultury można dziś wypełnić tylko wielbicielami „Szalonych nożyczek" i „Fredry dla dorosłych"? Stale słyszymy o wiernej publiczności wspomnianych Ateneum czy Współczesnego; nie starczy jej, by uratować frekwencję Dramatycznego? A może publiczność ta – za sprawą coraz lżejszego repertuaru tych niegdyś ambitnych scen – przestała już zasadniczo się różnić od widowni Kwadratu czy Komedii? Myślę, że niestety tak się stało i Sieradzki o tym wie, nikomu jednak nie czyni z tego powodu zarzutu. Czyżby obawiał się, że w ten sposób wzmocni pozycję przeciwnika? Czego jednak broni przed awangardowcami z Dramatycznego?

W „Pamfleciku na zadowolonych", który jest reakcją między innymi na opinię Joanny Derkaczew o nadzwyczajnej kondycji polskiego teatru, odżywa oczywiście spór obrońców „starego" teatru z entuzjastami teatru „nowego". Recenzentka „Gazety Wyborczej", chwaląc osiągnięcia Warlikowskiego czy Klaty, tak naprawdę ogłosiła bezwzględne zwycięstwo tego drugiego. Mówiąc w dużym uproszczeniu – chodzi o teatr na różne sposoby odrzucający model typowej sceny dramatycznej (dlatego nazywany niekiedy bywa postdramatycznym) i na różne sposoby kontestujący tradycyjny obraz świata, społeczeństwa, człowieka. Sieradzki, choćby jako redaktor „Dialogu", gdzie co miesiąc ukazuje się kilka dramatów, musiał na to zareagować. Ale nie sformułował argumentów estetycznych czy ideologicznych. Skupił się na publiczności, dowodząc jej nikłego zainteresowania „nowym" teatrem. Sieradzki jest krytykiem dojrzałym i odpowiedzialnym, dlatego nigdy nie pozwala sobie na jednostronną ocenę życia teatralnego w Polsce (jak czynią to jego młodsi koledzy i koleżanki). W swoim błyskotliwym „pamfleciku" mnoży więc rozmaite *pro* i *contra*, stale komplikując sens swojego przesłania. Jeśli jednak odważyć się na pewne uproszczenia i poskracać piętrowe równania krytyka, jego wypowiedź okaże się dość klarowną pochwałą współczesnego bulwaru...

Mnie także denerwuje narcyzm awangardowców, ale jeszcze bardziej wkurza samozadowolenie tradycjonalistów

Oczywiście byłbym naiwny i niesprawiedliwy, twierdząc, że w pochwale tej wyraża się teatralny gust Jacka S. Budując alternatywę laboratoria–bulwar, wyznacza jedynie najważniejsze bieguny teatru w Polsce. Z sympatią jednak zerka na bulwar, bo właśnie tam zgromadziła się dziś publiczność. A skoro tak, tylko tam marzenie Sieradzkiego o przywróceniu teatrowi w Polsce jego utraconej rangi ma jeszcze szansę się zrealizować! Współczesny teatr w Polsce – czytam między wierszami – musiał stoczyć walkę z komercyjną telewizją oraz kinem i wyszedł z tej walki pobity, ale nie pokonany. Udało mu się bowiem zaproponować komplementarny wobec seriali i filmów model rozrywki i tym samym utrzymać publiczność. Teraz przyszedł czas na rozrywki tej uszlachetnienie, a może nawet przemianę w poważny dialog artystów z publicznością, który po 1989 roku niemal ustał. Sieradzki nie wierzy, by taki dialog mógł zaistnieć na scenach awangardowych, choćby dlatego że przyciągają one tylko garstkę studentów teatrologii. Dlatego nie lekceważy teatrów rozrywkowych, które po prostu pękają w szwach, i żałuje, że nikt ich oferty nie próbuje „porozróżniać i posegregować". Czyli nadać jej jakieś znaczenie, wzmocnić wartość, podnieść rangę. Wiara Sieradzkiego, że jest to możliwe, trochę mnie onieśmiela.

„Chciałbym znów nabrać przeświadczenia, że spotykamy się wszyscy wieczorem w teatrze, albowiem ktoś nam chce coś istotnego od siebie powiedzieć. Ponadto ma to przemyślane, ułożone i przeprowadzone przez zespół. A jako główny cel wysiłku założył sobie, by wieczór w wieczór jego prawda stawała się istotnym przekazem dla ludzi, którzy przyjdą do teatru" – wyznaje Sieradzki. Ja także bardzo bym tego chciał! Ale zastanawiam się, jak anachroniczny, skonwencjonalizowany, sformatowany lub po prostu kiczowaty język teatru rozrywki, po który coraz częściej sięgają dziś ambitne sceny, może posłużyć do budowania głębokiego dialogu z widownią? Wokół jakich idei, problemów, spraw, ludzi odbiorcy „Kolacji dla głupca" czy nawet „Udając ofiarę" mieliby stworzyć to wytęsknione przez Sieradzkiego „razem"? I czy do zbudowania takiej wspólnoty wystarczy wspólny przeciwnik w postaci młodych reżyserów z ich nieco już zagubionym guru oraz kilku, przyznaję, dość bezczelnych recenzentów?

Jacek Kopciński, redaktor naczelny miesięcznika „Teatr", wydał między innymi „Gramatykę i mistykę. Wprowadzenie w teatralną osobność Mirona Białoszewskiego" oraz „Którędy do wyjścia? Szkice i rozmowy teatralne"

Żeby było jasne – mnie także denerwuje narcyzm awangardowców, którzy na wolnym ogniu modnych teorii pieką w swoich laboratoriach teatralny zakalec. Ale jeszcze bardziej wkurza samozadowolenie tradycjonalistów, którzy chwalą się swoją publicznością, na co dzień serwując jej bardzo lekkostrawne danka. Jestem pewien, że wystawiając kolejne farsy, musicale czy inne standupy, ani teatru, ani kontestowanych dziś w nim wartości ocalić im się nie uda. □

Dyskusja wokół „Pamfleciku na zadowolonych" trwa. Dziś odsłona trzecia

W 11. NUMERZE „PRZEKROJU" opublikowaliśmy esej Jacka Sieradzkiego pod tytułem „Pamflecik na zadowolonych, czyli między nami świetnie jest" będący polemiką z narastającym w środowisku teatralnym przekonaniem, że polski teatr przeżywa złoty okres dzięki nie tylko wybitnym realizacjom i sukcesom zagranicznym, ale także doskonałej frekwencji widzów.

Pasmo teatralnego szczęścia zakłócają najwyżej żale młodych twórców, że na ich ambitne projekty nie starcza pieniędzy, a starzy dyrektorzy zbyt długo okupują kierownicze fotele. Sieradzki stawia naprzeciw siebie dwa modele teatrów – poszukującą awangardę i mieszczańską komercję, upominając się o zanikający środek, czyli ambitny teatr popularny, niepozbawiony wszakże ważnych pytań współczesności. Jest to też pytanie o etos widza, którego albo się lekceważy, albo przecenia w zabieganiu o jego pieniądze.

W 12. numerze zaś opublikowaliśmy polemikę Macieja Nowaka, krytyka i wydawcy, obecnie dyrektora Instytutu Teatralnego w Warszawie. Jego zdaniem teatry artystyczne mają się nie tylko dobrze, ale „praca w nich aż furczy", a że ograniczają i widownię, i liczbę spektakli, wynika to nie tyle z decyzji artystycznych, ile z rachunku ekonomicznego – po prostu „brakuje pieniędzy na eksploatację". Do historii przeszedł też już model „teatru powszechnego" – o który zdaje się upominać Sieradzki – na rzecz bardzo zróżnicowanych grup odbiorczych. □



Nadwiślańska egzotyka *oczyma Mikołaja Grabowskiego*

Przez dziki kraj

„Opis obyczajów III" Mikołaja Grabowskiego to powrót do dawnych fascynacji pismami księdza Kitowicza

+++++ ŁUKASZ DREWNIAK

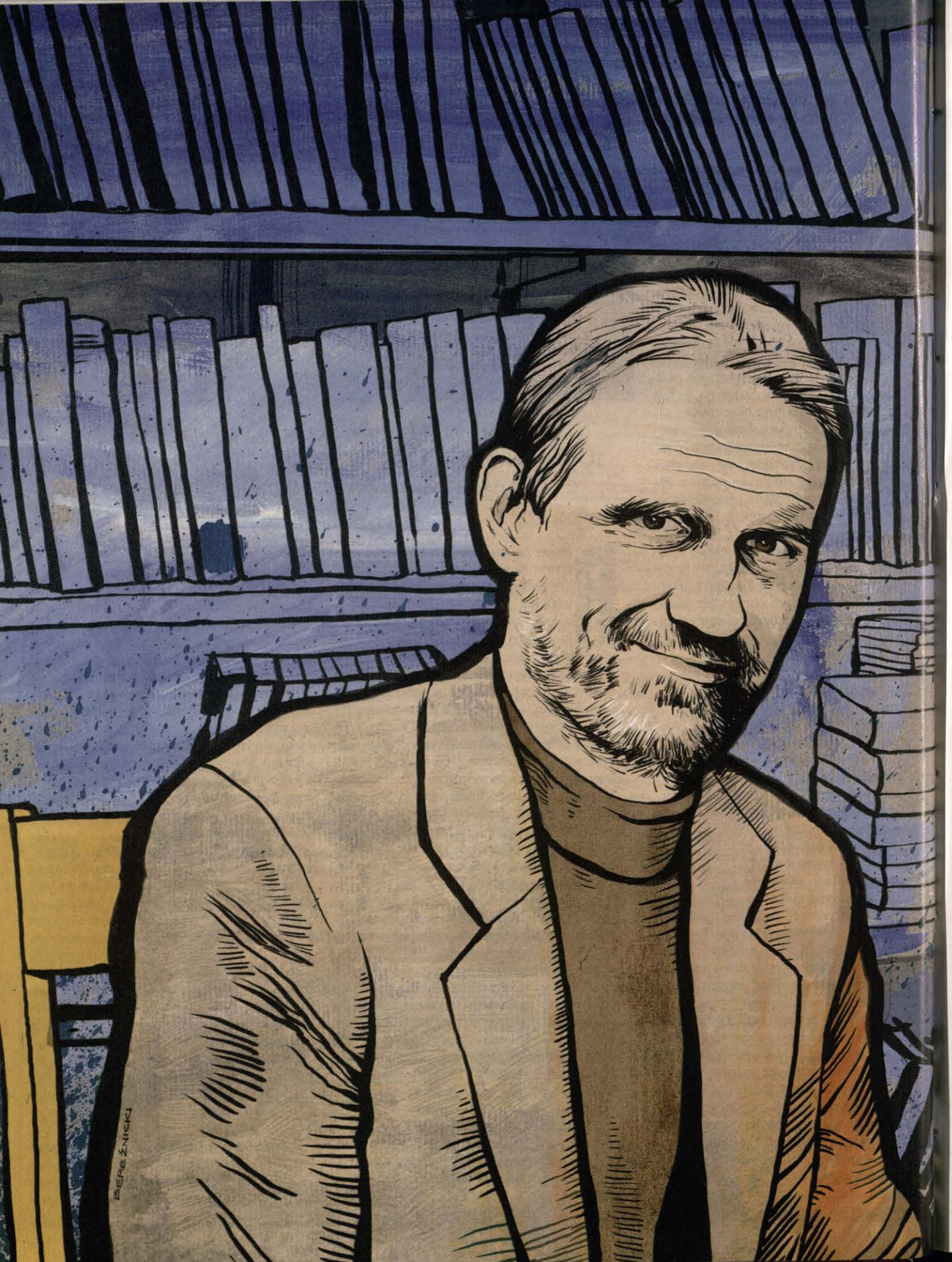
Reżyser zawsze traktował te piękne i zarazem cudaczne teksty jako coś w rodzaju literackiego matecznika, gdzie się człowiek tak „napije, nadyszy ojczyzny", aż w końcu na amen zadławi. Fascynował go język tej prozy, biegłość pamiętnikarza w oddawaniu detali i mentalności epoki. Uruchamiał aktorów w zderzeniach tekstu i sytuacji, pokazywał z ich pomocą, jak w tamtym barokowym świecie ciągle przegląda się nasz świat. Powrót do dawnej metody pracy był bardzo ryzykowny, przecież w tym czasie przez polski teatr przetoczyło się kilka rewolucji. Poza tym Polska jako kraj jest już czymś innym niż ten sarmacko-prowincjonalny skansen portretowany w poprzednich dwóch „Opisach" (1990, 1995).

W pierwszej scenie nowego przedstawienia Grabowski – aktor, reżyser i narrator w jednej osobie – włazi na scenę ze świeczką. Gra obcego, podróżnika, który nie wiedzieć po co trafił do „dzikiego kraju". Jest niezdarny i rozbrajająco śmieszny w próbach racjonalizowania tego, co widzi. Nie tyle ocenia, ile po prostu się dziwi i próbuje usystematyzować nadwiślańską egzotykę – pisze traktat o powstawaniu kołtunów i roli alkoholu w dziejach narodu. Najważniejsze odkrycie nowego „Opisu" to akcent postawiony na tymczasowość niezmiennego, zdawałoby się, porządku narodowego. Polacy jawią się tu jako odwieczni tułacze i pielgrzymi, którzy „tu na tym piasku rozbili namioty". Nie przypadkiem pośrodku sceny stoi biały namiot; w zależności od potrzeb będzie także przydrożną kapliczką. Z wnętrza wychodzi grupa rodaków: czwórka młodych (protestująca pielęgniarka Magdy Boczarskiej, wsiowy elegant Tomka Karolaka, turysta abnegat Andrzeja Konopki, zapiekły w nienawiści politycznej urzędnik z gminy Oskara Hamerskiego) i dwie weteranki, członkinie parafialnego kółka różańcowego, może emerytowane nauczycielki (Iwona Bielska i Urszula Popiel). Wybucha pieśń „Kochana Polsko, złota Polsko". Ktoś maniakalnie wychwala dobroć i majestat Augusta III Sasa, ktoś piętnuje rozpustę magnaterii. Są peany na cześć „katolickiej – rzymskiej wiary", relacje z fet w Łazienkach za króla Stasia. Nie dochodzi jednak do konfrontacji obcy–swoi, jest patriotyczny teatrzyk odgrywany na potrzeby przybysza. Polacy od Grabowskiego albo łżą jak z nut, albo tylko epatują przybysza litanią narzekań na Polskę. Przecież zawsze tak prezentujemy się w świecie – poniżamy się, by wzbudzić litość, a potem udowodnić, że mimo wszelkich przeciwności i tak ocaleliśmy.

„O północy przybyłem do Widawy... czyli Opis obyczajów III" wg księdza Jędrzeja Kitowicza, reżyseria i scenografia Mikołaj Grabowski, *muzyka Zygmunt Konieczny, Teatr IMKA w Warszawie*

Co ciekawe, nie ma w tym nowym „Opisie" łatwych aluzji do Polski współczesnej, są co najwyżej koincydencje. Jakbyśmy patrzyli na broniący się ze wszystkich sił przed zgonem, ale jednak zanikający świat. Czuć też w aktorach i w samym Grabowskim jakiś irracjonalny żal, że już nie pasujemy do tych barwnych sarmackich typów. I jeśli kiedyś reżyser drażnił się z nami odkrywaniem tego, co w nas od wieków pokraczne, tak teraz mówi: a przecież tego szkoda. Może to wszystko było okrutne i głupie, ale było nasze.

Finałowe sekwencje spektaklu to wyliczenia tortur i procedur stosowanych w dawnej Polsce. Podróżnik Grabowskiego wisi na sznurze, aktorzy kaci oprawiają go słowami, przypiekają pieśnią, a on dynda, pojękuje, nawet sznur skrzypi złowrogo. Straszna ta Polska była, okrutna i głupia. Teraz idzie nowe. Oby tylko nie było jeszcze głupsze. □



Katarzyna Janowska



MIEĆ W SOBIE SIŁĘ

BUDUJĄCE JEST, ŻE W CIĄGU 10 LAT NIKT NIE WPADŁ NA POMYSŁ, ABY POSTAWIĆ MU POMNIK. TO ZNACZY, ŻE LUDZIE ZROZUMIELI, CZEGO **JÓZEF TISCHNER** NAPRAWDĘ CHCIAŁ – MÓWI JEGO BIOGRAF **WOJCIECH BONOWICZ**, AUTOR GAWĘDY O KSIĘDZU TISCHNERZE „KAPELUSZ NA WODZIE", KTÓRA W KWIETNIU UKAŻE SIĘ NAKŁADEM ZNAKU

W „Kapeluszu na wodzie" przypominasz, że ksiądz Tischner kiedyś powiedział: po mnie nic nie zostanie, tylko tych parę dowcipów. W czerwcu minie 10 lat od jego śmierci. Miał rację?

– Powiedział to podczas wykładu na Uniwersytecie Jagiellońskim na początku lat 80., w czasie stanu wojennego. Pewnie było w tym trochę kokieterii, ale też i lęku, że zostanie zapamiętany jako wesoły ksiądz, który na każdą okazję ma jakiś żart w zanadrzu. Tymczasem on był kimś innym – w mrocznych czasach dawał ludziom nadzieję.

Tischner o Romanie Ingardenie, swoim filozoficznym mistrzu, mówił, że uprawia myślenie w pogodzie ducha. To samo można chyba powiedzieć o nim?

– Tak, to było połączenie „dobrej aury" z wysokim formatem intelektualnym. Tischner nie był wesołkiem, był myślicielem obdarzonym poczuciem humoru. Bieda nasza polega na tym, że jest bardzo dużo dobrej filozofii, sztuki, literatury, której głównym tematem jest klęska człowieka. Kilka tygodni temu czytałem w „Przekroju" wywiad z Krzysztofem Vargą pod tytułem „Życie jest klęską". Gdyby naprawdę przejąć się tym, co Krzysiek tam mówi, należałoby sobie natychmiast otworzyć żyły, no, może jeszcze napisać ładny list pożegnalny. W Tischnerze tego nie było. Mam od niego jedną jedyną dedykację na książce: „Wojtkowi, aby wyżej!". Czyli: zbieraj się, zawsze możesz zrobić więcej, niż ci się wydaje.

Może Tischner ze swoim góralskim poczuciem humoru był wybrykiem natury w naszym krajobrazie intelektualnym i kulturowym nasyconym pesymizmem? Maria Janion mówi: „Żyjąc, tracimy życie", Leszek Kołakowski: „Każde życie jest przegrane", Barbara Skarga: „Życie to klęska".

– Tischner to był typ sokratejski, który chciał wydobywać z ludzi dobro. Nie przynosić im idei dobra, tylko pokazać, że w gruncie rzeczy świętego każdy ma w sobie. W jednym z wywiadów mówił, że nie ma nic łatwiejszego na tym świecie, jak zbawić siebie i innych, tylko trzeba mieć sposób! Sposób Tischnera na zbawianie innych był prosty – przypominać człowiekowi: masz w sobie tę siłę. On wierzył, że tak rzeczywiście jest.

Najefektowniejsze było u niego przepuszczanie pojęć, teorii, idei przez gwarę góralską – czytaj: przez życie. Dla niego honor, wierność, miłość, praca nie były pustymi pojęciami. On je widział wokół siebie, miały dla niego twarz konkretnych ludzi. Na marginesie – „Filozofia po góralsku była po raz pierwszy drukowana na łamach „Przekroju".

– Korzeniem dla niego była rzeczywiście góralszczyzna, którą przyswoił sobie przez lektury Seweryna Goszczyńskiego, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, ale i poprzez swój dom. Ktoś mi opowiadał następującą historię: góral wysiada z samolotu, jeszcze trochę wystraszony, ale przecież się nie przyzna, że się bał. Więc spogląda w niebo i mówi tylko: „Ej, Boze, a miałeś mnie w gorzści...". Górale poważne sprawy oswajają żartem. I coś takiego było w Tischnerze. Niektórzy mieli do niego pretensje, że w czasie poważnej debaty nagle uciekał w żart, w anegdotę. Tymczasem to nigdy nie było bez powodu. Chciał pokazać, że pojęcia, idee tylko wtedy są interesujące, kiedy widzimy je w ruchu, w życiu.

Wyrastał w silnym etosie domu, rodziny. W kulturze góralskiej bardzo mocno zakorzeniony jest szacunek dla wartości wyznawanych przez dziadków, rodziców. Tischner mawiał, że jest „zarażony dziadkiem"; prawdopodobnie po nim odziedziczył wiarę w człowieka i przekonanie, że trzeba starać się żyć prawdziwie, stale pytać samego siebie: czego naprawdę w życiu chcę? Z drugiej strony rodzice Tischnera byli nauczycielami, więc mieli otwarte głowy i odnosili się do rzeczywistości z pewnym dystansem.

Nie był księdzem odciętym od normalnego życia. Rozumiał ludzkie słabości, a to nie jest powszechna umiejętność.

– To też brało się trochę z kultury wsi, która na ogół akceptowała człowieka takim, jakim był. „Jeden taki musi być", mawiano, gdy ktoś odstawał od reszty. Przykazania traktowano bardzo serio, a jednocześnie krążyły powiedzonka: „Z lekarzem zdrowo, a z księdzem grzechu nie ma" albo: „Nie będziesz cudzołożył, nie będzie się świat mnożył". Kryje się za tym przekonanie, że człowiek w różnych momentach swojego życia nie dorasta do przykazań, ale to nie pozbawia go godności. W ostatniej książce Tischnera „Droga i bezdroża nadziei" pada fenomenalne zdanie: „Miłosierdzie jest bólem nadziei". To znaczy, że nadzieja, którą człowiek nosi w sobie, obejmuje także cierpienie, potknięcia, ból. I ta nadzieja wierzy, że wszystko jest jeszcze do uratowania. →



Ksiądz Józef Tischner wszędzie na świecie był u siebie. Najbardziej jednak **w górach**

→ W książce przytaczasz historię o tym, że przełożeni księdza pod wpływem sygnałów od ludzi świeckich dopytywali go, dlaczego na swoich lekcjach religii w pierwszych rzędach sadza najładniejsze dziewczyny. Tischner miał odpowiedzieć, że te najładniejsze przychodzą godzinę przed zajęciami i zajmują najlepsze miejsca. Dostrzegał urodę kobiet. Nie udawał, że kobiety nie istnieją.

– Ale jednocześnie chyba nikt nie mógł powiedzieć, że zachowywał się w stosunku do nich zbyt swobodnie. Był wrażliwy na piękno, niewątpliwie. Kobiety fascynowały go też filozoficznie – jako odmienny punkt widzenia. Miał świadomość, że jest atrakcyjnym mężczyzną i przyciąga spojrzenia pań. Ale nigdy nie było wątpliwości, że jest księdzem.

Słynne jest jego powiedzonko, żeby go nie budzić pod żadnym pozorem, no chyba żeby znieśli celibat, wtedy natychmiast. Czy trafiały do ciebie jako biografa jakieś rewelacje na temat Tischnera i kobiet?

– Tischner miał zasadę, że nigdy nie dementował plotek na swój temat. Na szczęście wszystkie, które do mnie dotarły, okazały się nieprawdą. Władysław Stróżewski, który się z nim przez lata przyjaźnił, powiedział mi coś bardzo trafnego: on zawsze był wierny swojemu kapłaństwu, choć pokus miał od cholery. To zdanie mówi wszystko.

Zastanawiam się, czy dzieła filozoficzne księdza Tischnera bronią się pozbawione aury jego osoby. Co dziś z jego myśli jest żywe?

– Dzieła się bronią, bo – jak to ujął kiedyś Krzysztof Michalski – Tischner jako filozof potrafił niekiedy doprowadzać pojęcia do tańca. Ale oczywiście coś bezpowrotnie się straciło... Widzę, że dziś Tischner potrzebny jest ludziom najbardziej jako myśliciel religijny. W ubiegłym roku wydaliśmy w Znaku tom jego kazań ze Starego Sącza „Wiara ze słuchania", który nagle, z dnia na dzień, stał się bestsellerem. Tischner w kazaniach opowiada o religii prostym językiem i ma w zasadzie jedno pragnienie – pokazać ludziom piękno tego świata. Nie ma u niego szantażowania moralnością, nie ma pokusy władzy. Jest zachwyt światem, Ewangelią, religią, którym on chce się podzielić z innymi.

Przygotowując książkę „Zrozumieć własną wiarę", znalazłem u Tischnera genialne zdanie: „Bóg przychodzi nie tylko jako szczęście nieszczęśliwych, ale także jako nieszczęście szczęśliwych". W kontekście jego choroby to zdanie nabiera szczególnego dramatyzmu. Tischner miał dar chwytania w słowach momentów trudnych do opisania, na przykład kiedy spotyka nas nieszczęście, odchodzi ktoś bliski, a my mimo wszystko znajdujemy powody, by żyć dalej... On to rozumiał i potrafił o tym napisać.

Przytaczasz w książce definicję wolności, którą ksiądz Tischner sformułował w 1982 roku, a która wydaje mi się niezwykle aktualna. Wolność według niego polega na tym, żeby czuć się w świecie jak u siebie. Wolność jest sposobem bycia, i to bycia według rozumu.

– Dziś, paradoksalnie, ludzie w Polsce wydają się bardziej zalęknieni niż kiedyś. Poczuć się u siebie w tym świecie to zaakceptować jego mechanizmy. To nie znaczy na wszystko się godzić, ale cierpliwie znosić to, co przeszkadza, uwiera, rani. Norwid, którego Tischner lubił cytować, pisał, że świat potrzebuje ludzi cierpliwych, takich, którzy ścierpią ból przynoszony przez życie w imię wiary w zasadniczy ład. Myślę, że w takich ludziach pojawia się wolność.

Ksiądz Tischner był człowiekiem wolnym?

– O tak! Wolność najłatwiej zobaczyć przez stosunek człowieka do rzeczy materialnych. W książce opisuję pierwsze spotkanie Tischnera z Wojtyłą, podczas którego przyszły papież mówi: „Gdzie jest ubóstwo, tam jest wolność". Utkwił mi w pamięci obraz Tischnera z pierwszego wykładu, którego wysłuchałem. Był ubrany w przyciasną kurteczkę, wyświecone sztruksowe spodnie, znoszone buty. Zaczął trudny wykład o Heideggerze i nagle wszystko złożyło się w całość. Od razu było widać, że to ktoś, dla kogo najważniejsza jest myśl. Wszystko inne musiało jej służyć. Robiło to piorunujące wrażenie w środku ponurych lat 80. Nie mieliśmy w co się ubrać, nie można było jeździć swobodnie za granicę, po ulicach krążyły patrole milicji – a on otwierał przed nami świat, w którym czuliśmy się wolni.

Przypomina mi się anegdota o tym, jak górale na Kahlenbergu w Wiedniu świętowali założenie austriackiego oddziału Związku Podhalan. Była noc, w dole światła miasta, oni szczęśliwi stoją, patrzą i w pewnym momencie jeden mówi: „Chłopy, syćko nase!". Nagle otworzyła się przed nimi inna przestrzeń, inne doświadczenie świata. Słuchając wykładów Tischnera, miałem podobne odczucie.

Był wolny i dlatego był w Kościele na cenzurowanym?

– W Kościele atakowano go czasem nieproporcjonalnie ostro w stosunku do tego, co mówił. Gdy dzisiaj czyta się jego wypowiedzi, to w gruncie rzeczy widać, że pod surową krytyką jest prawdziwa afirmacja Kościoła. W jednym z rozdziałów opisuję, jak mocno jedno zdanie – że nie zna nikogo, kto straciłby wiarę po lekturze Marksa, zna natomiast takich, którzy utracili wiarę po spotkaniu z własnym proboszczem – zaważyło na stosunku księży do Tischnera. Ale równocześnie w wielu jego wypowiedziach było sporo wyrozumiałości dla słabości księży, tyle że tego wtedy nie dostrzegano.

Mawiał, że duchowni to także zgromadzenie starych kawalerów, których pod żadnym pozorem nie można budzić z popołudniowej drzemki.

– Jego problemów z kolegami po fachu nie należy demonizować. Miał bardzo wielu przyjaciół wśród księży. Ale nie da się ukryć, że był w Kościele outsiderem. Z jakiego powodu? Pewnie dlatego, że mówił innym językiem, był niezależny. I że był znany.

Rzeczywiście mówił innym językiem. Na przykład klerykom powiedział kiedyś, że dialog w Kościele to dialog dupy z kijem.

– Bo klerykom w seminarium wydawało się, że nagle zrewolucjonizują instytucję, która ma dwa tysiące lat. Tischner wiedział, że tego nie da się zrobić tak prosto. Charakterystyczne, że on w zasadzie nigdy nie krytykował instytucji, struktur, krytykował natomiast to, co działo się na ambonach albo w partiach politycznych, które powoływały się na naukę Kościoła. Sednem sporu było myślenie. W jednym z programów telewizyjnych powiedział: nie krytykuję tego, na co nie mam wpływu. Zależało mu, aby z Kościoła zniknął styl myślenia w kategoriach władzy i w kategoriach oblężonej twierdzy, który według niego był nie do pogodzenia z Ewangelią.

Uważał, że to nie filozof wybiera filozofię, którą będzie uprawiał, tylko filozofia wybiera jego. Został wybrany?

– Tak. Bo pojawił się w czasach „kryzysu człowieka", kryzysu wiary w człowieka – a jego ludzie fascynowali. Fascynowało go to, co barwne, różnorodne i nieprzewidywalne, a zarazem to, co najbardziej w człowieku wzniosłe – zdolność do heroizmu, do ofiary. Uważał, że chrześcijaństwo ma tu do odegrania szczególną rolę. Ciało, także współcześnie, jest źródłem rozmaitych pesymizmów. Tymczasem Ewangelia dokonuje przewrotu w rozumieniu ludzkiego ciała. Dzięki ciału człowiek dojrzewa wewnętrznie, lepiej siebie rozumie. I dlatego – jak Tischner pięknie powiedział w rozmowie, którą przeprowadziliście kiedyś wspólnie z Piotrem Mucharskim – Pan Bóg w pewnym sensie pozazdrościł człowiekowi ciała. Dlatego przydarzyło się Wcielenie.

Co ciekawe, w jego książkach nie znajdzie się konkretnych recept, jak żyć. On nie mówi, co komuś wolno albo czego nie wolno. On wskazuje horyzont, który przed człowiekiem otwiera Ewangelia. To jest bardzo dojrzałe myślenie, to jest religijność przyszłości. A równocześnie nie było w nim cienia pogardy dla ludowej pobożności, dla światopoglądu prostego człowieka.

Był samotny?

– Dla księdza problem celibatu to przede wszystkim problem braku domu. Tymczasem Tischner utrzymywał bliski kontakt ze swoją rodziną. Był stryjem, wujem, a nie tylko księdzem profesorem. Żył problemami swoich braci, kuzynów i kuzynek, ich dzieci, więc potrzebę domu w znacznej mierze miał zaspokojoną.

W latach 90., w okresie tuż przed chorobą, był natomiast fizycznie wyczerpany. Nie umiał wyrzucać ludzi za drzwi, odmawiać zaproszeniom. W latach swojej największej popularności sypiał po dwie–trzy godziny na poboczu drogi, żeby zdążyć na kolejne spotkanie. Gdyby miał żonę, to może przytrzymałaby go w domu, tak jak przed laty jego babka, która w 1919 roku nie puściła dziadka na konferencję pokojową do Paryża, tylko kazała mu kopać ziemniaki. I tak Sebastian Chowaniec nie wszedł do historii, a jego wnuk tak.

Po śmierci księdza Tischnera ktoś powiedział, że teraz nie będzie już nikogo, kto stałby w drzwiach kościoła i zapraszał do środka. Pojawił się ktoś taki?

– Poczucie pustki po jego odejściu jest dotkliwe. Tischner przekonywał swoich współczesnych, że człowiek „jest drzewem, które czuje w sobie dobro i dlatego nie chce złych owoców rodzić". To odważne myślenie. Dziś przeważa raczej pogląd, że człowiek – jak się wyraził kiedyś William Golding – produkuje zło jak pszczoła miód.

Budujące jest to, że w ciągu 10 lat nikt nie wpadł na pomysł, aby postawić mu pomnik. To znaczy, że ludzie zrozumieli, czego Tischner naprawdę chciał. Pomnikiem są szkoły jego imienia, hospicjum, spotkania, chociażby Dni Tischnerowskie. Różne środowiska, które wiele od niego dostały, teraz mu to oddają. Ktoś powie, że to mało. A mnie się wydaje, że jeśli po człowieku zostanie parę idei wszczepionych w życie, to jest to jego wielkie zwycięstwo. □

X Dni Tischnerowskie odbędą się w Krakowie w dniach 21–24 kwietnia. *Pojawią się na nich wybitni intelektualiści, między innymi ksiądz Tomáš Halík i Charles Taylor. Przewidziany jest koncert „Poeci Tischnera" z udziałem Doroty Segdy, Jerzego Treli i Grzegorza Turnaua. Szczegóły na www.tischner.pl*

Wojciech Bonowicz, 43 lata, poeta, publicysta, redaktor. Jego tom wierszy „Pełne morze" (Biuro Literackie) otrzymał Nagrodę Literacką „Gdynia 2007". W roku 2001 opublikował biografię „Tischner" (Znak).

Bonowicz o Tischnerze

Ksiądz profesor wspominał, jak po raz pierwszy udzielił ostatniego namaszczenia: *To był chłopak, którego na Podhalu przywaliły kamienie. Wyszedł, żyje do dnia dzisiejszego. W ogóle mam szczęście do ostatnich namaszczeń, prawie nikt po nich nie umiera. I przypuszczalnie dlatego wyrzucili mnie z parafii i zrobili profesorem – bo po moich odwiedzinach nie było dochodów w parafii.*

Ulubionym bohaterem góralskich dowcipów księdza Tischnera był nieśmiertelny Franek Gąsienica. *W czasie powodzi w Łopusznej chłopi stali przy moście na Dunajcu i obserwowali, co się dzieje. Przedmiot refleksji był zawsze ten sam: czy woda zabierze most, czy nie zabierze. Ale tym razem chłopów coś zaintrygowało: unoszący się na wodzie góralski kapelusz. Patrzą – stanął na prądzie. Za chwilę – pod prąd. Zaś stanął – i z prądem. „Coz to", „Cud? ", pyta jeden. „E nie, to Franek Gąsienica pedzioł, że ma w dupie powódź, i orze".*

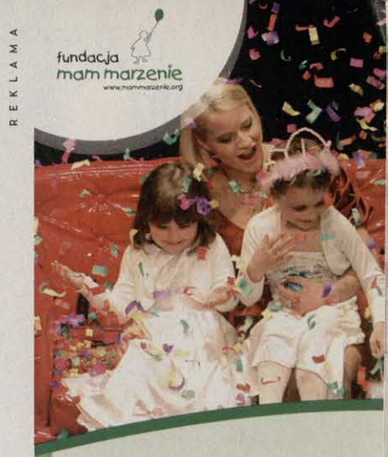
Konfesjonał bywał scenerią niejednego góralskiego dowcipu lub anegdoty. Tischner opowiadał na przykład o babie, która spowiadała się, że zdradziła chłopa. *„Ale z miłości czy dla pieniędzy?", pyta ksiądz. A baba na to: „No cheba z miłości, bo co to dzisiok znacy te parę stówek...".*

Anegdoty pochodzą z książki **Wojciecha Bonowicza „Kapelusz na wodzie. Gawędy o księdzu Tischnerze"**, *która 22 kwietnia ukaże się w wydawnictwie Znak.*

Chilli ZET
Nowe radio w Polsce w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

REKLAMA

fundacja mam marzenie
www.mammarzenie.org



Uwierz w marzenia
na nie nigdy nie jest za późno

Przekaż 1% podatku i spełnij marzenia dzieci cierpiących na choroby zagrażające życiu.

1% podatku na konkretny cel

Mogą Państwo zdecydować, komu przekazać 1% podatku, wpisując w zeznaniu podatkowym w rubryce „informacje uzupełniające" np. 1% dla o/Kraków.

Środki te zostaną przeznaczone na realizację marzeń dzieci we wskazanym oddziale. Fundacja Mam Marzenie działa w 16 miastach w Polsce.

Dzięki środkom z 1% możemy zrealizować dziecięce marzenia z kategorii: chciałabym zostać, dostać, spotkać, a także marzenia wyjazdowe, na Dzień Dziecka, na Święta Bożego Narodzenia oraz ekspresowe, kiedy nie mamy już czasu na szukanie sponsora.

Wpisz w rozliczeniu rocznym PIT: Mam Marzenie - OPP - KRS

00 0017 713



www.mammarzenie.pl

OTWÓRZ
oczy

HOKUS-POKUS PIOTR KOSSOBUDZKI

PRAWDZIWA MAGIA SZTUCZEK SIĘ NIE BOI

CZY MOŻNA SPRAWIĆ, BY NA OCZACH TŁUMU **ZNIKNĄŁ KOLEJOWY WAGON**? ZŁAPAĆ W ZĘBY WYSTRZELONY POCISK? ALBO PRZEPIŁOWAĆ NA PÓŁ ASYSTENTKĘ? JASNE



Spalenie na scenie? Taki pokaz musiał wzbudzać dreszcz emocji wśród widzów w XIX-wiecznych Niemczech. Zresz **…uzjoniści i ich publika zawsze uwielbiali atmosferę ryzyka**. *Stąd w pokazach miecze, strzelby i uwalnianie się z więzów pod wodą. Oczywiście w ostatniej chwili*

Są między nami ludzie, o których możliwościach boimy się nawet pomyśleć. Obdarzeni niezwykłą mocą potrafią czytać w myślach, unosić się w powietrzu albo wzniecić ogień siłą woli. Można ich wielbić jak pradawnych kapłanów lub bać się ich i zabraniać im popisów (jak żyjący na przełomie er cesarz Tyberiusz i Kościół we wczesnych wiekach chrześcijaństwa). Ale nie można ich zniszczyć. Zawsze wracają.

Jasnowidze, wróżbici, kuglarze i wreszcie ich potomkowie iluzjoniści. Wszyscy byli i są mistrzami psychologii, wiedzy chemicznej, fizycznej i technicznej oraz wybitnymi specjalistami w posługiwaniu się własnym ciałem. W równym stopniu zachwycali gawiedź na średniowiecznych jarmarkach co dyplomatów na bankietach. Choćby George W. Bush – zaprosił na bal inauguracyjny w 2001 roku aż 20 iluzjonistów.

(Rozrywka i polityka)



1.

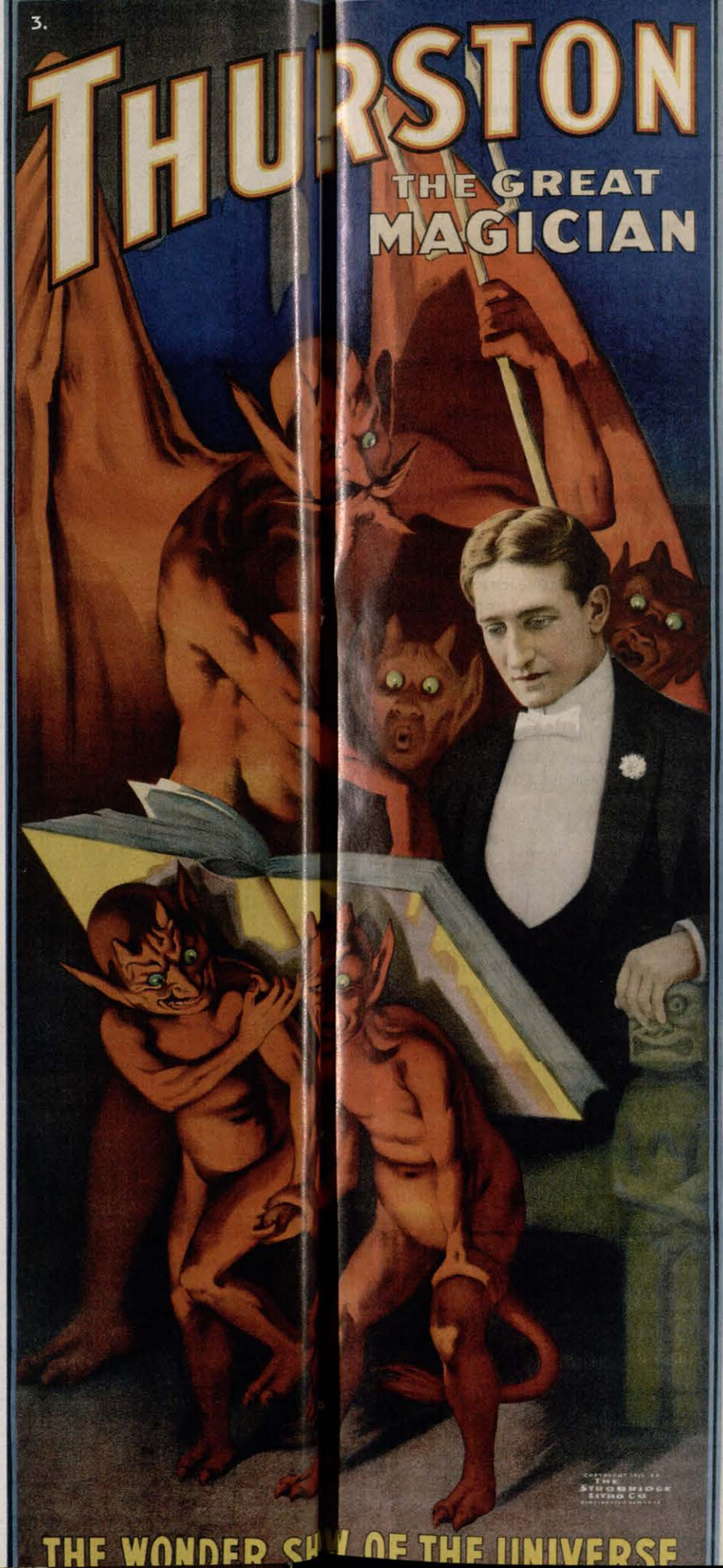


2.

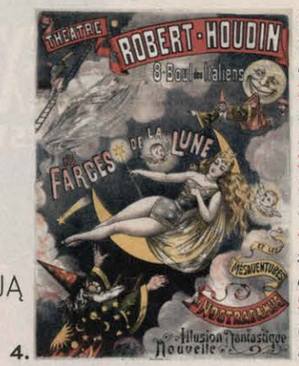
Iluzjami karmimy się od tysiącleci. Sztuczkę z trzema kubkami i ukrytym pod jednym z nich ziarnem robiono już w starożytnym Egipcie. Lecz współczesna iluzjonistyka wyodrębniła się z kotła sztuk dopiero na początku XIX wieku. Uznaje się, że zapoczątkował ją urodzony w 1805 roku Francuz Jean-Eugène Robert-Houdin – syn wziętego zegarmistrza. Pewnego dnia zamiast podręczników zegarmistrzostwa Eugène omyłkowo odebrał z księgarni dwie książki o magicznych sztuczkach... i wsiąkł.

Jako iluzjonista pozostał jednak entuzjastą nauki i techniki. Wymyślił wiele efektownych urządzeń, jak automatyczny barman i gracz w szachy. Odkrycie zjawiska elektromagnetyzmu pozwoliło mu opracować sztuczkę ze skrzynką, którą wpierw bez trudu podnosiło dziecko, a potem nie mogli jej dźwignąć najsilniejsi dorośli widzowie. Pokaz cieszył się takim powodzeniem, że został wykorzystany w... polityce zagranicznej! Cesarz Napoleon III wysłał Robert-Houdina do skolonizowanej Algierii, by postraszył „magią" niepokornych tubylców. Pokazy ze skrzynką miały ich przekonać, że Francja bez trudu ujarzmi swoich arabskich poddanych.

Podobno duże wrażenie robił też trik z łapaniem w zęby wystrzelonego pocisku. Wybrany widz podpisywał kulę, którą wystrzeliwano ze strzelby w stronę sztukmistrza. Jean-Eugène chwytał ją i oddawał zdumionemu widzowi, pokazując →



IGRANIE ZE ŚMIERCIĄ I IGRANIE Z UMYSŁEM TO CHLEB POWSZEDNI ILUZJONISTY. **KONSZACHTY Z DIABŁEM** WYDAJĄ SIĘ WIĘC CZYMŚ NATURALNYM



4.

1. **Harry Kellar** *zamiast farmacji wybrał iluzję – wszystko z miłości do chemii*
2. **Blichtr** *i elegancja otwierały magikom drzwi do karczm i na salony*
3. *Czy w występach biorą udział tajemne moce? Tego* **Thurston** *nigdy nie dementował*
4. *Jean-Eugène* **Robert-Houdin** *zamiast zegarków konstruował automatyczne rekwizyty*
5. **Harry Houdini** *zaczął karierę nie od zatrważających ucieczek, lecz od karcianych sztuczek*



FOT. TASCHEN (4), GETTY/FPM (3), FOTOLINK

6.



→ przy tym widniejący na niej podpis (oczywiście kula nie trafiała do pistoletu. Iluzjonista z asystentem tak manipulowali uwagą publiczności, by ta nie zauważyła, jak pocisk podawany jest magikowi).

Czy „magiczna misja" w Algierii zakończyła się powodzeniem? Robert-Houdin nie miał co do tego wątpliwości, ale historycy są dużo bardziej sceptyczni.

(Iluzja bez granic)

W ślady Francuza poszło wielu i XIX wiek oraz początek XX to złote czasy iluzji. Herrmann Wielki organizował spektakularne pokazy z udziałem orkiestry, zachwycając mieszkańców Europy i obu Ameryk, a nawet samego cara Rosji. Harry Kellar zadziwiał świat lewitacją, a Harry Houdini (przydomek to dowód uwielbienia dla francuskiego mistrza) uwalniał się ze wszystkich pułapek. Zawieszony w kaftanie bezpieczeństwa nad przepaścią oswobadzał się w kilka minut. Otwierał kłódki, kajdanki, uwalniał się z łańcuchów. Wymyślał też własne pułapki, jak chińska cela tortur wodnych – okute stalą ciasne akwarium z wodą, do którego wkładano go skutego, głową w dół.

Wiek XX przyniósł prawdziwe rewie iluzjonistyczne. Ich mistrzowie to Horacy Goldin, Siegfried i Roy, Peter Marvey oraz, oczywiście, David Copperfield. Kogóż nie zatka na widok unoszącego się w powietrzu i znikającego wagonu Orient Expressu?

My również możemy poszczycić się świetnymi iluzjonistami. W Polsce największe stężenie magii można odnotować w... Łodzi, gdzie działa Krajowy Klub Iluzjonistów. Skupia legendy polskiej i światowej sceny, jak mistrz Caroni (Jerzy Mecwaldowski) czy Arsène Lupin (Sławomir Piestrzeniewicz). Tarnowianin Vadini (Michał Konieczny) bawił gości Jacques'a Chiraca, a zmarły niedawno Salvano (Tomasz Chełmiński) znany był lepiej w Las Vegas niż w ojczyźnie.

(Zawód: magik)

Pasjonaci iluzji mogą uczyć się w kilku szkółkach, zaprenumerować fachowe pismo „Hokus Pokus" i przystąpić do egzaminu przed komisją złożoną z przedstawicieli KKI oraz Sekcji Estrady Związku Artystów Scen Polskich. Jak widać, profesja iluzjonisty nieco się sformalizowała.

A jeśli podczas towarzyskiej pogawędki o magii chcecie wyjść na eksperta, pamiętajcie, że iluzjonistów dzieli się na: właściwych iluzjonistów, mentalistów i prestidigitatorów. Pierwsi to królowie dużej sceny, zmyślnych urządzeń i rekwizytów. Mentaliści czytają w myślach i każą wierzyć w telepatię oraz hipnotyczny trans. A prestidigitatora nikt nie prześcignie w zdolnościach manualnych – sztuczki karciane i triki z monetami to właśnie ich robota.

Niezależnie jednak od techniki i rozmachu magika po występie oniemiała widownia pyta zwykle: „Jak on to zrobił?". I niech tak zostanie. „Zawód iluzjonisty jest oparty na sekretach. Zdradzanie ich w Internecie to gwóźdź do trumny tych, którzy marzą o wykonywaniu zawodu iluzjonisty" – pisał na stronach KKI mistrz Caroni. A swoją drogą, wiecie, jak Copperfield „zniknął" wagon? To proste! Wystarczy, że odpowiednio podpięte liny... OK. Dalej już ani słowa! □

7. THE RENAISSANCE OF PRESTIDIGITATION

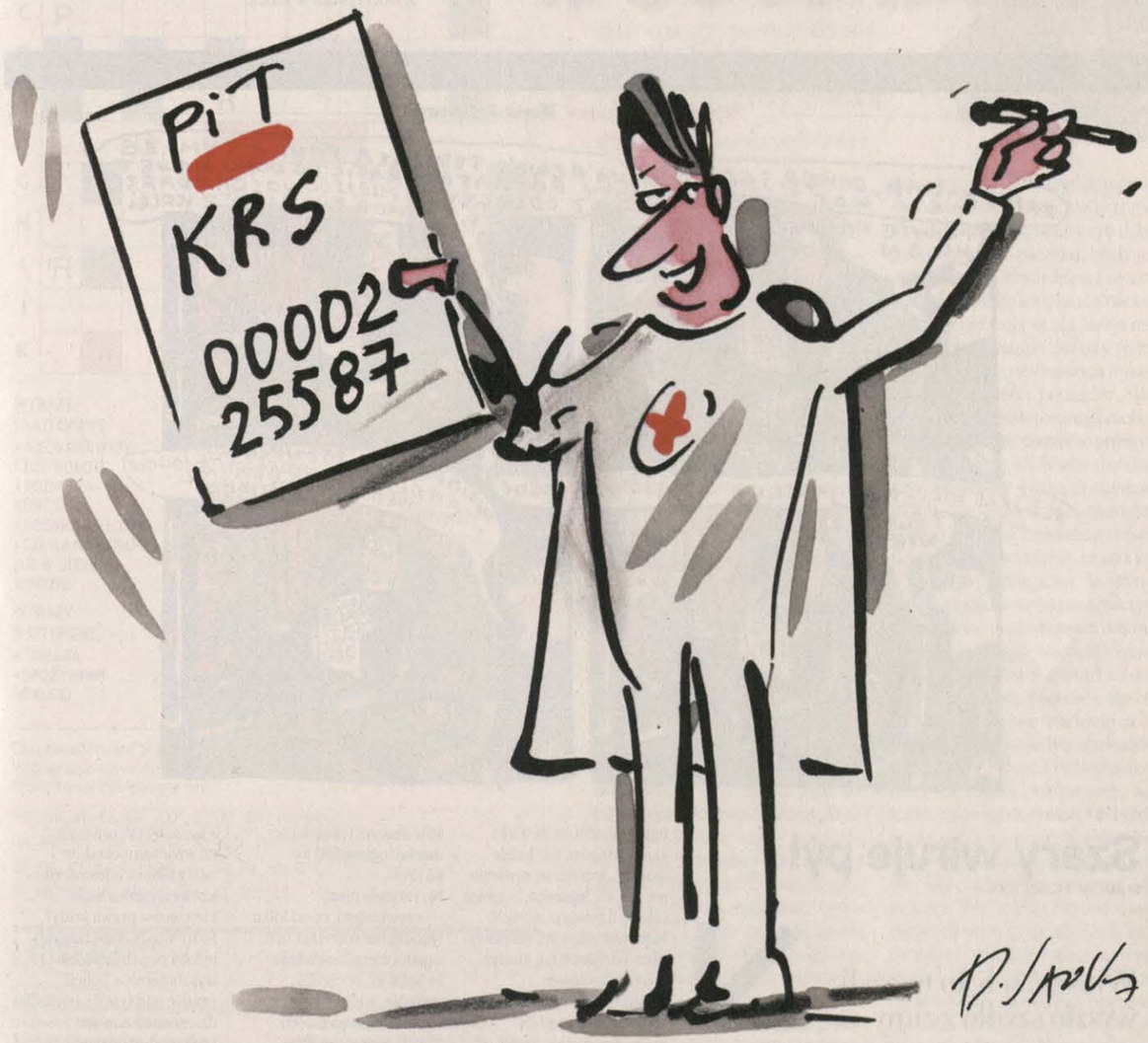


6. Zamiast magii – *duchy. Stęsknionym za zmarłymi mentaliści oferowali seanse spirytystyczne*

7. Wróżby, czary i iluzja. *Do tego efekty świetlne i dźwiękowe. Sto lat temu to był świetny przepis na oszałamiającą karierę i godny zarobek*



Więcej magii i afiszów w albumie *„Magic 1400s–1950s" pod red. N. Daniela, Taschen 2010, s. 650, € 150*



1% www.pck.org.pl
POLSKI CZERWONY KRZYŻ
KRS 0000225587

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

PAN SZARY ODURZONY WIOSNĄ SPACERUJE PO WARSZAWIE, KURKIEWICZ PO GDAŃSKU, WINDZIARZ WYSTĘPUJE W KRZYŻÓWCE, A PARTYJNIAK W JOLCE

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

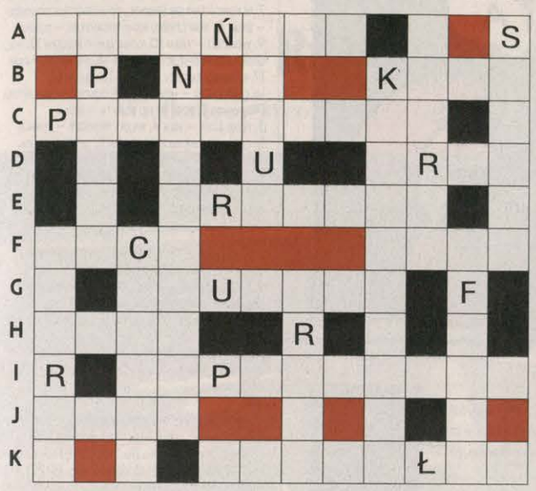
MARCIN PIESZCZYK

Wiosna, ach, to ty, czyli wyszło szydło z zimy

W POLSCE Z WIOSNĄ JEST zupełnie tak jak z niepodległością. Gdy tylko ją odzyskujemy, wspólny front przeciwko najeźdźcy (zimie) pada i każdy dalej szarpać sukno w swoją stronę. No bo wiadomo – stan wolności (ciepła) padnie, ani się obejrzymy, więc z tego krótkiego okresu błogostanu trzeba wycisnąć, ile się da.
Więc najpierw rowerzyści – czy to nie cudowne przemieszczać się, nie zanieczyszczając przy tym środowiska i równocześnie rozwijając równomiernie wszystkie partie mięśni.
Tyle że... Rowerzysta raz jest rowerzystą, za chwilę zjeżdża znienacka na ulicę i staje się minisamochodem, a potem, byle tylko nie czekać razem z innymi autami na zielone światło, wskakuje w dzikim pędzie na chodnik i ostatecznie staje się pieszym. Lecz niech no tylko Szarzy spróbują zaprotestować – zdrowie to podstawa, więc zdrowie przejedzie Szarym po stopach, złamie im szczękę i jeszcze zablokuje swą Masą Krytyczną ich auto akurat wtedy, gdy są w drodze na lotnisko. Że auto to niszczyciel środowiska i kręgosłupów, wie każde dziecko, lecz nie wymyślono jeszcze nic lepszego, by przez całą Warszawę przewieźć kilka walizek, a już na pewno nie wymyślono tak dużego koszyka na rower.
Po jednośladowcach do ataku przystępują matki z wózkami. Przed ich racjami moralnymi muszą skapitulować i rowerzyści, i samochody, i piesi – wszyscy, którzy nie posiadają dzieci lub ich dzieci nauczyły się już chodzić. Wózki są bezwzględne – nawet gdy Szary uginał się pod ciężarem siatek, nawet gdy stuletnia sąsiadka Szarych ledwo trzymała się laski, najmłodsze pokolenie dumnie posuwało się środkiem chodnika, w osobie swej rodzicielki nie ustępując pokoleniom schodzącym (określenie marketingowców) ani na krok.
No i trzecia rzecz – oczywiście to, co od kilku tygodni nie schodzi z ust, szpalt i eteru, dowodząc, że ludzi g... obchodzi polityka, gdyż bardziej ich interesuje samo g... Psy. To one zdobyły wiosnę, wygrały ją w przedbiegach (czy raczej przysiadach), gdy gatunek ludzki poddał się walkowerem. Śniadaniowa idylla Maneta byłaby nad Wisłą nie do pomyślenia, bo u nas prym wiedzie inny rodzaj sztuki – cover piosenki Rynkowskiego „Polacy lubią brąz...".
– No dobrze – powiedziała Szara – najłatwiej coś skrytykować. Najtrudniej zaproponować jakieś rozwiązanie... – Bardzo proszę – powiedział Szary i dalejże proponować: a może by tak rowery na wzór samochodów miały tablice rejestracyjne, a rowerzyści na wzór kierowców prawa jazdy? Może wtedy dużo trudniej byłoby popełnić jakieś wykroczenie, a policji przejść nad tym do porządku dziennego? A może by wprowadzić prawo, że każdy może komórką zrobić zdjęcie załatwiającego swe potrzeby czworonoga i stojącego nad nim rozanielonego właściciela, a następnie opublikować je w sieci?
Być może Szary zradykalizował się na wiosnę, ale choć uwielbiał dzieci, psy i jazdę na rowerze, chciał coś z tej wiosny wyszarpać też dla siebie. W końcu ta przeminie szybko, podobnie jak lato. A potem to już wiadomo – kolejne miesiące niewoli. □

JOLKA NR 13/14

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY 10-LITEROWE:
• NIECH PIERWSZY RZUCI ROBOTĘ • ROZRUSZA NUNCJUSZA • PODANO DO ŁÓŻKA • DZIAŁA NA KANAPIE LUB W (JEDNEJ) WINDZIE

WYRAZY 8-LITEROWE:
• TAM GRA • SPOŻYWANY PO KOLEI

WYRAZY 7-LITEROWE:
• TYLKO CZEKA, ŻEBY MU KTOŚ ZGŁOSIŁ PROBLEM • TRUDY NA PUDY

WYRAZY 6-LITEROWE:
• TVÓJ PRZEWODNIK • KOŁACZE SPECJALNE • ZŁOTA JEDENASTKA • ROZŚMIESZAJĄ DZIADKA • POD STOŁEM OPERACYJNYM • ŚCIĘTY W HISTORII ŚMIERCI

WYRAZY 5-LITEROWE:
• HELENIA GÓRA • CZERWONY ZWIĄZEK

WYRAZY 4-LITEROWE:
• PIERWOTNIAKI, DO BRONI! • W DZIESIĄTCE PRZED BRZECHWĄ • KIEDY WIDZIALNOŚĆ ŚPI • SŁUŻY FALAMI • W GALARECIE PZW • OMEN ODEJMOWANIA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

F10_K1_A1_E2_G4_/C12_I3_H9_B6_J11_A4_/
G6_H4_B10_C6_E7_/I8_A8_E10_D2_K6_C5_/
C2_G3_K7_E4_F11_D9_/J3_/J7_F9_H1_D11_/
F1_C8_E12_I6_G8_H2_D4_A3_H11_E8_.

LAUREACI Z NR. 9

KRZYŻÓWKA:
Inga Chlewicka, Warszawa; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Szymon Krzeszowiec, Katowice; Romuald Pohl, Zduńska Wola; Adam Wnęk, Olsztyn

JOLKA:
Janina Błońska-Olichwier, Wrocław; Danuta Konieczna, Piła; Halina Mochniej, Wrocław; Mieczysław Nowak, Świebodzin; Sławomir Zawadzki, Łódź

MISTYFIKACJA, CZYLI POCZTÓWKA WYKRADZIONA ZE SKRZYNKI JACKA KOPROWICZA

Kino-teatrzyk PRZEMKA JURKA

(...) ostatnio skomponowałem parę nowych piosenek.
Ludzie pewnie by się zdziwili, gdyby mogli ich posłuchać.
Ale nie zdziwią się i nie posłuchają,
bo – jak wiesz – wybrałem inne życie,
z dala od cywilizacji, mamony i ogłupiającego blichtru show-biznesu.
Nie ja jeden oczywiście. (...) Pogodę mamy fantastyczną.
Ściskam serdecznie i ślę gorące pozdrowienia od Witkaca!

Twój Elvis

LEWO MYŚLNIE

Nagroda doskonała



Nagroda nazywa się po prostu „Nagroda doskonała". Więcej nie mogę powiedzieć. Moje obrady są tajne. Gratuluję zwycięstwa

ROMAN KURKIEWICZ

BYŁEM W GDAŃSKU. NAPRAWDĘ. Gdańsk po dwóch latach prac nagrodził Uładzimiera Arłoua nagrodą Europejskiego Poety Wolności. I pięknie. Białoruski poeta dotarł do finału wraz z siedmiorgiem innych poetek i poetów z innych krajów (dla wszystkich, oprócz Andrzeja Mandaliana z Polski, oznaczało to, że ich wiersze zostały przetłumaczone na polski i wydane, oh, jakże zachwycająco). I byli tam ludzie od innych nagród literackich i zgodnie uznaliśmy, że to dobre nagrody są. I że dobrze, że są. I niech ich będzie więcej. I niech je dostają różni twórcy. I niech miasta się nimi chlubią, artystki i artyści niech się bogacą, cieszą, wzrastają, czują uznanie nas – mas.

Po tych zachwytach naszła mnie smuta. Że nie jestem miastem. Że nie jestem wielką firmą. Że nie jestem koncernem medialnym. Że nie jestem ministrem. Że nie daję nikomu nagrody. A potem przyszła myśl, że co z tego? Że nie jestem miastem, środowiskiem, koncernem? Jestem sobą. Nagroda Goncourtów to jedno euro. Na taką nagrodę i mnie stać. Żeby przyznać. I postanowiłem przyznać. Ogłaszam zasady. Moja nagroda będzie doskonała jak zbrodnia doskonała. Zbrodnia doskonała, jak powszechnie wiadomo, jest zbrodnią niewykrytą, sprawca, sprawczyni, sprawcy pozostają nieujawnieni, nieosądzeni, nieukarani, nienapiętnowani. Z nagrodami jest pozornie odwrotnie: powinien być werdykt (sąd), powinno być jawne nazwisko zwycięzcy, powinna być gratyfikacja. Ale, ale... Kiedy można dokonać zbrodni doskonałej naprawdę doskonale? Wtedy, kiedy zbrodnia jest bez sensu, bez motywu, bez przyczyny i bez związku, kiedy jest abstrakcyjnie absurdalna i niezrozumiała, kiedy nic się za nią nie kryje, kiedy nie stoją za nią żadne motywy. A w szczególności owe motywy tradycyjne: zawiedziona miłość, zawiść, zazdrość, pieniądze, władza, buty z zeszłorocznej kolekcji, jedzenie mięsa, poglądy polityczne, smród z ust itd. Wtedy zbrodnia jest doskonała. I taką doskonałością będzie szczycić się moja nagroda przyznawana z nieznaną częstotliwością, nie wiadomo za co i komu, jak wyglądająca i ile wynosząca, nigdy nieogłaszana, niczym niepoparta, wszystkiemu winna, niczemu niczego niezawdzięczająca, przychodząca znikąd i donikąd zmierzająca. Nagroda dla nie wiadomo kogo, nie wiadomo za co, nie wiadomo po co, bez obchodów i debat, bez kamer i dziennikarzy, bez laureatów i pokonanych, bez zeszłorocznych zwycięzców i tych, co na nią liczą w przyszłości. Bez możliwości chwalenia się publicznie. Bez żartów. Bez gniewu. Bez zawiści. Bez trudu. Bezkosztowo. Bezproblemowo. Od tej chwili każdy może zostać nagrodzony, co nie znaczy, że ktoś zostanie nagrodzony. Artyści nie są bardziej uprzywilejowani niż tramwajarze, funkcjonariusze CBA bardziej niż sprzedawcy cebuli czy podrabianego miodu, ludzie pióra bardziej niż ludzie pędzla, ludzie handlu bardziej niż oświatowcy. Gratuluję zwycięstwa. Bardzo się cieszę. O szczegółach nie poinformujemy. □

FOT. BOGDAN KRĘŻEL

MYŚLNIK

Lepiej stanąć przed faktami dokonanymi, niż stawać po nich.

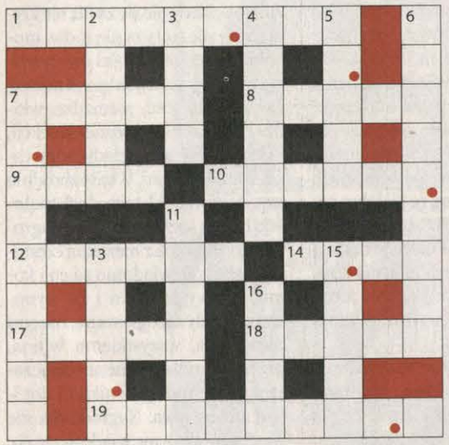
Krzysztof Bilica

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



KRZYŻÓWKA NR 13/14

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy **www.stereo.pl**



stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. KARTKI NA MIĘSO
7. CO PAN SOBIE MYŚLI
8. POD WYCIERACZKĄ
9. WINNY!
10. WYSZŁA Z NORKI
12. KAŻDY W KOŃCU WYMIĘKNIE
14. BRONI CHŁOPCÓW
17. KOŁOWROTKI
18. W SZOPIE PRACZA
19. GUZIK GO OBCHODZI

PIONOWO:

2. JAJKO CZY KURA
3. KOSZAŁ
4. OKRUSZKA
5. KAKRZYŻ KAŻÓW KAKA
6. NA NIEJ TELEWIZOR
7. CHŁOPAKI NIE PŁACĄ
11. DUPEK CZERWO
13. KORYTARZ
15. KSIĄŻKA DO ZABAWY
16. ROZBITY ODDZIAŁ

ROZWIĄZANIA Z NR. 11

KRZYŻÓWKA: BANKIET

Poziomo: 1. SOŁTYS WĄCHOCKA – BURMISTRZ 7. W KOŃCU TAKI SIĘ URODZIŁ, CO WSZYSTKIM DOGODZIŁ – IDEAŁ 8. KOŃ CZYSTEJ KRWI KUBAŃSKIEJ – RUMAK 9. WODZILEJ – KRAN 10. GÓRA ZŁA – WULKAN 12. WIE, GDZIE LEŻĄ KONFITURY – BABCIA 14. NIE NA TY – PANI 17. TARGANA ZA USZY – TORBA 18. ŚMIEJE SIĘ NA CMENTARZU – HIENA 19. FAN GOŁOTY – NATURYSTA

Pionowo: 2. PCHA SIĘ DO KORYTA – RZEKA 3. KŁUJE SZYJE – IGŁA 4. WCZAS PRZESZŁY – TURNUS 5. CZERWONY JAK CEGŁA – ZAMEK 6. SIOSTRA JEZUSA – ZAKONNICA 7. WYMYŚLONY DLA JAJ – INKUBATOR 11. GIGA DO POTĘGI ENTEJ – GIGANT 13. NAHALNY IDIOTA – BARAN 15. PRZODEK ZŁOTÓWKI – AWERS 16. SŁYNNY GRECKI KOMENTATOR – CHÓR

JOLKA: ŚWIETNY TARAS! LECZ CHYBA ZMIENIĘ BALUSTRADĘ (z wiersza K.I. Gałczyńskiego pt. „Opis domu poety")

Rzędami: ŻMIJKA, ŚPIEWY, WESTERN, ZŁOTKO, BRETOŃCZYK, DROGOWSKAZ, TALERZ, CHUDOBA, RZECKI, MARKET

Kolumnami: UDŹCE, OPAŁ, OBWOLUTA, TEATR, KENOZOIK, ŻYWOT, START, IKSIŃSKA, ALOES, KLESZCZE, RĘKA, WNĘKA

Wygraj jedną z **10 płyt Madonny „Sticky and Sweet tour"**. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer **7243**. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój", ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 13/14" lub „krzyżówka 13/14". Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 12 kwietnia 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

OLA SALWA

Ale jaja!

Duch wielkanocny udzielił się także architektom

NAPRAWDĘ NIE MAM POJĘCIA, DLACZEGO KTOŚ stwierdził, że klocek jest najbardziej optymalną formą budowniczą. W tej kwestii nawet Wikipedia pozostaje bezradna. Kanciasty, trudny do czyszczenia, pełen zakamarków, w których mogą się zagnieździć pająki, ptaki i inni niechciani lokatorzy. Dziś coraz więcej architektów zrywa z tym dziwnym przesądem, komponując klocki ze stożkami i walcami lub dodając tu i ówdzie bliżej niezidentyfikowany wielościan przestrzenny. My z wiadomej okazji namawiamy do zwiedzania – po rodzinnej nasiadówce przy święconce i zimnych nóżkach – jaj. Oczywiście tych zrobionych na twardo – ze stali i szkła. □



Budynek 30 St Mary Axe w Londynie ma **ksywkę ogórek**. Ale równie dobrze może być wzięty za kosmiczne jajko

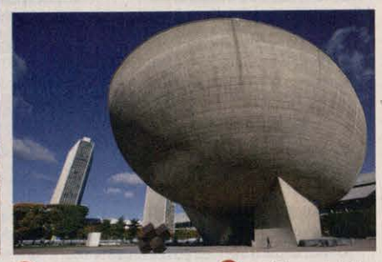


Taki teatr narodowy mógł stanąć tylko **za Chiny Ludowe**. A konkretnie w ich stolicy Pekinie

ŁADNE RZECZY!



Jajko widoczne wyżej zostanie **zniesione w Bombaju**. Autorem projektu jest James Law, a jego nazwa to Cybertecture Egg



Daleko pada jajko od jajka: to na zdjęciu niżej pochodzi z **Albany w USA**. W środku odbywają się koncerty i przedstawienia

© JAMES LAW CYBERTECTURE, ALAMY/BE&W (2), CHINA FOTOPRESS/MAXPPP/FORUM

KUBA DĄBROWSKI

Rutynowa droga krzyżowa

Wielkanoc jest co roku i co roku fotoreporterzy muszą zrobić na ten temat jakieś zdjęcie



FOT. RAFAŁ MALKO/AG, WOJCIECH SURDZIEL/AG

GDAŃSK, 21 MARCA 2008 ROKU, WIELKI PIĄTEK. MISTERIA drogi krzyżowej to wydarzenia fotogeniczne, ale do bólu przewidywalne. Przyciągają tłumy amatorów i zawodowców. Kalwaria Zebrzydowska, Pacławska... Mieszkańcy Wybrzeża mają Kalwarię Wejherowską. – Poranna mgła, rozmodlone stare twarze. Wszystko pięknie, ale co z tego? – pyta Rafał Malko z „Gazety Wyborczej". – Jeszcze mnie tam nie było, a już wiem, jakie kadry bym przyniósł do redakcji. Nie interesują mnie takie samograje.

W 2009 roku Rafał Malko za zdjęcie **strajkujących stoczniowców z Gdyni** dostał główną nagrodę konkursu Grand Press Photo

Rzeczywistość wychodzi fotografowi naprzeciw. Okazuje się, że grupa Misternicy Kaszubscy organizuje drogę krzyżową w centrum Gdańska. – Wydaje nam się, że Męka Pańska była podniosłym wydarzeniem. W rzeczywistości była po prostu kolejną egzekucją. Chrystus szedł pośród spragnionych rozrywki lub obojętnych tłumów – mówi reporter. – Podróż z krzyżem po zwykłych ulicach miasta to szansa na odtworzenie tej sytuacji.

Malko stara się sfotografować scenę możliwie najbardziej realistycznie. – Zależało mi, żeby nie mieć w kadrze innych reporterów, jedynie przypadkowych przechodniów – opowiada. – W takich sytuacjach fotografowie najczęściej idą ławą, co jakiś czas przystają i grupowo, jeden przez drugiego, robią zdjęcia. Musiałem wyczuć moment, dać się wyprzedzić kolegom i zatrzymać się samemu. Wiedziałem, że logo McDonald's i szyld „Obuwie" zamkną mi kompozycję. Reszta wypełniła się sama. Po sfotografowaniu pasji Malko udaje się na kolejne tematy – protest obrońców Tybetu i mecz siatkówki kobiet. □

7 Podczas pracy wolę myśleć o sobie jako o świadku wydarzenia, a nie o fotoreporterze. To dobre dla zdjęć



RAFAŁ MALKO



Bóg chyba jednak istnieje – przywrócił weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa. PKP przywróciły? Bóg pracuje rękami PKP. Można oczywiście pytać, gdzie był Bóg, gdy PKP likwidowały weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa? Dlaczego się wówczas od nas oddalił?

JERZY PILCH

16 MARCA

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE: WE WCZORAJszym śląskim dodatku sportowym „Gazety Wyborczej" relacja ze zwycięskiego meczu Górnika Zabrze nad GKP Gorzów nosi tytuł „Wrócił Hubert Kostka" i zaczyna się następująco: „Pierwszy sukces Górnika nastąpił... kwadrans przed gwizdkiem. Nowy prezes wprowadził na trybuny Huberta Kostkę, legendarnego bramkarza klubu z Roosevelta. Kostka od czterech lat nie chodził na mecze swego klubu. W 2006 roku na trybuny nie wpuścił go gorliwy ochroniarz, od tego czasu pan Hubert pojedynki Górnika śledził co najwyżej w telewizji".

Ma się rozumieć – cienia komentarza. Nie ma co tej – z każdej strony szczelnej, z każdego punktu widzenia mocnej – historii psuć egzegezą; nie ma co tej epifanii, a może nawet tego haiku rozcieńczać.

19 MARCA

BÓG CHYBA JEDNAK ISTNIEJE – PRZYWRÓCIŁ weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa. PKP przywróciły? Bóg pracuje rękami PKP. Można oczywiście pytać, gdzie był Bóg, gdy PKP likwidowały weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa? Dlaczego się wówczas od nas oddalił? Generalnie jednak nie ma co wydziwiać; tym mniej że na początku Pan okazywał szczodrobliwość, i to wielką. Na początku weekendowy ekspres Warszawa–Wisła–Warszawa był nie tylko weekendowy, na początku jeździł on – nie uwierzycie – codziennie! Na początku tedy było – jak przystaje początkowi – rajsko. Potem nastąpiło nie tyle wygnanie z raju, ile ograniczenie sielanki – wiadomy pociąg jął jeździć tylko w soboty, niedziele i święta, potem snadź totalne zło i niegodziwość nastały pomiędzy synami ludzkimi i Pan, w popędliwości swojej, całkiem starł go z rozkładu jazdy.

Teraz – zapewne po jakichś naszych pokutach – łaskawość PKP i Pana Boga została odzyskana, wiadomy skład przywrócony; jest jak do Wisły jeździć, jest jak stąd wyjeżdżać. Przyjazdy przyjemne, powroty jeszcze milsze.

20 MARCA

WŚRÓD NIEZLICZONEJ LICZBY RZECZY, KTÓRE w Wiśle wzruszają mnie do łez, gwizd pociągu jadącego do Warszawy jest w ścisłej czołówce, a nawet wyżej. Dziś go usłyszę, dziś cały skład sunący po nasypie nad starą chałupą z daleka zobaczę – jutro, jak będzie gwizdał, będę w nim siedział. Siedziałem w Wiśle przeszło dwa tygodnie i poza tym, że jestem zadowolony, nic się nie zdarzyło. A jestem rad, bo dobrze siedziałem. Byłem w dosyć trudnym, może nawet martwym punkcie; mordowałem się, nie wiedziałem co dalej i wreszcie pękł czyrak niemocy. Za młodu tak bywało często, teraz przeważnie po upadkach, a i to nie wszystkich. W każdym razie zdarzyła się sytuacja rzadka: wiem, co mam pisać dalej. Nie zabieraj mi tego, Panie Boże, bo znów mnie wkurwisz.

Z mieszanymi uczuciami takie konfesje czynię. Koledzy, których wyznań z zakresu męki twórczej przyszło mi nieraz słuchać, zawsze zdawali się nieco zawstydzający, teraz sam brnę w taką żenadę, ale w końcu mam okoliczność łagodzącą: winienem w tym trzymać się diarystycznej formy. Uświadamiam sobie, że może to wychodzić kulawo – prawie w ogóle nie uwzględniam okoliczności zewnętrznych. Ale jak ja mam uwzględniać okoliczności zewnętrzne, jak ja w ogóle nie mam okoliczności zewnętrznych? Jakimś „Dziennikiem duszy" przerażał nie będę. Coś z niczego – że zapytam z uroczym uśmiechem?

Brak okoliczności zewnętrznych warunkuje i to, że jak tylko się pojawiają, unikam, omijam i konsekwentnie – nawet ich zarodzia – likwiduję. Na przykład w Wiśle codziennie chodzę na spacer, i to spacer długi – wybieram jednak trasy mało uczęszczane i późną popołudniową porę, wiślanie dawno w łóżkach. Pomimo iż docieram do Centrum, jest szansa, że uda się nikogo nie spotkać.

Podczas tego pobytu wyniki miałem niezłe: dzień po dniu jak dwie, a nawet jak cały szereg kropli wody: gazety w kiosku pana Prymusa, oględziny mieszkającego tam i powoli wychodzącego z psychicznej zapaści kota o niezwykłej sierści – powiedzieć, że ten kot jest czarno-szary, to nic nie powiedzieć. Potem księgarnia – ale nie codziennie – dalej na pocztę; a też – celem nabycia pomagających odzyskać poczucie lekkości batonów Kinder Bueno – do pobliskiego domu towarowego Świerk. Potem na chwilę gaśnie światło, a gdy się zapala, jesteśmy już na moście. Którym? Wszystkich informacji nie podam – mogą mi się jeszcze przydać.

Oczywiście jakiejś psychiatrycznej szczelności, zupełnej izolacji czy próżni doskonałej nie można osiągnąć – na tego i owego jednak się natknę, z tym i owym wymienię ukłony, bywa nawet: dwa słowa zamienię; niekiedy – wiem, że uznacie to za bajer zupełny – jest wręcz bardzo miło. Na przykład jednego dnia jął ktoś wyraźnie iść w moją stronę, zapadał zmierzch, widziałem tylko sylwetkę, rzuciłem się w stronę parku, on za mną; wiedziony trafną intuicją nie uciekałem długo, wyczułem, że ktoś przyjazny – i faktycznie był to Irek Kościelniak, ekeligowiec, grał między innymi – muzyczność rządzi światem – w Górniku Zabrze, obecnie trener miejscowej Wisły – Ustronianki – pogawędziliśmy krótko, ale intensywnie, obiecałem – jak godzina bratania wybije – przyjść w sezonie na mecz na Jonidło; już teraz trawi mnie niepokój, czy nie za duży eksces, czy nie za daleko idąca szarża to będzie... Innym znowuż razem spotkałem nad Wisłą zlustrowanego Biskupa...

21 MARCA

TAK JEST, WZIĄŁEM Z KIOSKU GAZETY, OBEJRZAłem kota i brzegiem rzeki koło Startu ruszyłem w kierunku basenu. Nawet latem mało kto tędy chodzi, cóż dopiero jak śniegu po kolana, a miejscami po pas. W dali majaczyły dwie sylwetki, gdy były blisko, okazało się: zlustrowany Biskup z wprawdzie niezlustrowaną, ale do żywego zranioną Biskupiną. Pogadaliśmy. Pogadaliśmy jak przeciwnik lustracji z ofiarą lustracji. Że spisek, że obsesja, że ukartowany zamach, że i wśród nas lutrów świnie. A tak w ogóle? W ogóle osiedli w Wiśle, mieszkają świetnie i wreszcie spokój jaki taki. Słucham i przyglądam się zlustrowanemu Biskupowi i widzę, że świetnie on nie tylko mieszka, ale i wygląda. Owszem smutnawy, ale szczupły, poczerniały i wyszlachetniały. Owszem krzywda wielka, ale w sensie kosmetyczno-fizycznym zysk.

Nadciągała zawierucha. Pożegnaliśmy się. Zlustrowany Biskup, jak przystało słudze bożemu na nieco przedwczesnej emeryturze, udawał się wraz z małżonką karmić kaczki pod mostem. Ja swoją drogą. Śnieg coraz gęstszy, wiatr coraz dotkliwszy, irytowało mnie to. Irytowało mnie to do tego stopnia, że z wynikającą z bezradnej wściekłości na pogodę irracjonalnością jąłem się nagle zastanawiać, czy aby z pozycji przeciwnika lustracji nie przejść na pozycję umiarkowanego przeciwnika lustracji. □

RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA BOGDANA KRĘTA

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W **kwietniowym** numerze
SUKCESU w prezencie
próbka najnowszego zapachu
Dsquared HE WOOD dla niego

SZUKAJ SUKCESU Z ZAPACHEM

TERAZ MOŻESZ WYBRAĆ NAJLEPSZĄ DLA SIEBIE OFERTĘ. PRZY ZAKUPIE VOLVO S40 LUB VOLVO V50 MASZ DO WYBORU BEZPŁATNE WYPOSAŻENIE NAWET DO 17 410 ZŁ ALBO DO 7 LAT DARMOWYCH PRZEGLĄDÓW SERWISOWYCH. TY WYBIERASZ I TY DECYDUJESZ, BO WIESZ, ŻE ŻYCIE TO COŚ WIĘCEJ.

W zależności od wersji silnika zużycie paliwa w cyklu mieszanym wynosi od 4,5 do 9,6 l/100 km, emisja CO_2 od 118 do 229 g/km.



MOŻESZ TEŻ WYBRAĆ ATRAKCYJNY LEASING LUB KREDYT JUŻ OD 999 ZŁ MIESIĘCZNIE.

Kwota 17 410 zł dotyczy modelu Volvo V50, T5, AWD, automat, Summum. Oferta nie dotyczy lakieru metalizowanego oraz automatycznej skrzyni biegów. W ramach bezpłatnych przeglądów serwisowych można otrzymać do 9000 zł do dowolnego wykorzystania w autoryzowanym serwisie Volvo. 7 lat bezpłatnych przeglądów serwisowych dotyczy modelu Volvo S40 2.0/145 KM Summum przy założeniu do 20 tys. kilometrów rocznego przebiegu oraz dla podstawowych czynności obsługowych. Ofert bezpłatnego wyposażenia, darmowych przeglądów oraz atrakcyjnego leasingu i kredytu nie można łączyć.

VOLVO